

Prolog

Pożegnanie Convolv

Terala, wrzesień 915 roku
Po wydarzeniach larpa 18+ z 2015

Szarość jej umysł oplatała swymi ramionami, słowa kobiety docierały do niej niczym zza mgieł. Membrana pomiędzy światami ugięła się pod głosem przyjaciółki niczym pod dotykiem palców. Bańka tańczyła pod naciskiem, uciekając w obawie przed pęknięciem. Szept doszedł do niej niewyraźnie, niezrozumiale.

-... to silny facet, poradzi sobie... - Głos został zagłuszony ciszą.- ... a jemu co teraz powiem? Przecież on rozniesie pół miasta... - I znów, myśli zakręciły się w wirze mgły, zatarły i umknęły niezrozumiale. - Idź... Idź do nich... Do tych za którymi zawsze tęskniłaś. Żałuję, że nie mogłam ich poznać.

Żałuję.

Żałuję.

Ylva... Imię mające w sobie tak wiele znaczeń. Ylva. Ale tak jak nadeszła świadomość, odeszły też słowa, te które chciałyby jej jeszcze powiedzieć, przekazać, przeprosić. Pochłonęła je mgła, łączywie żywiąc się wspomnieniami o przyjaciółce. Znikł jak pod wpływem zaklęcia smutek, żal, znikła duma... I znikł gniew. Gniew. I obawa. O nią, o córeczkę.

- Nemaria? - Słowa te odbiły się od mgły. Odpowiedział jej szelest, gdzieś z prawej. A może lewej. Zewsząd, szelest łopotu tysiąca skrzydeł istot podrywających się do lotu. Nie. Coś innego. Zgrzyt otoczków poruszających się pod stopami. Kto by pomyślał, że drogę do świata bogów wysypano z otoczków.. Zdziwienie znikło szybko, w tym samym momencie w którym dostrzegła z boku kształt ciemniejący pośród mgły.

Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że widzi znów to butne spojrzenie.

To nie ona. To nie ona.

Bo oczy kobiety błysnęły spod kaptura złotem, by zniknąć w jego cieniu. To nie ona. To Ona. Bogini.

Upadła na kolana, otoczkaki wbiły jej się w staw, jednak nie zważała na to. To Ona. Bogini. Matka.

- To ja. Córeczko. - I chociaż usta skryte w półcieniu nie poruszyły się, jej szept otoczył ją odcinając od obaw i smutku. - Już czas córeczko. Spełniłaś swoje zadanie. Już możesz odpocząć, tak jak kiedyś mnie o to prosiłaś. Już możesz.

Mogę? Spytała w duchu, nie ważąc się wypowiedzieć głośno swych słów. Mogę?

- Bogini! Czemu nie uchroniłaś swojej córki gdy Cię najbardziej potrzebowała?! Czemu nie udzieliłaś jej swego wsparcia? Czemu?! - Głos daka napał na granicę pomiędzy światami zaburzając spokój mgieł, te zawirowały spłoszone.

Ginter... Tylko on mógł się na to ośmielić, tylko przez jego głos mogła przemawiać taka moc.

Bogini uniosła głowę, lecz kaptur nie odstąpił jej oblicza, ostro zarysowany podbródek skierował się w stronę gdzie winno znajdować się niebo. Czerwień jej szat barwiła mgły.

- Bogini... Czemu? Czemu ją zabrałaś... Czemu ją poświęciłaś gdy nam potrzebna jest jej pomoc... Nie damy rady... Tavar... Czemu ją zdradziłaś? - Głos maga wzmocniony mocą przedzierał się przez granice, lecz nie tylko moc nim kierowała.

- Zdradziłam? - Bogini znów skierowała oblicze ku niej, wąskie wargi wygięła w uśmiech. Ginter nie miał szans jej słyszeć, ale ona tak. Coś w niej się złamało. - Chodź, już czas czekają na ciebie.

I wtedy ich dostrzegła. Stali za nią, wśród mgły. Nie potrzebowała długo się zastanawiać by rozpoznać twarze. Imiona przychodziły do niej wraz z uczuciami, szeregiem targających nią emocji.

Ingeboran, trzymająca w swych rękach zarówno tarczę jak i topór. Z dumą spoglądająca na nią.

Nem, elfka która jej zaufała i to zaufanie przypłaciła życiem. Wyciągała ku niej rękę.

Mirko z szelmowskim uśmiechem, opierając miecz o kark. A obok niego Sonja, o delikatnej rudości zakłętej w złote kosy. Trzymający jej dłoń Valdar wpatrujący się gdzieś w dal, zamyślony.

A dalej za nimi ojciec i matka, z radością wpatrujący się w swą latorośl. I babcia, kobieta która dała jej wiedzę i nadzieję.

Meriel, z dłońmi splecionymi na brzuchu wyraźnie rysującym się pod materią szat.

Z tyłu gdzieś, wśród mgieł Eryka, przedśmiertnie mianowana magniferem.

I Żegota, w dłoniach trzymający łuk. Czekający, cierpliwie. Ile lat?...

Czekają na ciebie. - Głos bogini rozbrzmiał wprost w jej umyśle.

Chciała postąpić krok i kolejny. Ale trzeci głos który przedarł się przez barierę światów zatrzymał ją w miejscu.

- Wybacz mi Lylian. - I chociaż słowa te wypowiedział jeden z Jastrzębców, miała wrażenie, że słyszy je od kogoś innego. - Obyś zaznała szczęścia przy boku swej bogini.

Spojrzała wprost na nią, przenikliwie, mądrze. Westchnęła, niczym rodzic widzący swe uparte dziecko. Wiedzący, że nic nie poradzi.

- Niewiele już zrobisz, nie żyjesz. Wiesz o tym.

Wiem. Lecz nie powiem tego na głos. Wiem. Ale nic nie poradzę. To twoja tęsknota mi przypominała.

Szorstki materiał przesywki pachnącej potem i gorzałką, szorstki zarost na jego szczęce... Bystre spojrzenie spod ronda kapelusza, silne ramie otaczające w talii zapewniające bezpieczeństwo. Skórzana kamizela pachnąca prochem, przybrudzona błotem... Blask słońca odbijający się od blach naramienników.

Tavar westchnęła.

- Idź. - Gdy bogini się obracała, mgła wokół niej wirowała. - Idź z moim błogosławieństwem.

Idź, ale przejście przez mgły będzie dla ciebie równie trudne co dla niego.

Gdy wracała dostrzegła wśród otoczków czerwien sztabu, z kruczym łbem. Zdeptany i poplamiony krwią. Ktoś poruszył się pośród szarości mgieł.

- Ja też czekałem Lylian... Ale idź. Zaczekam. - Wyszeptał gdy szła. - Mogę jeszcze poczekać. Nie chciała wracać. Już nigdy.

Jak cholernie słowa nie chcą się układać, kiedy trzeba. Kiedy właśnie są potrzebne gładkie, aksamitne sformułowania, takie zdolne wchłonąć łzy, zasłonić drżące usta, słowa, które mają moc dawania jakiejś nadziei, jakiegoś poczucia sensu...

Ylva zgrzytnęła zębami w bezsilnej złości, kopnęła najbliższy leżący kamień, a ból, jaki sprawiło to końcówkom palców, potraktowała jak zasłużony.

Dobrać słowa... „Przepraszam”... Tak, to było podstawowe słowo, jakie cisnęło się jej na usta.

- Przepraszam, Keithen. To nie jest tak, że jej nie zdołałam uchronić... Znaczący jest. Ale to był jej wybór. Wszyscy wiedzieliśmy, że to kiedyś nastąpi, że ona zrobi o ten jeden krok za daleko. Ja nigdy nie wiedziałam, czy ona przypadkiem świadomie do tego właśnie nie dąży. To był jej wybór. Przecież u licha nie była dzieckiem.

Czerwonawy blask ognia migotał na twarzy Styryjki, zaostrzając jej ściągnięte powagą rysy i odbijając się iskierkami w oczach, w których nie było nawet cienia łzy.

- Ja też tego nie zrozumiałam, naprawdę – kontynuowała – Kiedy padła Dziedziczka, wszystko zawisło na cholernym włosku. Mogłam wtedy do niej doskoczyć, może bym zdążyła, a panny od Daków i tak przecież nie uratowałam. Mogłam. Mnóstwo rzeczy mogłam, które już się nie odstaną. I masz pełne prawo mnie za nie winić – zamysliła się, po raz tysięczny odtwarzając w pamięci tamtą chwilę.

- Derwan, co ty robisz, u licha, stój!

- Straciłem tarczę, nie chroni mnie już zakłęcie!

Trzask broni o umbo okrągłego puklerza zagłuszył przekleństwo, którym Ylva skwitowała oświadczenie Terała. Tuż obok młodzianka dziewczyna, dziedziczka wielkiej sprawy, próbowała utrzymać się na nogach czyniąc coś, czego nie robiła nigdy w życiu – walczyć. Ani jej delikatne ramiona, ani połamana psychika nie wiedziały, jak to się robi, więc odruchowo, czerpiąc z mocy, która płynęła w jej żyłach, próbowała osłaniać się i oddawać ciosy. Pierwszy raz w życiu oddawała zadawane jej ciosy. Mocny uchwyt Derwana przytrzymał ją w pionie, gdy kolejny z Samnijczyków spróbował wyrwać jej tarczę.

- Będę was trzymać! Tylko tak mogę pomóc!

- Cofnij się! Za tarczę! – w tamtej chwili jeszcze Ylva widziała Lylian, jak ta unosi się na łokciu, raniona lekką samnijską szablą, widziała, że to nie jest poważna rana, że zostało jeszcze kilku przeciwników, że mają szansę – Za tarczę, psiakrew!

Derwan nie wytrzymał jednak pod osłoną ich tarcz, pierwszy atak, który wyprowadził, skończył się kontrą i rozcięciem na barku. Widząc, że ani nie pomoże towarzyszkom, ani sobie, Jastrzębiec rzucił się w tył, w gęste zarośla, na chwilę chroniąc się przed atakiem.

Zostały we dwie, niedoświadczona, niewinna dziewczyna, blada, promieniejąca aureolą złotych włosów, z trudem dźwigająca zbyt ciężką, wielką tarczę swoich pradziadów. I ona, agentka wywiadu, w której nie było nic z niewinności, a doświadczenia było aż za dużo.

- Stój, mała! Stój i ani kroku! – wrzasnęła, przylegając plecami do pleców Elenory – Tylko się osłaniaj i stój!

Zostało czterech. Dwóch Qa, dwóch Samnijczyków, poranionych i zmęczonych.

- Stój, mała!

Gdy padł drugi Samnijczyk, usłyszała cienki pisk i zrozumiała, że nie ma się po co odwracać. Przed sobą miała najgroźniejszego, bo ubranego w kolczugę, przeciwnika, za sobą lekkozbrojnego, który był ranny. Rzutem na taśmę wymierzyła serię ciosów w głowę wojownika, idąc do przodu nagłą szarżą. Gdy padł, odwróciła się i zobaczyła.

Dziedziczka leżała na ziemi z ostrzem dociśniętym do gardła, ostatni Qa stał nad nią, jego zawzięte spojrzenie mówiło klarownie – to koniec. Ylva nie miała szans zdążyć, była jakieś trzy metry do jego tarczy. Skupiła się na niej, na dziedziczce, pamiętając, że przecież Lylian była tylko ranna, podobnie jak Derwan i Ginter, jeśli to wygra, ocaleją wszyscy... Durny błąd. Jak zawsze, mszczą się niedokładne informacje.

Trzy metry to były dwie sekundy. O sekundę za dużo, żeby powstrzymać obsydianowe ostrze, które rozszarpało krtań Elenory niemal aż po kręgosłup. Kolejną sekundę później ostatni Qa nie żył, a Ylva wreszcie zobaczyła.

Twarz Lylian nie pozostawiała wątpliwości. W szeroko otwartych oczach migotały jeszcze ostatnie iskry, dogasające powoli, uparcie powoli. Styryjka rzuciła na ziemię broń, zostawiając za plecami wszystko, konającą Elenorę, sztandar z półksiężycami, służbę, Styrię, boginię. Przez

zaciśnięte gardło nie przeszło żadne „nie!” ani „nie próbuj!”. Wiedziała, co zaszło, widziała leżącego obok nekromantę z twarzą wykrzywioną w potworną maskę, z którego martwej dłoni wypadł miecz. Zaraz obok zbierał się z ziemi Ginter, który niemal natychmiast rzucił się pomóc.

Ylva wiedziała jak użyć jej mocy, jak ją ratować... Szarpnęła płaszcz, przykrywający przyjaciółkę. I zobaczyła obszerną ranę od miecza, który przybił ją do ziemi.

Nie było co ratować.

Za późno.

- Było za późno, Keith. Wiem, jak to brzmi, naprawdę. Nie sądziłam, że ona się poświęci dla tego Daka, że rzuci się na nekromantę, że się wykończy tym przepływem mocy. Nie przewidziałam, nie rozumiałam. Tak, masz prawo mnie za to nienawidzić. Zwłaszcza teraz, gdy wszystko szlag trafił. Został tylko ten ostatni, bezsensowny i beznadziejny rozkaz. Ten cholerny artefakt sama oddałabym Neyestecae, przyniosłabym jej w zębach, gdyby to miało ocalić życie Lylian. Nie jest wart choćby kosmyka jej włosów... – wspomnienie miłsze i piękniejsze wyrwało na chwilę Ylvę z potoku czarnych myśli.

Kosmyk miedziano-rudych włosów, zapleciony w misterną obrączkę, zniknął zatrzaśnięty wieczkiem małego złotego puzderka. Puzderko stanowiło oczko sporej wielkości pierścionka, który zniknął w dłoniach gwardzisty..

Ylva doskonale знаła ten zawadiacki uśmiech przyjaciela, który w przeszłości sprawiał, że niejedna panna oddałaby wszystko na jedno jego skinienie. Ale widziała doskonale to, co pojawiała się w jego oczach, jakieś ciepłe iskry, i widziała, że tak Keithen patrzy tylko na Teralkę, tylko na swoją Convolve, Powój, Lylian, z tą troskliwością, oddaniem, czułością.

Na rozświetlonym, ukwieconym placu styrgradzkiej świątyni. To było wspomnienie z ich ślubu.

Czternaście lat później nie było już ani świątyni, ani Styrgradu. Ostatni raz widzieli się w Kalidoera Iembatan, gdzie gwardia miała bronić przeprawy. Powspominali, popili. Długo rozmawiali.

- Jest bezpieczna?

- Keith, ona nigdy nie jest bezpieczna.

- Ech, odpuść sobie – zachnął się gwardzista – W tej cholernej Dakonii ma chociaż jakieś wsparcie?

- Wszystko, co mogę dać jej do dyspozycji. Siatkę ludzi, informacje i asekurację, gdyby musiała uciekać, ale nie mogę jej strzec non stop.

- Bogini jej strzeże – w słowach Keithena nie było zbyt wiele przekonania. Jak wszyscy, tak i on od miesięcy nie słyszał już głosu swojej patronki – Ale wy strzeżcie jej też. I chcę, żebyś mi obiecała to, o co prosiłem.

- Ech... Powiedziałam, że zobaczę, co da się... Zresztą, to nie ode mnie zależy – zająknęła się pod wbitym w nią stalowo-niebieskim spojrzeniem – Dobrze, już dobrze, no, obiecuję. To będzie jej ostatnia misja w wywiadzie. Potem bierzecie dzieciaki i wracacie do Caer. Oboje. I futrzak.

- No – mruknął – Złożyłem wymówienie w gwardii. Pewnie odmówią, bo czasy ciężkie.

- Nie odmówią – uśmiechnęła się kącikiem ust – Zapewniam, że nie odmówią.

- Ach, tak – przypomniała sobie Ylva – Jest coś, co muszę oddać twojej córce.

Odpięła zamek w sakwie, przez chwilę szukając wśród akcesoriów, bandaży, eliksirów i podręcznych drobiazgów w rodzaju ostrzy do operacji. Odlewany z brązu pierścień wydawał się dość masywny, widniejący na nim wzorek, jak wiedziała, miał znaczenie tylko dla tych dwojga. Wytarła go z ciemniejących plamek zaschniętej krwi i zawięła w kawałek bandaża.

- Ale wiesz, uratowała tę misję – uśmiechnęła się blado – Serio. Tylko ona umie... umiała tak obracać ludzkie uczucia. Potrafiła sprawić, że ludzie jej ufali, nawet ci nadęci dakońscy wielmoże. Ufał jej ten Teral. Nawet Sędzia Rega. Kiedy przyszło co do czego, trzymała na wszystkim rękę, ten Wergund, który się obwołał księciem na przełęczu, był bezsilny. Stało się dokładnie tak, jak powinno, artefakt miał zostać w naszych rękach, przełęcz powinna zostać zamknięta... Ech... Ona by miała namówić Dragana, żeby stanął po naszej stronie, mając za plecami ścianę gór i przełęcz bronię przez Daków. Cóż, bogini miała inne plany. Jak widać. Ja nie umiem odgadnąć jej planów, ale cholera jasna, Keith, jeśli z tego wyjdziemy, to będzie jakiś pieprzony cud.

Bo naprawdę mało brakowało. I wciąż tego nie rozumiem... Przepraszam cię, Keithen. Wy tłumaczenie tego twoim dzieciom mnie przerosło.

Sanktuarium w Bilebrezach składało się z wielu osobnych kompleksów, poświęconych różnym aspektom bogini, niewielkie budynki z pociemniałego od impregnacji drewna okalały ogrody i sady, zamknięte z kolei pierścieniem nieprzebranych puszczy, pełnych groźnych stworzeń o najdziwniejszych kształtach. W tych lasach można było znaleźć pełny przekrój teralskiego bestiariusza, jak śmiały się łowcy potworów. Ylva cieszyła się, że zna drogę i bezpieczne miejsca, oznaczone symbolami bogini, kapłańskie kręgi, w których przed stworzeniami można było się schronić.

W samym sanktuarium ten zadziwiający spokój i życie, płynące zwyczajnym, naturalnym rytmem, który nie dawał się przyspieszać ani zaburzać, sprawiło, że Styryjka miała ochotę ze złością odwrócić się na pięcie i wrócić do swojego świata, gdzie właśnie upadały mocarstwa. Zamknęliście się w swoim bezpiecznym kręgu i udawać, że was to nie dotyczy... Żałosne.

Ciekawe, jak długo wytrzymają wasze kręgi i wasze leśne potworki, gdy zabranie bogów, animujących to wszystko swoją mocą. Co wtedy powiecie? Że dla Qa też możecie hodować zioła...?

- Matka przełożona prosi – jej rozmyślenia przerwała szaro odziana dziewczyna wieku może lat 14. Ylva przyjrzała jej się, szukając podobieństwa do Powój czy Keithena, ale nie znalazła najmniejszego. Uśmiechnęła się, skinąwszy z podziękowaniem głową.

Przełożona Cór Widy nie siedziała na podwyższeniu, na rzeźbionym tronie, który stał u szczytowej ściany sali. Stała przy oknie, zaplatając wraz z innymi kobietami warkocz ziół, mający zdobić okna przed nadchodzącym świętem żniw.

- Nie przynosisz dobrych wieści – stwierdziła chłodno. Ylva zmierzyła ją zimnym wzrokiem.

- To wieści dla waszych podopiecznych. Dla was samych chyba nie ma wieści, którymi moglibyście się przejąć. Nie wiem, może to, że susza zniszczyła ogrody w Karantanii, a na przełęczu Visnohora wyschła większość źródeł. Przybyłam do Sonji i Mirka Vanderen.

Kapłanka uśmiechnęła się wyniośle.

- Już po nich posłano. Daruj sobie te złośliwości, Styryjko. Wiemy, że przynosisz wojnę.

Pytanie, skąd to wiecie, zapytała w myślach Ylva, mrużąc oczy. O tym, że Derwan Jastrzębiec zdobył przychylność Dragana i namówił go do wojny, ona sama wiedziała od wczoraj, od swoich ludzi. O całej sytuacji w Terali wiedziała od drugiego dnia, gdy tylko przekroczyła granicę na Visnohorze. Książ wojewoda długo się wahał, ale nie omieszkał uzbroić wszystkich pogranicznych fortalicji, jakie mu zostały po Wergundach, od Widali pod Lędą, aż po Srebrnohorę pod Karantanią.

Uciszył ciężką ręką niesnaski między rodami i czekał. Przybycie Derwana i Gintera dar Bronore, wieści, jakie przynieśli z walczącej Dakonii, o tym, że obroniła się forteca na przełęczy Virańskiej i Archibald dar Bregen walczy – przechyliła szalę jego decyzji. Ze szczegółami została jej opisana scena, kiedy stary wojewoda tłumaczył odzianemu w złote pióropusze poselstwu, co zrobił ostatniemu władcy, który zmusił go do hołdu. Święte na całej północy prawa poselstwa nie pozwoliły Draganowi na spektakularne wywalenie posłów przez okno. To nie Samnia, powiedział ktoś. Jeszcze, dorzucił poseł i wtedy podobno kniaziowi puściły nerwy, wdał się w szarpaninę z wysłannikami. Niepotrzebnie, głupio. Ważne, że jednak podjął decyzję. Terała walczy. Może więc zdążą. Gdy tylko postawiła stopę na teralskiej ziemi, natychmiast zaktywizowała całą styryjską siatkę w regionie, do aktywnych i uśpionych agentów poszło hasło najwyższej gotowości. Od Karantanii do Silbrfjell w Górach Caileach w północnym Tryncie przygotowała szlak bezpiecznych schronień, domów, piwnic, leśnych chat, podziemnych schronów w górach. Czekają tam niezbędne akcesoria, broń, rozmaite alchemiczne akcesoria, od preparatów zmieniających kolor oczu, aż po takie, które powodowały kilkuminutową śmierć kliniczną, prócz tego trucizny, usypiacze, blokady przeciw zakłębom, eliksiry podnoszące próg bólu, wyostrzające percepcję, uodparniające na skopolaminę czy amytał sodu. Najprostsze, a niezwykle przydatne przedmioty, pomagające zmienić tożsamość – sygnety rodowe i papiery, barwniki do włosów, stroje, sztuczne blizny. Czekają ich droga, która wymagała staranności, zadanie, które nie tolerowało błędów. Musieli niezauważeni przejść przez zajęty przez wroga kraj. Musieli mówić z tryntyjskim akcentem, nie rzucać się w oczy, a sporej wielkości tarczę przenieść przez posterunki. Musieli dostać się na Wysokie Ziemie, odnaleźć tam człowieka, którego informacje mogły doprowadzić ich do właściwego miejsca. W tym miejscu musieli zrobić to, co wskazali kapłani Tavar i modlić się, aby to odniosło skutek taki, jak się spodziewali. Musieli zrobić to tak, aby nie wpaść w oczy żadnemu kapłanowi, żadnemu szamanowi, nie pozwolić za żadne skarby, aby ktoś odkrył, co niosą i dokąd. Ona zaś musi to wyjaśnić dakońskiemu wielmoży i teralskiemu watażce, że muszą schować w kieszeń tytuły i tożsamość, honor, godność i umiejętności bojowe. I o to się bała najbardziej...

Tok rozmyślań przerwało jej wejście dzieci. Ylva wciągnęła powietrze. Trudno było nie zauważyć, jak bardzo mała Vanderenówna jest podobna do matki. Przy czym „mała” to było złe słowo. Czternastolatka była niezwykle rozwinięta, jak na swój wiek. W jej ruchach widać było zdecydowanie, w oczach nadmierną dojrzałość. Styryjka przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło.

- Ciociu...

Czarna sukienka, którą Sonja nosiła, sygnalizowała, że wiedzą. Mocno objęła dziewczynkę, w milczeniu, pogładziła dłonią po kasztanowych włosach.

- Przepraszam, mała. Nie mogłam... Nie zdołałam... Jak się dowiedzieliście?

- Beru. Zaczął szaleć i niszczyć wszystko tamtego dnia, jakby chciał się wyrwać, a potem tak strasznie wył... Tak długo wył...

Z trudem opanowała łkanie, wtulając twarz w ramię dziewczyny. Stały tak przez chwilę, aż mała wypłakała się i uspokoiła. Ylva podniosła oczy, trafiając wzrokiem prosto na zimne spojrzenie chłopaka. Opuściła wzrok.

- Mirko, nie...

- Wiem, nie zdołałaś – powiedział poważnym, niskim głosem, w którym dźwięczała bolesna ironia i wyrzut. Zaciśnęła zęby. Należało się jej.

- Nie zdołałam – powtórzyła – Wasza mama... Była wojowniczką, kapłanką... Wiedziała, że któregoś dnia może się tak stać. Ona wybrała sama taką drogę...

- A to zwalnia jej przyjaciół z odpowiedzialności, prawda...? – chłopak nie patrzył już jej w oczy, ale kolejne słowa cięły jak ostrzami – Skoro wybrała, to można posłać ją w takie miejsca, gdzie nikt rozsądny by nie poszedł i dać jej zadania, których nikt by nie wykonał...?

- To nie tak...

- Nie?! Pochowałaś ją chociaż?!

- Mirko! – dziewczyna uciszyła brata, kładąc mu dłoń na ramieniu, zanim Ylva zdążyła skłamać – Ciociu. Opowiesz mi wszystko?

- Na pewno chcesz to wiedzieć?

- Na pewno. Beru śpi teraz, ale na pewno chciałby cię zobaczyć. Wiesz, on prawie nic nie je od tamtego czasu. Chodźmy na spacer, dobrze? Proszę... Mirko, wróć do dormitorium.

- Pójdę z wami.

- Nie. Chcę porozmawiać z ciocią sama, dobrze...? Proszę.

Więc przyjdzie mi to opowiedzieć dwa razy, westchnęła Styryjka. Dobrze, jeśli tak musi być.

Mirko nie podał jej ręki ani nawet nie skinął głową. Wybiegł, szybkim krokiem przemierzając zalany słonecznym blaskiem dziedziniec. Wyszły za nim powoli, w nieznośnym, sztucznym milczeniu.

Beru rzeczywiście spał. W wielkiej, krytej słomą stodole miał urządzone całkiem wygodne legowisko, choć w sumie trudno stwierdzić, czy wielka sterta słomy i skór to kwintesencja wygody dla zwierzęcia wychowanego pod ziemią. Był mniejszy, niż go zapamiętała. A może już tak się oswoiła z jego ogromem, że przestał na niej robić wrażenie.

Położyła dłoń na jego ponad półmetrowej kufie. W pierwszym odruchu obnażył zęby i Ylva skrzywiła się mimowolnie na dobywający się od nich smród padliny. Otworzył oczy, ale wiedziała, że patrzy na nią nie nimi tylko swoim wielkim nosem. Obwąchał jej dłoń i zerwał się, zmuszając ją do odskoczenia, bokiem zahaczył jeden z słupów i z powały posypała się słoma i trociny.

- Ciiiiii, Beru... Szzzzz, perdamaiian, sedikit. Kavanan!

- Od kiedy mówisz w kahta? - dziewczyna uśmiechnęła się z dumą, jakby to zdziwienie agentki było dla niej największą pochwałą.

- Nauczyłam się – odpowiedziała – Najpierw w Caer, potem trochę tutaj. Mają tu naprawdę mnóstwo mądrych książek.

Wyszli wszyscy troje, one dwie obok siebie, za nimi olbrzymi, choć wychudzony jaskiniowy niedźwiedź. Sonja w milczeniu złapała ją za rękę, sprawiając, że Styryjka nie zdołała opanować zaciśniętego gardła. Ocieranie łez w sumie nie miało sensu. Szły więc tak, najpierw alejkami przez sady, potem w las. Ylva mówiła, mówiła długo, ze szczegółami, nie oszczędzając ani siebie, ani dziewczyny. Sonja milczała i też nie ocierała łez. Zaciskała tylko dłoń na dłoni Styryjki. W zaroślach słychać było szelesty i szusty – to strażnicze stwory uciekały przez Beru, który niefrasobliwie raz po raz znaczył teren.

Przepraszam, Keithen. Zawaliłam jak szlag i wiem, że ani ty, ani Lylian mi tego nie wybaczą. Nie czekam nawet waszego wybaczenia. Powinnam była zorientować się wcześniej. Obejrzeć się, albo chociaż zabezpieczyć teren. Wziąć o jeden nóż więcej. Tak cholernie zawaliłam... A teraz za to zapłacę, psiakrew, bo pewnie nie zdołam już tego odkręcić.

- Nie mogłaś nic zrobić – szepnęła Sonja, gdy w końcu zatrzymały się nad strumieniem. Gładziła leżącego na boku niedźwiedzia za uszami i obracała w dłoni pierścień matki, który Ylva jej dała chwilę wcześniej – Nie mogłaś, ja pewnie też bym nic nie zrobiła... Kavanan, Beru, kavanan...

- Sonja, to nie jest tak, że oczekuję rozgrzeszenia – Ylva usiadła, opierając się plecami o drzewo – Zdaję sobie sprawę, że w imię niepewnego artefaktu dopuściłam do śmierci najpotężniejszej devi terphilin, najcenniejszej dla nas wszystkich...

- Dla nas wszystkich... – powiedziała dziewczyna w zamyśleniu. Styryjka podniosła wzrok pytająco.

- Taaak – kontynuowała Sonja, kryjąc twarz w futrze zwierzaka – Przecież była dziecięciami bogini. Jej skarbem, jej kapłanką. Tak jak Nemeria dla mamy, prawda?

Wzrok Ylvy był coraz bardziej pytający.

- Co z Nemerią? Maeglim ci powiedział? Gdzie on jest właściwie...? – osztorcowała się w myślach, że nie zapytała wcześniej o elfa, którego Elidis przydzielił tu do ochrony dzieci Lylian.

- Powiedział – głos Sonji zmieniał się stopniowo – Powiedział, że została aresztowana i oskarżona o zdradę. Bo pisała listy do człowieka, którego jej matka przedstawiła jako agenta, a który był w istocie podkupiony przez Qa. Powiedziałaś jej?

- Co powiedziałam...? – nagły niepokój ścisnęła Ylvę za gardło – Sonja...

Dziewczyna wstała, twarz miała spokojną, tylko oczy płonęły jakimś dziwnym ogniem.

- Czy powiedziałaś matce przed śmiercią, że jej córka nie zdradziła, że zdradził tylko ten, któremu ona sama zaufała. Powiedziałaś Lylian, że to jej złe decyzje zabiły jej przybraną córkę? Nie sądzę, prawda?

- Rzeczywiście. Prawda – Ylva wstała powoli – Rzecz w tym, że Maeglim tego nie wiedział. Gdzie on jest?

- Nie powiedziałam ci? Zginął, kilka dni temu. Przykra sprawa. Kavanan, Beru...

- Sonja, co tu się dzieje?

- Ty mi to powiedz, szefie wywiadu. Ty mi powiedz, jak to się stało, że moja bogini poświęciła najlepsze ze swoich dzieci w tak głupi sposób... Jak to się stało, że ta, która potrafi przesuwac władców jak pionki i rozgrywać wojny poza polami bitew, nie zdołała uratować najcenniejszej ze styryjskich kapłanek? Kavanan, Beru....! Tahan!

Widząc, co robi niedźwiedz, jak spina mięśnie i tuli uszy, Ylva od dłuższego czasu miała w dłoni płaski nóż, przeklinając w myślach, że nie wzięła ze sobą pełnego wyposażenia. Słuchała słów Sonji i prawda ukazała się jej oczom jakby ktoś zdarł z niej zasłonę. Mogła rzucić. Nie, nie w niedźwiedzia, on by nawet nie poczuł. W dziewczynę. Mogła cisnąć nożem, to były raptem dwa metry. Oko, szyja, skroń... Mogła ją zabić, bez problemu, bez wątpliwości. jeden celny wypraktykowany ruch, nie dałoby się nie trafić. Dziewczynę o twarzy Lylian, jej córkę... Mogła ją zabić. Zamiast tego odskoczyła w tył, chcąc rzucić się w zarośla, ale nie spodziewając się reakcji magią ze strony dziewczyny, odwróciła się do niej tyłem. Pchnięcie energii rzuciło ją na korzenie drzewa, przeturlała się po nich, ale Beru dopadł ją i uniósł jak pióro, po czym cisnął o ziemię. Poczula, jak pękają niedawno zaleczone magicznie żebra. Zabrakło jej tchu.

Przepraszam, Keithen, że nie zdołałam zabić twojej córki.

Sonja stanęła nad nią, jedną dłonią głaszcząc niedźwiedzia, który głucho warczał i przyciskał do ziemi łapą Styryjkę. Drugą dłonią bawiła się ostrzem jej własnego noża, po którym przeskakowały błękitne wyładowania.

- Nie sądziłaś, że mam moc, prawda? Tak cholernie mało rzeczy byłaś w stanie przewidzieć. Jak ślepy fanatyk, widzisz tylko jej rozkazy. Bogini... Wiem, co byś powiedziała, gdybyś się własnie nie krztusiła krwią, wiem. To, co mówiła matka do znudzenia. Że bogini o nas dba, że dla nas się naraża, że o nas walczy. Powiem ci coś. Dla nie wasza bogini jest tylko zaborczym krwiozerczym

demonem, który opętuje umysły i odbiera rozsądek. Spójrz na swoich ludzi, spójrz na siebie. Nie było zbrodni, do której byście się nie posunęli na jej rozkaz.

Ylva rzeczywiście zaczynała się krztusić, ból odbierał siły i przyćmiewał myśli, które desperacko szukały wyjścia z sytuacji, ale żadnych nie znajdowały. Głos Sonji zaczynał do niej docierać z jakiegoś dystansu, rozmywać się i cichnąć.

- Ona wykorzystała mamę, wykorzystała jej ból i żal, uzależniła ją od siebie, a potem zniszczyła, jak zużyte narzędzie. Powiem ci coś, Ylvo Darren. Ja nie jestem dzieckiem. Mam dość siły, nawet nie wiesz ile. Beru jest mój. Więź z mamą, która pękła w momencie jej śmierci, przeszła na mnie. A ja dokonam zemsty. Nie na tobie, ty jesteś nikim. Na niej. Na Tavar, tym krwawym bezdusznym potworze, który odebrał mi rodziców i dom. Tak, wytrzeszczaj się. Widzisz to? – wskazała na lśniący już regularnym błękitem sztylet – Znalazłam protektorów. Znalazłam ... opiekunów. I wiem, co mam zrobić, żeby ją zniszczyć. Przysięgałam już przed nimi, ale powtórzę i tobie, bo pewnie zaraz twoja dusza przepełni przez Mgły, więc im to powtórz. Sonja Vanderen zniszczy ich. Stanę razem z Zapołudniem i zniszczę ich. Patrz na mnie! – uderzenie oprzytomniło ją na chwilę, ale brak powietrza i krew zalewająca usta i tak uniemożliwiły odpowiedź. Ostatnie słowa doleciały do niej już z ciemności – Wiedz, zdychając, że całe twoje dzieło pójdzie w drzazgi. Wszystko, o co walczyłaś. Styrię zrównam z ziemią. Gwardię wybiję. Świątynie Tavar zamienię na stajnie dla koni. A ty... ciebie zapamiętają jako zdrajcę, sprzedawczyka który wyparł się swoich... Tak właśnie....

Z ciemności wyrwał ją nagły ból, powietrze rozciągnęło płuca, a te poruszyły niedawnym złamaniem. Jak zza zasłony dochodziły krzyki, odgłosy walki, szczeł stali. Czyjeś ręce podniosły ją z ziemi, szybko i niedbale rozlany eliksir zaszczypał skórę.

- Uważaj, uważaj na niedźwiedzia! – krzyknął ktoś tuż przy niej. Derwan. Zaraz za nim nagły błysk rozdarł ciemność, gdzieś z oddali rozległ się dziewczęcy krzyk i inkantacja. Ginter.

- Możesz wstać? – to do niej. Nie może, chciała powiedzieć, ale tylko stęknęła, plując krwią – Musisz. Musimy się stąd...

Dźwięk rogów. Rżenie koni. Jacyś ludzie przy światłach pochodni.

- Uciekła! Ona i niedźwiedź! – Ginter najwyraźniej biegł – Zrywamy się stąd. To ludzie Dragana! – szarpnięcie pod rękę, ból, oparcie na czyimś ramieniu.

- Cholera i jasny szlag... Czekać... Nie zdążymy.

Ciemność. Cisza.

Gdy odzyskała przytomność, było już dobrze ciemno. Pierwsze, co zanotowała, to brak bólu. W pierwszym odruchu chciała dotknąć ręką miejsca złamania i zanotowała też drugi fakt. Że nie może, gdyż nie czuje rąk. Chwilę zajęło jej zrozumienie dlaczego i że to tylko odretwienie uniesionych nad głowę kończyn. Ręce był związane solidnym rzemieniem i przymocowane do chyba słupa. Co u licha... Skupiła wzrok i spod przymkniętych oczu zaczęła obserwować sytuację.

Obozowisko. Ogniska. Dużo ognisk. Ludzie siedzący przy nich. Żołnierze. Przyjrzała się mundurom. Czerwone tuniki Karanawiców. Brązy Jastrzębców. Zielenie Bobrowiców. Ludzie Dragana.

Dostrzegła sztandary.

Wszystkie obwiązane czarnymi wstęgami.

Spróbowała się poruszyć. Żebra nie bolały, więc ktoś zdążył je poskładać, magicznie zapewne. Gdzie jest Derwan i Ginter... Gdzie jest Sonja... Przy najbliższym ognisku, kilka metrów od siebie dostrzegła pobladłą twarz Mirka, dziewczyny nie widziała nigdzie, nie widziała też Beru.

Spróbowała sięgnąć zdrętwiałymi palcami do karwasza, ale nie miało to najmniejszych szans powodzenia, nawet gdyby nóż wciąż tam jeszcze był. Zostawały tylko słowa, pomyślała. Wreszcie dostrzegła znajomą sylwetkę. Derwan pociągając pozornie niefrasobliwie z kufła, zatoczył się i zaintonował jakiś kawałek, okrutnie fałszywie. Jednocześnie rozejrzał się dyskretnie i podszedł w jej stronę, uśmiechając się do kogoś za jej plecami. Strażnik.

Niewyraźne słowa.

- nie śpiewaj!...

- ... dooobra.... mogę ...niej?

-po cholereę ... gadać... o czym...?

- ... powie.... dlaczego... do nędzy....

- ... kim ona

- styryjskim... wszyscy to.....

- ...dobra.... chwile....

Szelest, kroki, witeż przyklęknął obok.

- Co tu się, do ciężkiej cholery...

- Cicho. Słuchaj – szept Terala bynajmniej nie wskazywał na niefrasobliwość, ale musiała się dobrze skupić, żeby zrozumieć jego błyskawicznie i niewyraźnie wypowiedane słowa – Dragan nie żyje. Cicho, mówię. Utonął wczoraj przy przeprawie wojsk przez rzekę. Ktoś, kto badał jego ciało, stwierdził, że był czymś podtruty, nie wiem skąd, ale ktoś rzucił dowodami, że to twoja robota.

- Zwariowałaś...?

- Cicho, psiakrew. Wiem, że to nie ty. Ale nie wyciągnę cię teraz, nie ma szans.

- Dobra – odetchnęła głęboko – Jakoś to ogarnę. Bierz artefakt i zasuwaszcie na północ. Wszystko przygotowane. Skrzynkę kontaktową miał Maeglim, znajdźcie jego skrytkę, w sadzie za kapliczką Jordego, pod kamieniem oznaczonym zieloną farbą. Masz tam wszystkie informacje i instrukcje...

- Ten Maeglim wie?

- On nie żyje. Czeka, jeszcze coś.

- Co?

- Przy mojej sakwie wędrowniej jest list.

- Ten który pisałaś po nocach w obozowisku? Ten do Keithena?

- Tak.

- Gdzie go wysłać?

- Nigdzie. Spal go.

- Co?

- Spal go. Keithen poległ miesiąc temu w Kalidoera Iembatan. Chciałam mu to położyć na grobie, ale teraz lepiej to spal.

- Psiakrew. Lylian wiedziała?

- Nie.

- A ten co z nią tak gawędzi?! – drugi strażnik. Ylva znieruchomiała – Odsuń się od niej!

- Oddasz mi później – szepnął Derwan.

- Co...?

Nagły rozbłysk zdezorientował ją lekko, potrząsnęła głową, żeby ustabilizować wzrok i wtedy padł drugi cios. Gwałtownie wypuściła powietrze i zwinęła się w pół na tyle na ile pozwalały więzy i wtedy poczuła wsuwane we włosy wąziutkie ostrze. Usłyszała śmiech tamtego strażnika i głos Derwana:

- Zabiła mojego wojewodę. Należało się jej. Mam nadzieję, że nie przeżyje przesłuchań.
 - Wszyscy na to liczą – odpowiedział tamten, znów dalsze odgłosy, hałasy, ktoś jeszcze podszedł. Korzystając z zamieszania Terał pochylił się jeszcze raz.
 - Wybacz. Powodzenia.
 - Wzajemnie – mruknęła, podnosząc się – Nie schrzańcie tego.
 - Nie daj się zabić.
- Gdy się podniosła, witezia już nie było przy niej.

Rozdział I

Zapomniane

Teralskie lochy, rok 915
Wspomnienia to wydarzenia obozu 2014

Kiedy trzeba było skupić myśli i wysilić się w poszukiwaniu rozwiązań, właśnie wtedy umysł płała figle i stawał dęba. Może to kwestia zbyt wielu przyjętych uderzeń, może zmęczenia kolejną dobą bez snu, może kilkoma innymi drobiazgami jak niedoleczone rany czy gorączka. Przyczyna była mało istotna. Istotny był fakt, że trzeba było znaleźć wyjście z tej sytuacji. Teraz, zaraz, zanim któryś z nieudacznym teralskich śledczych przesadzi z uderzeniem.

Jeszcze kilka dni temu wyjść z sytuacji było co najmniej parę.

Można było uciekać. Podarowana w ostatniej chwili przez Derwana ostra szpila mogła przeciąć więzy, a póki nie dotarli do trzymanego przez Awdanów grodu Bilebreza okazji do ucieczki mogło zdarzyć się wiele. Zdecydowała jednak inaczej. Kilka dni przed zabójstwem kniazia ona i Derwan spotkali się z Draganem, przedstawiając w miarę otwarcie sytuację z rejonie virańskim. Derwan dorzucił to, co ustalił z bratem i resztą kniazów spod znaku Jastrzębców – póki co wstrzymają się ze zwoływaniem Wielkiego Wiecu, nie będą aspirować do buławy, przełożą wszystko na po wojnie. Ylva dorzuciła to, co wiedziała o Tryncie, wszystko razem sprawiło, że wojewoda dotychczas balansujący na cienkiej linii barykady zdecydował o wyborze strony. Zdecydował słusznie, a ona zaproponowała mu przychylność Styrii i pomoc jej ludzi. Miała w Terali całą siatkę, sprawnie porozmieszczanych po grodach ludzi, nie od wczoraj przecież było wiadomo, że Terala prędzej czy później będzie musiała wybrać. Dzięki swoim ludziom od dawna wiedziała, na ile rodów może liczyć, ile trzeba będzie przekonać złotem czy szantażem, a ilu nie przekona z pewnością. Tych ostatnich było wiele. A teraz jeszcze do tej układanki doszła córka Lylian.

Zdolna córka genialnej matki. Ile Sonja zdążyła sprzedać z tajemnic, o których wiedziała? Ile wiedziała? Co z jej bratem, czy wie, czy jest w tym spisku? Co z człowiekiem Elidisa, który pilnował młodej... Nieznosiła nie wiedzieć. Niewiedza była cholernie niebezpieczna.

Rozważenie możliwości przyniosło decyzję. Ucieczka byłaby najprostsza. Zniknąć i spokojnie wytropić ludzi, których Qa mieli w garści. To oznaczało jednak, że chwiejna decyzja Terali o przystąpieniu do wojny zawisnie na włosku w obliczu wszem i wobec głoszonej wieści, że styryjski zabójca zamordował kniazia wojewodę. Wyciągnięcie na światło dzienne spisku przeciw niej i przedstawienie dowodów na własną niewinność potrwa o całe wieki zbyt długo. Ładując w samym środku awantury miała okazję dużo szybciej poznać szczegóły intrygi. O ile w ogóle była to intryga, a nie topornie sklecona mistyfikacja.

Cokolwiek to było, jednym celnym posunięciem zburzono budowany od roku układ i to tuż po tym, jak udało się go sfinalizować. Styria postawiła na równowagę – dwa największe obecnie znaki regionu, z naciskiem na większe wsparcie dla Jastrzębców, aby czynić ich batem na Dragana, w razie gdyby jednak chciał fiknąć. I co? Ona, powiązana z Jastrzębcami osobą Derwana, zostaje wrobiona w zabójstwo Karanawica. Wszystko, jak domek z kart...

Używając posiadanych informacji mogła spodziewać się, że uda się jej doprowadzić do tego, żeby porozmawiać z kniaziami spod znaku Karany, że uda się mimo wszystko utrzymać to świeże porozumienie wojenne, a przy okazji odwrócić uwagę od Derwana i jego misji. Ucieczka z więzienia, choć bezsprzecznie trudniejsza, w razie problemów i tak powinna pozostać możliwa. Ostatecznie w otoczeniu wojewody także mieli kilku zabunkrowanych ludzi, ryzyko było więc duże, ale znowu bez przesady. Nie dla kogoś, kto dla misji wpakował się dobrowolnie do wergundzkiego obozu jenieckiego.

Kilka dni później ta decyzja nie wydawała się Ylvie już tak bardzo słuszna.

Chociaż rzeczywiście zdążyła się już dowiedzieć wszystkiego o tym, na jakiej podstawie rzucono na nią podejrzenie, to skontaktować się ze swoimi było diabelnie trudno, zanim dostrzegła znak u jednego ze strażników, minęły dwa dni, a teralscy śledczy nie bawili się w psionikę i eliksiry, używali metod klasycznych, mniej skutecznych, ale z długą tradycją. Przynajmniej wiedziała, że może liczyć na ułatwienie ucieczki. Przekazanie kontaktu do Jastrzębców zajęło jej jeszcze dzień, ale udało się. Dawało to pewien komfort psychiczny, pułapka, w którą weszła, nie wydawała się już tak przerażająca.

Dobrze знаła to uczucie osaczenia, łapiące za gardło w przyływie paniki powodowanej myślą, że nie uda się już nigdy wydostać, że tu już zostanie. Uczucie, które dawało się okiełznać tylko wolą pamiętania. Pamiętać, po co to wszystko. Pamiętać... powtórzyła także tym razem, kładąc głowę na gołej desce, będącej namiastką łóżka. Więc pamiętała.

Przegrana walka. Niewola. Upokorzenie.

Chłód stali wergundzkich kajdan zaciskających się na nadgarstku.

Zgrzyt drobinek ułamanych zębów po kolejnym ciosie oficera w stopniu dekuriona.

Od bólu, powodowanego kajdanami, gorszy smak pyłu podłogi, dostającego się do ust, gdy bezwład nie pozwalał się podnieść, nie pozwalał spojrzeć w oczy oficera, a tylko na czubki jego butów.

Pamiętać, po co. Pamiętać sens tego wszystkiego. Czepić się tego sensu jak światła w tunelu, zacisnąć zęby i wytrzymać.

W każdym razie, póki da się je zaciskać.

A potem pójść tam jeszcze raz, dobrowolnie, jeszcze raz.

Bo kto inny miałby.

Szpiedzy nie mają godności...

Otrząsnęła się z płytkiego półsnu, natychmiast wyłapując dźwięk, który ją obudził. Dźwięk klucza w zamku. Psiakrew, pomyślała, więc jednak to nie będzie spokojna noc.

- Odwal się, sama pójde – mruknęła niewyraźnie do strażnika, uprzedzając jego poszturchnięcie. Fakt, że posłuchał, przyjęła za dobrą wróżbę. Może to nie o przesłuchanie chodzi tylko jednak o rozmowę, może ktoś z dygnitarzy w końcu się pofatygował, zrozumiałwszy, że nikt nie ma dla nich lepszych propozycji niż ona. Rzuciła okiem za siebie – w celi, gdzie ja trzymano, u samego sufitu znajdował się wentyl, który w dzień jaśniał światłem. Teraz nie jaśniał, musiała być noc, co potwierdziło jej przypuszczenia.

Sala przesłuchań była de facto salą tortur, choć na szczęście większość skomplikowanych narzędzi służyła głównie do robienia wrażenia. Ylva za dobrze rozeznawała się w technikach przesłuchań, żeby nie zauważyć, że większość była zwyczajnie bezużyteczna. Celem przesłuchania zwykle było wyciągnięcie informacji, od martwych na ogół trudno to zrobić. A powyrywane kończyny i powyrywane wnętrza tylko do tego prowadziły.

Usiadła bez zbędnego utrudniania na krześle i pozwoliła związać ręce z tyłu, pilnując, żeby napięte celem uzyskania luźniejszych więzów ręce nie zwróciły uwagi. Zwyczajowo omiotła wzrokiem całe pomieszczenie. Drzwi, zasuwą wisi luźno na jednym gwoździu, w razie czego do wyrwania. Na ścianie od cholery narzędzi, rozmaite metalowe pręty i łomy, w razie czego do użycia. Krzesło, spokojnie do wywrócenia. Stół też, gdyby trzeba było się osłonić przed strzałem. Światło, trzy spore świece przy ścianie, jedna na stole. Podłoga kamienna, lita, brak możliwości kopania. Ściany mieszane, skała i murowany kamień.

Skrzypnięcie ciężkich drzwi nie przerwało jej obserwacji, tylko dodało do nich osobę, która weszła do środka.

Kobieta, wieku może ze 40 lat, niewysoka, drobna, musiała być od Ylvy niższa po pół głowy. Blondynka, jak większość w Terali. Strój elegancki, bardzo zamożny, czółko wyszywane perłami, złote kabłączki, naszyjnik ciężki od złotych lunuli, nanizanych obok pereł i koralu. Szkarłatny płaszcz. Suknia wyszywana złotem przy rękawach, przy pasku nożyk i kaletka z wyhaftowaną złotą – a jakże – koroną.

Ylva przejrzała w głowie osoby z Awdanów, głównego rodu znaku Karana, które pasowały do tej sytuacji.

Salomea, żona Mścislawa Awdana, pasowałaby, chętnie wyręczała męża w dyplomacji, nie bała się wyzwania. Ale nigdzie nie zapisano, że była piękna. Ta była.

Bieclawa, siostra Izborza Awdana, ambitna, niezamężna, o tej było słyhać jako o niezwyklej urody pani, mówiono, że sławna Elizabeth w nią się wdała urodą... Ale tamta była brunetką.

Dragmira Sulisławówna Awdanka, wdowa po kniazu Wielisławie z Lędy, równie ambitna, matka dwóch synów, którzy aspirowali do następstwa po Draganie. Wielki wróg Jastrzębców. Wiek, wygląd... Mogło się zgadzać.

Zanim przybyła się odezwała, Ylva zdążyła zauważyć ostrą końcówkę sprzączki od pasa, fibulkę i wielką spinę we włosach, każde z nich mogło posłużyć jako broń. Amatorka, uśmiechnęła się w myśli pod adresem przybyłej, delikatnie obracając w palcach węzeł sznura na nadgarstkach. Był już prawie poluzowany.

- Dobry wieczór – uśmiechnęła się przybyła z lekką ironią w głosie. Głos był absolutnie spokojny, pewny siebie i dźwięczny – Nie chciałam przeszkadzać w spoczynku...

- Po co te wstępy, pani – Styryjka spróbowała od zbiecia z tropu rozmówczyni – Proszę wybaczyć, ale nie mamy czasu na zabawę w cięte riposty. To, co się stało...

- Ylvo – kobieta przerwała jej dość zdecydowanie – Nie zamierzam się w nic bawić. I nie interesuje mnie, co masz do powiedzenia.

- Powinno. Jeśli chcecie utrzymać buławę...

- Nie obchodzi mnie buława – więc jednak jakaś prywatnie, pomyślała Ylva, nie pozwalając aby chociaż cień przemknął przez jej twarz. Zemsta? Interes rodu zamiast znaku? Może kwestia synów... – Obchodzi mnie twoja osoba – cholera, czyżby zemsta?

- Nie przypominam sobie, abyśmy się kiedyś spotkały – odpowiedziała ostrożnie, czekając na dalsze informacje do układanki. Może to ktoś związany z Lylian... ale nie, Lyl nie była z kniaziewskiego rodu, niemożliwe. Co u licha.

- Nie spotkałyśmy się. Tak, dobrze zgadłaś. Jestem Dragmira córka Sulisławy – kobieta wbiła wzrok w twarz Styryjki, czekając na efekt. Nie doczekała się, Ylva w myślach tylko zakłęła. Psioniczka. Psiakrew. Co prawda wszystkie osłony psioniczne już dawno miała aktywowane, była więc stosunkowo bezpieczna, ale wciąż był to najbardziej ryzykowny rodzaj przeciwnika.

- A pofatygowalaś się tutaj, Dragmiro, bo....? – uśmiech, który zobaczyła na twarzy Teralki, przekonał ją, że nie będzie łatwo.

- Bo potrzebuję odpowiedzi, zanim umrzesz...

Węzeł na rękach puścił na tyle, by dać się zdjąć w razie zagrożenia życia natychmiast. Ylva była przygotowana na taki scenariusz. Psionicy nie przebijają się przez zaklęcia, jakie na nią nałożono, w każdym razie nie bez użycia mocy, która je stworzyła. A ta moc była aktualnie niedostępna. Ostatnia osoba, która jeszcze słyszała Boginię, wykrwawiła się tuż pod przełęczą pod Viran. Westchnęła teatralnie.

- Pytaj więc, od... – nie zdążyła skończyć słowa. Dłoń psioniczki wystrzeliła w przód umykającym oczom ruchem, uderzając ją w nasadę nosa. Moc rozbłysła Ylwie pod powiekami znajomym, wirującym blaskiem, rozeszła się w umyśle, utrudniając myślenie i koncentrację. Styryjka znała do znudzenia to uczucie. Każdego w wywiadzie siłą rzeczy szkolono w odporności na ten rodzaj magii, każdy wypuszczony w teren człowiek musiał to umieć przechodzić. Sama dziesiątki razy

obserwowała, jak szkolono młodych, choć nie był to przyjemny widok, to była pewna swoich możliwości.

Choć aż chrupnęły jej kręgi, gdy głowa odskoczyła do tyłu, spokojnie zamknęła oczy. Pod powiekami pojawił się jej obraz gór, nie do wymazania z pamięci zarys szczytów widocznych z okna jej dziecięcego pokoju. Zawsze skuteczny w wyhamowywaniu zakłęb rzucanych na umysł. Szarpiąc się tylko tyle, żeby magini nie powzięła podejrzeń o nieskuteczności swoich działań, ostatecznie pozwoliła by ta położyła jej ręce na skroniach.

Coś było nie tak.

Nie poczuła znajomych impulsów, które aktywowały losowe przebłyski pamięci, ani chaosu myśli i huśtawki uczuć, od wzruszenia do nienawiści. Otworzyła oczy. I zrozumiała koszmarny błąd, jaki popełniła. Wzrok Teralki zmroził ją i przeraził tak, że panowanie nad twarzą stało się wyzwaniem. Bo w białkach szeroko otwartych oczu błysnął fosforyzujący błękit. Magia minerału. Szarpnęła rękami o sekundę za późno.

Potężny impuls magiczny trafił prosto w cel, spinając mięśnie i powodując, że prawie udławiła się krzykiem. Próba przełamania świadomości przez zakłęcie spowodowała ból jeszcze większy, tak, że gdy ustał, przez chwilę zdawało się jej, że straciła przytomność. Leżała na ziemi obok wywróconego krzesła, zimny kamień podłogi chłodził policzek. Próba podniesienia głowy spełzła na niczym, ośrodek nerwowy nie zamierzał słuchać.

Po cholere, wrzasnęła w myślach z rozpaczliwą irytacją, po co oprócz własnej przyjemności, to robisz??

- Szzz... – mruknął miękko głos magiczki, która musiała przykucnąć za jej plecami – Wiem, że to irytujące. Wiem, że mi teraz nie odpowiesz na żadne pytania, wiem, że to wytrzymasz. Ale widzisz, ja bardzo potrzebuję tych odpowiedzi, a tylko ból pozwala przełamać wolę taką jak twoja.

- Jak... – Ylva z trudem wydobyła głos przez zaciśnięte jak do płaczu gardło – Ród Awdan zdradził...?

- Chodzi ci o to?... – Dragmira przesunęła dłoń tuż przed nos Ylvy, wielki pierścień z błękitnym kamieniem rozjarzył się światłem – Pojęcia nie masz, ilu ludzi mamy wśród waszych. Przepraszam, wbrew pozorom nie sprawia mi to przyjemności.

Zanim Ylva zorientowała się, do czego odnoszą się te słowa, kolejna potężna fala bólu targnęła nią, sprawiając że nie poczuła zupełnie uniesienia głowy i uderzenia nią o ziemię. Świadomość trzymała się gdzieś na krawędziach kontroli, ciało odmawiało zajmowania się nawet takimi rzeczami jak oddech. Zwinęła się w wymiotnym odruchu, spazmatycznie łapiąc powietrze, gdy zakłęcie odpuściło na chwilę. Nim zdążyła przełknąć ślinę, uderzyło znowu.

Nie wytrzymała. Świadomość odpłynęła w nicość, zemdląła.

Chłodna noc. Nogi bołą, skurcze łapią po długim marszu kamienistą drogą. Bołą zdrętwiałe od więzów ręce. Dopiero co zmienił się oddział eskortujący, więc większość twarzy, łącznie z oficer w stopniu centuriona, to nieznajomi.

- Zostało ci coś tych prochów na ból łba? – mruczy do niej Hamish, wysoki Tryntyjczyk, idący zaraz obok. Też ma związane ręce. Znają się od Vekowaru, gdzie ponoć wszczął bójkę z oficerem.

- Przykro mi, stary... – jej własny szept, nieco obcy – Nic nie ...

Uderzenie w ramię.

- Nie rozmawiać, cholera jasna – wergundzki szeregowiec, ciemne oczy mierzą ją z typową dla nich obojętnością. Bez nienawiści, bez gniewu. Rozkaz to rozkaz – Bo każę was zakneblować.

- Spieprzaj – wiadomo, na ile można sobie pozwolić. Wergundowie na ogół odpuszczają, to żołnierze, nie strażnicy więzienni, nie lubią sytuacji, w jakiej się znaleźli, niechętnie startują do bezbronnych.

Chwył za ramię, potem za koszulę

- Co powiedziałaś? – psiakrew. Ten akurat nie odpuszcza. Milczenie. Zaciśnięte szczęki. Zmrużone oczy – Usłyszę cię jeszcze raz i pożałujesz – podsunęta pod nos głowica miecza. Rapiera. Styryjskiego rapiera.

Zapamiętam cię, Wergundzie. Zapamiętam.

Lodowata woda, wciągnięta przez nos, spowodowała panikę sugestią topienia się. Ylva zaniósł się kaszlem, odzyskując jednak przy okazji panowanie nad ciałem. Ciężko dysząc otworzyła oczy.

I zamknęła je z powrotem widząc przed sobą twarz Dragmiry.

- Przyznaję – usłyszała jakby było wypowiedane w poduszkę – że zabezpieczenia psioniczne na najwyższym poziomie. To dlatego tak cię boli. Ale nic na to nie poradzę. Nawet gdybym chciała. Uwważaj...

Ta sama noc. Gniew, adrenalina, napięcie. Walka.

Plecy wergundzkich żołnierzy, w bezładzie próbujących bronić się przed atakującymi, pomalowanymi w białe czarne wzory.

Tubyłcy.

Kolejny z Wergundów pada na ziemię.

- Dajcie nam broń!- Khaan, khor'zighira, spokojnym głosem.

- Zostaw, bierz tego – Bevan, Tryntyjczyk, wskazuje jednego z odwróconych żołnierzy. Chwila zamieszania w ciemności.

Ciemność. Ciemność.

Ciemność. Jaskinię wypełnia trudny do określenia zapach, mieszanka zgnilizny, padliny, kadzidła, czegoś jeszcze czego nie umięją nazwać. Zimno, cholernie zimno. Lniana koszula, wilgotna w dodatku od potu po pospiesznej drodze pod górę, nie chroni przez zimnem ani trochę. Dreszcze utrudniają mówienie.

- Nie ma mowy, żaden z was tego nie zrobi, powiedziałam! – Aslaug, rudowłosa dekurion, lekko drżącym głosem. Spojrzenia po twarzach. Konsternacja. Niepewność. Strach, maskowany drżeniem z zimna.

Wychwytywane krótkie spojrzenia Wergundów. Tak, wiem co myślicie. To mógłby być ktoś z nas, Styryjczyków. Chcielibyście. Ale ja tego nie zrobię. Mam zadanie do wykonania. Nie ma nic ważniejszego niż misja. Ale nie, musi być inne wyjście z tej cholernej jaskini, zawsze jest inne wyjście. Nikt tu nie zostanie. Nikt się nie poświęci.

Blade, błękitne światło oświetla kształt człowieka w łachmanach, przypominających kapłańskie szaty. Jego skóra płatami odrywa się od mięśni, ciało chwieje się, stawy wyginają na wszystkie strony, także w te, w które nie powinny. Od ścian odbija się echem upiorny wizg, układający się w słowa.

- Życie zostawić życie odzyskać...

- To silny facet, poradzi sobie – własne słowa przebijają się przez łkanie, ale przecież to nie pora na łzy. Nigdy nie jest pora na łzy... Kłamstwo jeszcze utrzymuje pod kontrolą uczucia. Przecież nie można jej teraz powiedzieć, że on nie żyje. Po cholere przysparzać teraz cierpienia. I tak go tam spotka... Chyba... Lyl, czemu do cholery to zrobiłaś... – Ale jak ja to powiem Beru... Przecież on rozniesie pół miasta – tym razem gardło zaciska się zbyt mocno i bezgłośny płacz bez łez wstrząsa ramionami – Idź, dziewczyno... idź do nich – głęboki wdech, uspokojenie – Do tych, za którymi tęskniłaś. Szkoda mi... Szkoda że ich nigdy nie poznałam.

Krew Lylian wsiąka w płaszcz, którym ją nakryto, spływa po buro - beżowych kamieniach drogi, mieszając się z krwią zabitych wrogów. Nad nią ... Noc... Noc... Ciemność... Ciemność... Granica, za którą nie ma myśli.

Blokada psioniczna.

- Naprawdę, przyznaję, chylę czoła przed waszymi umiejętnościami – uśmiechnęła się Dragmira, rozcierając dłonie, bolące od reakcji zaklęcia, musiało ją mocno uderzyć, gdy odbiła się od mocy Tavar – Przebić się przez wasze psioniczne blokady to upierdliwa robota.

Gestem dłoni nakazała coś komuś, Ylva nie zauważyła, że do celi wszedł jeszcze jakiś człowiek. Strażnik. Skoro zdecydowała na wpuszczenie strażnika, to musi go mieć w kieszeni, nie zaryzykowałaby, że zdradzi ją jakiś przypadkowy zupak. Kobieta, dysponująca mocą Qa, podobnie jak córka Lylian... Kniahini, Awdanka, tak pewna siebie.... jakie ma poparcie tutaj.... Dość!

Strażnik podał jej kubek z wodą, na którym się skupiła, by wyhamować strumień myśli, przypominając sobie, że są słyszane, dostrzegła na twarzy prześladowczyni dyskretny uśmiech, świadczący o tym, że czyta jej myśli. Decyzja, którą podjęła, była więc tylko błyskiem. Jeszcze żyje. Zaklęcia magów Bogini działają. Wytrzymam.

W dłoniach magiczki rozkwitła błękitna pajęczyna wyładowań...

Noc. Tamta noc, droga z Vekowaru. Chaos w ciemności, Wergundowie cofają się do kręgu, więźniowie nie mogą nawet reagować w ciasnocie i ciemności, żadnej możliwości obrony ani ucieczki.

- Dajcie nam broń, do cholery! Nie obronicie się sami!

- Milczeć! – to on, ten ciemnooki, z rapierem w dłoni.

– Ylva, nie ruszaj się! – nerwowe syknięcie Bevana, który próbuje rozciąć jej więzy. Sznur puszcza, uszczypnięcie ostrza na skórze.

Kamień, szybki cios w tył głowy, może trochę za mocny poprawiony potężną irytacją. Wergund robi krok do tyłu, potem to już czysta formalność. Kilka celnych uderzeń, kolano wciśnięte w szyję, wykręcony nadgarstek.

- Jak teraz chcesz mnie uciszyć, co? – krótkie uderzenie w twarz, nie ma czasu, trzeba się bronić, tubylcy nie odpuszczają.

Rapier.

To piękna broń. Ostrze nieco ciężkie, wyważenie daleko za jelcem. Koszowa, zaplatana garda sama owija się wokół dłoni, rękojeść leży idealnie. Posłany zbierającemu się z ziemi Wergundowi

pełen satysfakcji i złośliwości uśmiech, poprzedzający mocne kopnięcie w zębra. Spojrzenie Wergunda mówi „zabiję cię”.

Błysk. Jest dzień. Na głównym placu osady unosi się dym i pył, który zgrzyta w zębach. Zmęczenie spowalnia ruchy, gorąco odbiera energię. Kolejni wojownicy wbiegają na plac, kolejni i kolejni.

- Zabiję cię, jak jeszcze raz mnie oblejesz tym cholernym eliksirem, Ylva! – szeroki uśmiech Wergunda przeczy jego słowom, walka wydaje się go nie męczyć, wręcz przeciwnie. Zwartą linią idą spod bramy próbując zgarnąć wszystkich walczących w rozproszeniu po kątach.

- Do linii! Do szeregu – wrzeszczy rudowłosa Aslaug, osłaniając się tarczą od kolejnych ataków.

Ciężki rapier wykręca nadgarstek, chociaż piękna, zaplatana garda idealnie chroni dłoń. Ale nie ma czasu.

- Przypomnij mi, jak to się stało, że walczymy po jednej stronie szeregu? – śmieje się Wergund. Czemu do cholery tak ci wesoło? Poniżej osady zbierają się kolejne tłumy tubylców, nie mamy szans się tu utrzymać.

- Jakiś cholerna pomyłka – uśmiecha się sama mimowolnie, korzystając z chwili pomiędzy kolejnymi falami napastników – Nie bój, naprawimy to przy pierwszej okazji. A teraz oddawaj mój miecz.

- Zabieraj. Ładny, ale za lekki dla mnie, wyważony na głowicę. Z czego się śmiejesz...?

- On się śmieje czy wrzeszczy...? – pyta z niepewnością Hamish, zupełnie jakby to było ważne. Szczękanie zębów utrudnia mówienie.

- Mam wrażenie, że po prostu objawia swoje istnienie – mruczy Khaan – Musimy coś zrobić...

- Gdyby go zaatakować...

- Nie, to bez sensu, idioto, już to robiliśmy, widziałeś jak się skończyło.

- Psiakrew, sprawdźmy jeszcze raz ściany, może coś przegapiliśmy...

- Ylva, szósty raz...?

- Może być i szesnasty! – lekkie uklucie paniki – Stąd musi być inne wyjście!

- Dobra, to bierz ludzi w tamtą stronę...

- Nie. Ja pójdę.

- Co?

- Co ty powiedziałaś? – Aslaug z widocznym poruszeniem – Powiedziałam, że nikt...

- Pani dekurion, ktoś będzie musiał. Ja zdecydowałem – wzrok Wergunda jest pewny, zawzięty, uśmiech zniknął z zaciśniętych ust – Musicie stąd wyjść i dokończyć sprawę.

- Stary, jesteś pewny...? – Breven, w głosie pobrzmiewa gdzieś to nieładne uczucie, które wszyscy usiłują zagłuszyć. Uczucie ulgi.

- Jestem.

- Może jednak jest wyjście... – Vartan, nerwowo rozgląda się jeszcze raz wśród dymu.

- Czekaj... Nie ma mowy. Żaden Wergund nie będzie za mnie umierał, nie zamierzam nic wam być winna.

- Jeśli ci to przeszkadza, Ylva, to niech będzie że to tylko za moich towarzyszy, nie za Styryjczyków – krótki nerwowy uśmiech, spojrzenie, podniesiona nagle głowa, odtrącone ręce

Wergundów, na pożegnanie kładzione na ramieniu. Chyba nikt oprócz niej nie patrzy mu w oczy. Cholera. Nie. Nie tak. Nie chcę. Nie wolno ci. To ja miałam cię zabić, a nie ten tutaj...

Migawki, urywane obrazy, powyrzucane z pamięci.

Błękitny blask minerału, rozświetlający jego klęczącą postać.

Ohydny dźwięk krwi, chlupoczącej z rozerwanego gardła, zmieszany z dźwiękami charczącego z satysfakcją kapłana.

Milczenie oddziału, gdy wychodzili na górę, do szczeliny w sklepieniu jaskini, którą tam weszli.

Rapier o pięknej koszowej gardzie.

A potem nagły błysk nadziei, krzyk jego towarzyszy. Nie dopuścili jej bliżej, w końcu Styryjczycy nie mieli czego szukać wśród nich. Żyje. To cud, albo to wszystko było jakąś mistyfikacją.... Albo cenę przyjdzie dopiero zapłacić.

- Na przyszłość uważaj na siebie lepiej, Wergundzie – uśmiecha się, dodając mu broń.

- Uważaj, Wergundzie – wściekłość uderza falą w umysł, odbiera racjonalne myślenie – bo bardzo mam ochotę cię zabić, nie ułatwiasz sprawy – co ty robisz, dziewczyno, krzyczy głos w myślach. Miałaś się dostać do koloni karnej, a nie teraz prowokować bunt więźniów, starcie z żołnierzami. Misja jest najważniejsza, a nie twoje prywatne antypatie. Nie ma nic ważniejszego niż misja.

- Dawaj, już, zabijaj – spojrzenie czarnych oczu wbite w nią ponad klingą jego własnego rapiera, przyciśniętą do jego gardła, słowa wypowiedziane przez zaciśnięte zęby - No już. A jak już się pozbędziesz zakładnika, to moi was rozwalą w ciągu dziesięciu sekund.

Ostrze dociśnięte do skóry wywołuje cieniutką linię czerwieni.

- Rzucić to!! – wrzask młodziutkiej wergundzkiej officer, zaciskającej w dłoni kryształ, nadający moc wergundzkim bransoletom więziennym, które wszyscy mają na nadgarstku – Rzucić broń w tej chwili, bo wam usmażę mózgi bólem! – głos wpada w niemal histeryczny ton, pani centurion nie ma doświadczenia w dowodzeniu, nie umie zapanować nad emocjami.

- Lepiej to wykonaj – mówi Wergund lodowato spokojnym tonem.

- Zabiję cię kiedy in... - zanim zdążą opuścić dopiero co zdobytą broń, kryształ błyska, ból promieniujący od bransolety uderza w mięśnie i połączenia nerwowe, odbiera oddech... Jak przez mgłę dobiega głos:

- Nigdy więcej nie rusz mojej broni...! Pani centurion, należałoby wykonać egzekucję, tu i teraz, ten przykład tylko zachęci do ucieczki. Albo przynajmniej tę tutaj, dla przykładu... Rozumiem. Tak jest! Ruszać się, idziemy... Błąd. Należało cię zabić, Styryjko.

- Należałoby ją jednak zabić, pani, może się zorientować – głos strażnika z miękkim teralskim akcentem przebił się przez miękką mgłę – Może wydać nas...

- Daj spokój... – Dragmira westchnęła i ziewnęła, przecierając dłońmi zmęczone oczy – I co zrobi? Poskarży się, że jedna z kniahiń Awdańców zdradziła na rzecz Qa? Naprawdę? I kto uwierzy szpiegowi, oskarżonemu o zabójstwo Dragana. Próbowała zrobić przewrót, oddać buławę Jastrzębcom, z którymi ma układ. Za złoto i poparcie dar Bregena oni prehandlowali niezależność Terali, Dragan próbował się sprzeciwić, ale wojna czekała, więc usunęła go zanim wyrwał się jej spod kontroli. Wiadomo wszak, że kniaź nie dopuściłby...

Ylva wyczuła wbity w nią wzrok, choć oczy miała nadal zamknięte. Tym razem wyczuła impuls, sondujący umysł, więc odpłynęła myślami w chaos i wspomnienia, ale psioniczka i tak ją wyczuła.

- Cholera – warknęła Teralka – Może jednak masz rację, że należałoby jednak ją usunąć w tej chwili. Jest przytomna.

- Z drugiej strony, kniahini, i tak ją powieszają najdalej pojutrze.

- Racja. Ale nie powinnam ryzykować. Robota wykonana. Dobrze, skończę więc...

Trzymany w podeszwie buta Derwanowy wążutki sztylecik dał się wyjąć w przeciagu kilku sekund. Więzy, zupełnie już luźne, posłusznie zsunęły się z nadgarstków. Przemęczone trwałym skurczem mięśnie działały powoli, ale działały. Nóż z ledwie dosłyszalnym syknięciem wbił się tam, gdzie mogła sięgnąć ręka, czyli w bark. Dragmira wrzasnęła. Ylva zerwała się chwiejnie, nie wypuszczając maleńkiej broni z prawej ręki, lewą chwytając za włosy tak, by zerwać szpilę od spinki. Kniahini Dragmira była kobietą filigranowej budowy, nie stanowiła fizycznie żadnego wyzwania dla agentki, nawet w tym stanie. Drugi cios sztyleciku powinien już bezbłędnie wbić się przez oko w mózg, ale strażnik był szybszy i jak na zwykłego strażnika więziennego niezłe wyszkolony. Rzucona wirującym ruchem świeca zmusiła Ylvę do uniku, cios, który miał trafić Teralkę w oko, uderzył w kość jarzmową, rwąc skórę i mięśnie twarzy. Kniahini wrzasnęła cienko, strażnik doskoczył do nich z wyszarpiętym ostrzem, Styryjka uniknęła pierwszego i drugiego ciosu krótkiego miecza, zbiła uderzeniem ręki w płaz miecza, poleciał za ciężarem broni, odsłaniając się na stanowczo za słaby cios łokcia. Otrząsnął się, zanim zdążyła poprawić.

Wtedy pomieszczenie rozbłysło błękitem, krótkie oslepiające wyładowanie odrzuciło ją pod ścianę, po której spłynęła na podłogę. Strażnik poprawił ciosem w kark, aż upadła twarzą przy jego butach.

Wstać.

Podnieść się na nogi.

Nie umrzeć z twarzą przy ziemi, na kolanach. Spojrzeć w oczy śmierci.

Szpieg nie ma godności. Więc po co.

Szpieg nie ma godności. Ma wolę.

Zebrała wszystkie siły, które jej zostały, spięła mięśnie aż do bólu, pokonując bezwład, uniosła się na kolana i trzymając się ściany, wstała chwiejnie, ciężko dysząc. Spojrzała w fosforyzujące błękitem oczy Dragmiry. Oczy Zapołudnia. Oczy śmierci?

Magiczka przyciskała do rozoranej twarzy pokrwawioną szmatę, płacząc i przeklinając. Strażnik przyjrzał się leżącemu na podłodze ciału.

- Jaki cudem ona wstała...?

- Nieważne. Żyje? Dobrze – krzyknęła Dragmira z lekką histerią – Do celi z nią, powieszają ją pojutrze.

*I zwyciężymy, gdy zwycięstwo dasz nam, Pani
Przyjmijemy klęskę, jeśli taka Twoja wola
Tylko daj w godzinie próby nam wytrwanie
Gdy upadniemy zawsze pozwól powstać z kolan....*

Dalszy ciąg modlitwy niknie w bitewnym zgiełku, w który wplata się zresztą idealnie. Cięcie, blok, unik, rzut oka za plecy, błyskawiczna zmiana pozycji, uderzenie, kontra, cięcie, blok, unik... Do znudzenia, do utraty sił.

- Co mówiłaś? – Wergund nieco podejrzliwie przygląda się tej cichej, szeptanej pod nosem w rękojeść miecza modlitwie. Tak podejrzliwie, jakby sam chwilę wcześniej nie walczył w szeregu, trzymanym mocą Modwitowej modlitwy.

- Nic do ciebie!

- Uważaj! – przeciwnik wypada nagle zza zarośli na skarpie, włócznia, to nie problem.... Ból! Nagły ból w boku, to strzała przejechała po żebrach, nie wbiła się. Błąd. Włócznik nie jest sam. Kolejnych kilku.

- Wycofujemy się! – to Aslaug, na placu przed hallą. Dzięki ci Bogini, za nią, bo byśmy tu wszyscy zginęli już dawno – Dalej! Tarcze, flankować schody!

Włócznik poczyną sobie coraz śmielej, trudno odbijać jego ciosy. Trzeba skrócić dystans, odbić drzewce, dobiec go w dwóch krokach... Mocne cięcie oburącz siada na prawym barku przeciwnika, włócznia wypada z bezwładnych rąk w kałuży krwi. I wtedy pada kolejna salwa z łuków.

Kolano.

Cholerny ból. Nieważne. Nieważne! No dalej, zbieraj się z ziemi... Czekaj... To nie tylko kolano...

- Rusz się, Ylva! – trudno rozeznac, który to, swój czy Wergund... Zresztą, psiakrew. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że Wergund nagle stał się tak samo „swój”. Doprawdy, masz Bogini poczucie humoru....

Cios zniemacka przez plecy powala na ziemię z rozmachem. Biegący dalej tubylec na szczęście nawet nie zauważa, pędząc ku tarczownikom, którzy zastawili się na dolnej półce przed hallą. Ale z perspektywy ziemi wydaje się być groźnie, wszędzie dookoła tubylcy, ledwie widoczni w unoszącym się pyłe. Trudno się podnieść, rana powoduje chwilowy szok tkanek, ale rozcięte mięśnie nie mogą działać. Z tej pozycji widać głównie buty biegnących wrogów...

Wstawaj.

Wstawaj, Ylva. Nie możesz umrzeć z twarzą na ziemi.

Szpieg nie ma godności.

Ale ma wolę, by wstać. Zawsze, jeszcze jeden raz. Wstawaj, Ylva.

- Wstawaj, Ylva! – czyjeś ramię podrywa do góry na lekko bezwładnych nogach – No rusz się, wstawaj! Nie zamierzasz mi tu umierać...

Ten Wergund... Cholera, wystawił się, żeby mnie wyciągnąć... Wstawaj. Podnieś się. Tak, powinnaś mu być wdzięczna. Wróg. Wrócił po ciebie. To już drugi raz. To dług. Poważny. Powinnaś choć podziękować. Powiedzieć coś... Ważnego.

- Spieprzaj, przecież cię tu zabijają...

- Mnie się nie da zabić – mówi z tym swoim beczelnym uśmiechem, ciągnąc ją do góry po schodach wbrew jej bezwładnemu oporowi.

- Zostaw mnie, do cholery.

- Nie zamierzam....! – nad nimi świdrujący uszy wrzask, okrzyk bojowy. Ciągłe i nieodmiennie dudnią bębny. Kolejni wojownicy atakują, fala za falą.

Wstawaj, do cholery, wstawaj, bo przez ciebie was oboje tu ubijają...!

Za późno. Cios obsydianowego miecza z zębatymi zadziorami przebija się przez zastawę rapiera o pięknej, koszowej gardzie. Krew z rozciętego barku chlusta falą po wergundzkim cote. No nie, nie za mnie...

- Mnie się nie da ubić...! – zirytowany głos przez zaciśnięte zęby towarzyszy uderzeniu z mocnego zamachu z wywiniętej za lewym ramieniem ręki, cios mija z łatwością zbyt powolne

kamienne ostrze, przeciwnik miękko opada na schody, a styryjski rapier w wergundzkiej dłoni, posłany w długim sztychu zanurza się we wnętrznościach kolejnego przeciwnika.

Nieźle, cholera. Mógłbyś nawet służyć w Gwardii z takimi możliwościami.

Ignorując ranę, która powinna uśmiercić go na miejscu, Wergund ponosi ją, wciągając na górę schodów, do reszty drużyny.

- Już myślałem, że po tobie – śmieje się Hamish, napinając łuk. Khaan z uśmiechem kłania głowę, przykładając rękę do piersi w podziękowaniu za uratowanie rodaczki. Spor, psioniczka, szturcha w bok rudego Troya. Wróciłam. Walczę dalej.

Ale mam dług do spłacenia.

Ylva nie wiedziała, po jakim czasie ocknęła się w celi. To nie było miłe przebudzenie. Przesilone mięśnie zareagowały wściekłymi zakwasami, czyniąc pierwszy ruch diabelnie bolesnym. Drugi ruch, czyli bezwładne sturlanie się z drewnianej pryczy na podłogę, też nie było przyjemne. Na szczęście w kącie zostawiono dzban wody. I miskę.

Żyła. Bez wątplenia żyła, o czym świadczyły wszystkie ślady i efekty, jakie na ciele zostawiło przesłuchanie. Szybki przegląd strat wykazał tylko spuchniętą twarz tam, gdzie doszedł ostatni cios strażnika, trochę zdartej skóry, spuchnięty nadgarstek, nic ważnego.

Z trudem, ale pod kontrolą, położyła się z powrotem na desce, udającej łóżko, śmiejąc się w duchu z prostego faktu, że brak bólu, trochę wody i miejsce do leżenia chwilo uczyniły ją niemal szczęśliwą. Ot, perspektywa spojrzenia....

Zamyśliła się. Niespodziewanie sprawy polityczne uprościły się. Jeśli ród Awdanów jest infiltrowany do tego stopnia, jak widać, to by rozwiązywało dylemat w kwestii, na którego konia postawić w Terali. Trzeba było teraz tylko przekazać rozkaz „wszystkie siły na Jastrzębców”. Przy odrobinie szczęścia brat Derwana, Władysław, najpóźniej na wiosnę odbierze buławę wojewody.

Ale możliwości wydostania stąd zawężyły się bardzo. Sprawdziła, czy umocowana w podeszwie szpila od spinki jest tam nadal. Wyjęła ją, trzeba to naostrzyć i przysposobić do pełnienia funkcji broni, skoro nożyk od Derwana zaryzykowała i straciła. Ale to później, na razie mi się nie chce, pomyślała, otulając się skrawkiem mocno cuchnącego płótna.

Dragmira szukała informacji o Draganie i Artefakcie Dakońskim, to pewne. Odbiła się od zapory. Przypadkiem uruchomiła w umyśle lawinę dawno zapomnianych wspomnień. A może te wspomnienia uruchomiły się z jakiegoś powodu...

Ylva była impregnowana na wyrzuty sumienia. Zbyt wielu ludzi zostawiła za sobą, zbyt wielu zabitych, straconych, przyjaciół, bliskich, towarzyszy. Ona sama była narzędziem nieustającej wojny, nie mogła spocząć w ciągłej gonitwie i wędrówce, a oni zostawali gdzieś, za mgłą, w przeszłości. Ilu już... Sheeren. Krevain. Keithen. Lylian. I on. Ten Wergund... Dlaczego pamięć nie może uruchomić choćby jego imienia... Jak to szło.... Imię wergundzkich władców...

- Ani drgnij! – szybkie uderzenie i chwyt za bark, obok psioniczka Spor wysyła krótkie zakłęcie.

- Nie krzycz, bo cię ukatrupię – warczy do Wergunda – Tak, dobrze czujesz, to jest sugestia w umyśle. A ja ci sugeruję, żebyś bez marudzenia szedł z nami, bo inaczej ostrze zauważysz dopiero, jak cię pogłaska po czaszce od wewnątrz!

- Spor, daj spokój – uśmiecha się Khaan. Jest zbyt łagodny jak na ulundo – Przecież on nie zamierza uciekać.

- Zamierzam – Wergund mówi przez zaciśnięte zęby, emanując wściekłą nienawiścią – A potem zamierzam zabić każdego z was.

- Daj spokój. Nie chcę cię zabić...

- Za późno.

- Uspokój się – szybki trucht przez opustoszały plac na wartownię. Jeniec idzie ostentacyjnie spokojnym krokiem, ignorując szarpanie – Nie zabiję cię – spojrzenie prosto w ciemne oczy – Jestem ci winna życie.

Droga do Vekowaru. Znowu. Pylista, nierówna. Szeroka. Ta sama, gdzie jeszcze kilka dni temu była niemal gotowa zawiesić misję na kołku, byle go tylko zabić.

A teraz przed nimi był Vekowar. Kiedyś brama niewoli. Teraz – przystań nadziei, że uda się stąd wydostać. Szeregi tubylców, uderzające równymi falami, w rytmicznych odstępach. Walka w upale, w pyłe utrudniającym oddychaniu, desperacka, zawzięta. Przez kilka mil.

Potem nagła chwila spokoju, jakby przekroczyli jakąś granicę, jakąś rubież obszaru.

- Idziemy! – krzyczy Aslaug – Dalej, szyk! A ty co?!

- Ja... zostaję.

Słowa ciężkie jak wielki lodowy blok. Spodziewane. Nieuniknione. Nieubłagane. Wszystko ma konsekwencje.

Równa kolumna rozsypyje się na końcu. Ostatni szereg Wergundów przystaje. Vartan pochyla głowę, oglądając własne buty. Hamish i Bevan przeklinają bezgłośnie, z ostentacyjną złością. Aslaug patrzy gdzieś nad jego ramieniem w kierunku pozostawionej za plecami przekłetej osady, bezbłędnie maskując drżące od płaczu usta.

Nie ma co się pchać. Towarzysze broni mają prawo pożegnać się w spokoju. Po cholere się w to wcinać. Ani on przyjaciel, ani rodak, ani nawet nie zauważy, że nie podeszła.

- Ylva...?

Zauważył.

- Ej, mam coś twojego, Styryjko – uśmiech Wergunda bardzo nieudolnie maskuje jego strach i niepewność przed tym, co się stanie za chwilę. Reszta oddziału stoi za nim z pochylonymi głowami, na każdej z ich twarzy wymalowana jest dość oczywista prawda, że chyba łatwiej by im było zostawić go za plecami poległego, niż w ten sposób.

- Niemożliwe – uśmiecha się także, pokonując zaciśnięte gardło. Na wyciągniętej ku niej dłoni widnieje brązowa fibula, jej własna. Artefakt z nałożoną mocą, umożliwiający maskowanie myśli. Zerwał jej go, kiedy siły na wartowni nagle się odwróciły i desperacki plan Styryjczyków nie powiódł się. Wtedy szybko i dość boleśnie wziął odwet za uczynienie z niego zakładnika. Filbulka została w jego dłoni, gdy Aslaug próbowała ją przesłuchać.

- Zatrzymaj.... – jest taki rodzaj darów, które w bardzo żalony sposób aspirują do roli rekompensaty za coś, czego nie da się zrekompensować, wyrównać, ani chociaż złagodzić. Jak kwiaty wręczone matce na pogrzebie – Może tobie przyda się bardziej...

On zaciska zapinę w dłoni, przez chwilę na jego twarzy znów gości charakterystyczny, zawadiacko-nonszalancki uśmiech.

- Styryjskie zabawki są bez wartości – żartuje – Ale zatrzymam na pamiątkę, może kiedyś wrócisz po to... – jego głos nagle poważnieje – Gdybyś zamierzała wrócić, jakby coś, będzie tutaj czekała... Prawdopodobnie całą wieczność.

Zawdzięczam ci życie, Wergundzie. Życie i wolność, co za idiotyczny paradoks. Nie zapomnę. Ale nie wrócę, przecież wiesz. Mam zadania przed sobą. Misja, nie ma nic ważniejszego niż misja...

- Niech cię Bogini strzeże – krótki uścisk ręki, zanim zaciśnięte gardło spowoduje, że łyżki całkowicie rozmiękczą wizerunek niezniszczalnej agentki – Może uda mi się wrócić...

- Akurat – nie złapał się na kłamstwo – Daj spokój. Raczej się już nie zobaczymy.

Bardzo poważne spojrzenie prosto w oczy.

- Nigdy nie wiesz, Wergundzie. Kto wie. Wytrzymaj.

Z półsnu ocknęła się z tak samo zaciśniętym gardłem. Dawno wymazane wspomnienia w ogóle nie powinny istnieć, nie powinny mieć wpływu na emocje i decyzje. Człowiek, zostawiony za sobą, gdzieś na Zapołudniu. Zobowiązanie. Wdzięczność.

Dlaczego on się teraz śni....?

Zaplotła dłonie za głowę, dopiero teraz trafiając dłonią na luźny kawałek drewna. Nie było go tu wcześniej, na pewno. W półmroku panującym w celi musiała przysunąć go do twarzy, żeby przeczytać. Przypomnienie sobie szyfru zajęło stanowczo za długą w jej mniemaniu chwilę.

„Nie uciekaj teraz. Ratunek pewny. Zaufaj. Wytrzymaj”

Rozdział II

Żołnierz

Zapołudnie - Sowiogórze, rok 915

Dla odmiany nie o Ylwie

Noce na Zapołudniu o tej porze roku były już całkiem chłodne. W dzień jeszcze słońce pozwalało cieszyć się ostatnimi dniami lata, jeszcze ludzie, pracujący w sadach na stokach gór Iztac Teocuitla mieli okazje ponarzekać na gorąco i pyłące się ścieżki, dzieci jeszcze, wbrew zakazom, z przyjemnością kąpały się przy zaporze na strumieniu. Ale gdy zachodziło słońce, w życie mieszkańców osad w pobliżu przełęczy Tecuitla wkradał się chłód, który miał im towarzyszyć przez nadchodzącą połowę roku.

Niedługo trzeba będzie zaprzestać akcji, względnie przerwucić się na inny system działania, pomyślał, przyglądając się zbyt szybko w tym roku pożółkłym liściom. Zalegające na ścieżce, pod zaroślami, gdzie leżał, przy każdym ruchu powodowały lekki szelest, za kilka tygodni cały las pokryje się szeleszczącym dywanem. Podejście pod osady czy obozowiska stanie się technicznie mało wykonalne. Trzeba będzie przerwucić się na działanie z daleka. Łuk. Kusza. Może inna broń.

Przymknął oczy i pochylił głowę, nie chcąc ryzykować, że zauważy go któraś z przechodzących kobiet. Dziewczyny ze szczepu Toho wracały z dzbanami pełnymi wody, rozglądając się czujnie. Kobiety Qa nie były bezbronne, każda nosiła przy pasie krótką maczetę, którą się świetnie posługiwały, tak jako narzędziem jak i bronią. Było już po zachodzie słońca, musiały za długo zabawić przy źródle.

Ostrożność była zbędna, dziewczyny zamilkły, przechodząc przez rozstaj przyspieszyły kroku i minęły szybko boczne ścieżki i kamienne mury dawnej strażnicy. Wiedział, czemu tak było. Mimowolnie zerknął w kierunku niewielkiego kurhanu, którego zarys widać było jeszcze na tle nieba. Kiedyś była tam tablica, upamiętniająca tego, kogo tu pochowano. Tablica już dawno została zerwana, jak i większość rzeczy, zniszczonych by nie przypominały obecnym mieszkańcom o tym, że miejsce to zamieszkiwali kiedyś inni ludzie. Mówiący innym językiem, wyznający innych bogów. Więc mimo wszystko miejscowi uważali, że tu straszy. A nawet byli pewni, znajdując tu raz na czas kogoś martwego, zabitego wergundzkim ostrzem. Nie odróżniali wergundzkiego od styryjskiego...

Szybko otrząsnął się z sentymentu, nie było czasu. Wracającym z wodą dziewczynom otworzą bramy, przy odrobinie szczęścia zdoła za nimi przedostać się do osady, zanim o świcie wyjedzie z niej ten, który tam dzisiaj rezydował.

Ostrożnym, płynnym ruchem podniósł się spod zasłony zarośli i przykleknął na ścieżce. Gdyby ktoś widział go w tej chwili, dostrzegłby tylko bury kształt człowieka. Podejście pod osadę wymagało szczególnych środków. Kryć się przed wzrokiem ludzi to jedno. Uniknąć jednak doskonałego węchu tresowanych aguar, które strzegły wartowni, to drugie. Tak wzrok, jak i węch można było zmylić, tłustawa glina, której zasoby znalazł dość dawno temu w ruinach, pozwalała zamaskować się w sposób idealny, na tyle idealny, że jedynym jasnym punktem na ciele pozostawały białka oczu, a intensywny zapach bagna mylił i odrzucał stworzenia, które tego zapachu nie lubiły. On po prawdzie też go nie lubił, co tu dużo mówić, bagno cuchnęło nieładnie. Ale było skuteczne.

Znacznie trudniej było oszukać zmysły intuicji i psioniczne zdolności ludu Qa, ale i to jakoś już się udawało. Panowanie nad własnymi myślami, usypianie ich, wygaszanie. Jakby się usypiało. Albo było martwym.

Gdy tylko kobiety zniknęły za szeroką linią traktu, ruszył za nimi. Droga do osady biegła w dół, była nierówna, wyłożona kamieniami, na których ślizgały się stopy, poprzecinana korzeniami i

wyrwami. Znał ją na pamięć, nie potrzebował światła, po prostu biegł, miękko stawiając wysłużone, wojskowe buty.

Wartownia nad bramą zamajaczyła czarną krawędzią, słychać było wartowników, wymieniających hasło i odzew, powarkiwania aguar i muzykę, grającą na placu. Liczył na to, że kobiety zatrzymają się przy bramie, zaczną rozmawiać. Wiedział, że jedna z nich to żona wartownika, a do drugiej zalecał się jego kolega, miał więc nadzieję, że i tym razem zatrzymają się na dłuższą chwilę, odłożą dzbany, brama zostanie uchylona. Ale tak się nie stało. Wartownicy uchylili tylko wrota, wypuszczając patrol na kilkanaście metrów i natychmiast zatrzasnęli zasuwę.

Zaklął w myślach. Wartownia już dawno zmieniła się w murowaną wieżyczkę, a wbijana w stok palisada zyskała mocną kamienną podmurówkę, zwieńczoną ostrokołem. Dostać się tam po kilkumetrowym murze nie będzie tak łatwo. Ale drugiej okazji nie będzie.

Odczekał, aż zatrzasną bramę, bezszelestnie podbiegł do muru, przylegając do jego płaszczyzny. Zaklął jeszcze raz. Nie znosił wspinaczki.

Kamienie były śliskie, ale stabilne, pnie ostrokołu mniej. Musiał podciągnąć się, aby móc wystawić zza krawędzi głowę... niemal zahaczając o stojącego na krenelażu wartownika. Nie zdążył nawet skarcic w myślach własnej nieudolności, bo błyskawiczne cofnięcie się zaowocowało zsunieniem nóg i tak niepewnie podpartych na sliskich belach, a w efekcie mało komfortowym zadyndaniem na jednej i to kiepsko zaczepionej ręce.

- Nie stać mnie, stary – usłyszał rozmowę wartowników spacerujących mu nad głową – Serio, jej rodzice chcą tak bogaty sihuan, że musiałbym pół życia służyć u któregoś z wodzów, żeby tyle uzbierać.

- A ona? Tlatecli? Jest ci przychylna....?

Rozmowa cichła, odgłos butów i łap oddalał się. Nieco panicznie próbując znaleźć oparcie dla buta, szarpnął się do góry i przeskoczył przez krawędź, natychmiast przylegając płasko do belek. Od dawna rozumiał język Qa, co w sumie całkiem ułatwiało robotę. Gdy tylko usłyszał wezwanie, skierowane do wartowników, podniósł się i, nie wystawiając nosa poza granicę cienia podbiegł do wieżyczki wartowniczej, wypraktykowanym ruchem wskoczył na ławę, potem na belki palisady i złapał za poprzeczne stężenia pod skośnym dachem wartowni. Wciągnął się na górę, przypadł do naroża i znieruchomiał. Schronienie było bezpieczne, niemal nikt, wchodząc na wartownię nie patrzył do góry...

Wielka aguara, człapiąca za wartownikiem, odwróciła kosmaty łeb i zastrzygła uszami. Znieruchomiał. Usłyszał tylko ciche fuknięcie. Nie lubiły zapachu bagna.

Na placu rozświetlonym pochodniami i minerałem w charakterystycznej, błękitno-złotej plecionce barw, trwał uroczysty bankiet. Dostojnik, który przybył wczoraj, wysoki dowódca wojskowy, zasiadał na centralnym, wyłożonym futrami i jedwabiem, fotelu, otoczony przez gospodarzy. Chwilowo ubrany był w uroczysty strój, złożony pióropusz i płaszcz, ale nietrudno było po ruchach rozeznaczyć, że to ktoś doświadczony w walce. Zresztą szerokie blizny po ostrzach, widoczne na nagich ramionach, nie pozostawiały wątpliwości. Musiał walczyć na północy.

Wygląda jak po wergundzkiej włóczni, pomyślał. Szkoda, że jakiś hastiati nie dokończył roboty, sukinsynu.

Wokół ważnego gościa kręcili się miejscowi, usługując mu i zabawiając. Jakaś dziewczyna tańczyła wirując przy dźwiękach muzyki, by za chwilę usiąść u jego stóp, wlepiając w niego zachwycony wzrok. Tlatecli, jedna z tych, które szły po wodę. Uśmiechnął się z przekąsem.

Biesiada nie trwała długo. Pomny na to, że zaplanowano wyjazd o świcie, gość podziękował gospodarzom i ruszył do kwater. Pozostało czekać, aż na placu posprzątają i nieco ucichnie, a służba zajmie się imprezą we własnym gronie. Więc czekał.

Myśli galopowały mimowolnie, poruszone widokiem miejsca, w którym dawno nie polował, a które przecież tak dobrze znał. Wspomnienia odległych wydarzeń, twarze i imiona ludzi, o których nie

chciał teraz myśleć, dawnych towarzyszy, dawnych wrogów, którzy teraz wydawali się tak bliscy. Wartownia musiała jeszcze pamiętać echo ich dawnych walk, które teraz wydawały się tak błahe, tak głupie. Gdzieś tu dźwięczał wysoki głos zakłęb płomiennowłosej Aslaug, zmęczony wzrok złowił gdzieś zarys tarczy Vartana, mignął gdzieś zielony kilt Hamisha, ironiczny uśmiezek Ylvy.

Dość.

To był tylko błysk wspomnienia, tyle razy powtarzanego w pamięci przez te wszystkie lata, że przybladło i straciło ostrość. A teraz miał robotę do zrobienia.

Plac opustoszał, a z budynku dawnej karczmy dobiegały odgłosy zabawy. Wartownicy stali pod bramą, rozmawiając. Miętko zeskoczył z belek i przemknął ku domkom mieszkalnym. Gościa zakwaterowano tam, gdzie niegdyś był budynek więzienia, tuż przy dolnej furcie w murze. Świetnie, doskonale wręcz. Pod oknem co prawda nie rosły już gęste zarośla, ale pięknie utrzymany ogród, ale wciąż było się gdzie schować.

Ruszył wzdłuż palisady, trzymając się zacienionych miejsc pod drzewami.

Pod drzwiami było dwóch ochroniarzy, co nie ułatwiało sprawy, wystarczyło jednak odczekać, aż jeden oddali się za potrzebą. Dwa szybkie kroki i mocny chwyt za kark z gwałtownym skręceniem karku, qa nawet nie poczuł.

Drugi strażnik przysypiał, kiedy malutka igielka z dmuchawki drasnęła go w kark. Błyskawicznie działająca toksyna załatwiła resztę.

Łatwo szło.

Do pokoju wślizgnął się dopiero, gdy usłyszał zza ściany odgłos chrapania. Mężczyzna spał, rozłożony na wznak na szerokim łożu, wyłożonym miękkimi futrami jeleni bagiennych. Obok niego wtulona w jego ramię spała Ttatecli.

Cicho zasunął zasuwę w drzwiach. Żadna deska nie skrzypnęła, kiedy podchodził do łóżka. Dziewczyna nie poczuła ukłucia, sok z orchidei zwanej tutaj chihuitl, działał podobnie, jak wyciąg z rosnącego na północy złotokapu. Paraliżował nerwy. Miała szansę przeżyć, nie miała szansy zareagować.

Podszedł do Qa i szybkim ruchem bez cienia wahania wbił sztylet w gardło. Swoją błąd spostrzegł w ostatniej chwili, gdy błękitny blask z rozjarzonego nagłym światłem pierścienia odbił się w otwartych oczach wojownika zapołudnia. Wyszarpnięty spod jedwabnego prześcieradła krótki miecz przeciął ze świstem powietrze, prawie trafiając napastnika. Ten odskoczył w tył, trafiając na stojące obok krzesło, miętko przetoczył się przez siedzisko, wyładował w przykłęku, w porę osłaniając głowę. Qa mógł w każdej chwili wezwać swoich i wtedy zrobi się nieprzyjemnie. Nie zrobił tego chyba przez własną urażoną dumę, wielki dowódca zywający pomocy w samych spodniach – nie przysporzyłoby mu to autorytetu. Ale przeciąganie walki skończy się hałasem i alarmem. trzeba było to skończyć możliwie szybko.

Wyszarpnął z cholewy drugi nóż i rzucił się na Qa, zbijając jego atak lewą ręką. To był jednak szkolony w walce wojownik, nie poszło tak łatwo. Zanim zdecydował się więc na to rozwiązanie, potężny cios pięści sprawił, że świat rozbłysnął i przygasł, a podłoga walnęła go z rozmachem w plecy. Nie było wyjścia.

Rozluźnił mięśnie, pozwalając by tamten przeszedł przez jego gardę, kolejny cios rzeczywiście go nieco oszołomił, więc znieruchomiał, przymykając oczy. Qa pewny zwycięstwa zgrzytnął zębami z wściekłością i wpakował mu pod żebra ostrze, obracając je w bok.

Bolało jak cholera.

Qa sapnął i wstał, pewny, że wróg nie żyje. Uśmiechnął się, pomimo bólu, z nietajonej satysfakcji.

- Jestem nieśmiertelny, skurczysynu – warknął, przecinając mu gardło wergundzkim wojskowym nożem – Ale skąd mogłeś wiedzieć.

Ból obezwładniał, osłabiał, rozpraszał. A do tego rana zostawiała ślady. Słyszał już jednak odgłosy alarmu, ktoś musiał znaleźć wartowników w zaroślach. Wskoczył przez niskie okno, ale zamiast biec do palisady, przeczekał pod wysoką werandą domku, słuchając z satysfakcją wrzasków rozpacz i paniki. Dopiero gdy ucichły, a wszyscy zajęli się ciałem zabitego, wyczołgał się i pobiegł do palisady.

Nie zdążył.

Wyczuła krew, której intensywny zapach przebił się przez błotny kamuflaż. Szarpnęła trzymającego ją wartownika i ledwo odskoczył przed pierwszym ciosem jej kłów. Zanurkował pod uzbrojoną w potężne pazury łapą, próbując sięgnąć do fiołki z toksyną, ale wtedy poczuł cios obsydianu na ramieniu, syknął mimowolnie. Wartownik uniósł miecz do kolejnego ciosu, przy okazji dość niezgrabnie stając na drodze aguary. Na szczęście.

To dało mu tak potrzebne kilka sekund, w czasie których zdążył sięgnąć i po broń i po fiołkę.

- Twoja kobieta i tak puściła cię kantem – mruknął, wycierając nóż w futro prężącej się w skurczach aguary – Pewnie i tak nie chciałeś żyć.

Dalsza droga poszła już jak z płatka. Przeskok przez palisadę, zmylenie tropów. Jak zwykle. Jak zwykle skutecznie.

Gdy wrócił do kryjówki, już świtało. Krzywiąc się zdjął zlepioną zaschniętą krwią koszulę.

- Trzeba to opatrzyć – mruknął do siebie. Nie mógł umrzeć, ale to nie znaczyło, że nie mógł dostać gorączki od zakażonej rany.

Akcja była udana, choć nie był z niej zadowolony. Zdecydował się zaatakować śpiącego. Zabijanie bezbronnych ludzi we śnie budziło jego wstręt. To się nigdy nie zmieniło i nie zmieni. Ale prócz tego zmieniło się wszystko. Upadły mocarstwa, odeszli bogowie...

Żołnierz armii, której już nie było, służącej krajowi, który już nie istniał, skłonił głowę przed niewielkim symbolem Modwita, boga, który już nie słuchał modłów.

- Centurionie, zadanie wykonane – mruknął, salutując ostrzem w pustkę – Kolejne.

W osadzie na przełęczy Tecuitla wrzało od kilku dni, od zabójstwa dowódcy kontyngentu, mającego maszerować na północ. Viracaunca, namiestnik prowincji, osobiście przybył by uspokoić sytuację, bo zirytowani wojskowi chcieli się mścić na cywilach i mieszkających w okolicy ludziach z Północy. Ale nie udało mu się niczego wyjaśnić.

- To jest dokładnie czternaste zabójstwo wysokiego dowódcy w tym rejonie – warknął do zgiętego przed nim w ukłonie naczelnika osady – Czter-na-ste. I co? Po raz czternasty słyszę, że grasuje tu upiór, którego nie da się zabić. Nie da się. Widmo. Nieuchwytnie. Ile razy jeszcze o tym usłyszę? Zdajesz sobie sprawę, że znowu wymarsz na północ jest opóźniony? Że znowu oddziały wycofano i pójda przez góry Wohaun, zamiast tędy, w efekcie pod Kalidoera dotrą z ponad miesięcznym opóźnieniem. Miesięcznym! Powinienem może pozwolić, żeby wojsko puściło z dymem tą i wszystkie sąsiednie osady, hm? Upiór, taka jego mać!

- Wybacz panie – jęknął miejscowy, zginając się jeszcze niżej – ale to jest prawda. Upiór. Nikt go nie widział. Upiór z bagien. Czasem tylko widać ślady z błota, czasem ktoś zobaczy tylko zarys. To duch jest. Tych chicmeca, którzy tu mieszkali. Albo pozostałość po tabu. Nie da się go schwytać. Kiedy próbujemy przeczesywać góry, morduje nam wojowników, w ruiny na szczytach nikt się nie zapuszcza. Nie sposób go dorwać...

- Dość – warknął Viracaunca, nie na żarty wkurzony - Znajdę tego upiora i wywlokę z ruin, jego krwią będziesz mógł oblać grób swojej córki. Ale go nie zabiję. Zapytam, gdzie są jego towarzysze, bo nie wierzę, że zrobił to wszystko w pojedynkę. A kiedy się już dowiem, wtedy będzie bardzo, bardzo długo cierpiał. Tak długo, że wyda mu się to wiecznością...

Rozdział III

Serce

Terala, lochy w Bilebrezach / Zapółudnie, dawna osada Krevaina. Rok 915

Rzeczywiście, wyjątkowo słoneczna jesień, pomyślał, gdy kolejna kropla potu skapnęła mu na nos. Owinięty w maskującą tkaninę na szczycie fortecy był wystawiony na działanie gorąca jak na patelni. W sumie nie pamiętał tak gorącej jesieni od kiedy tu był... od dwudziestu lat.

Stojący na dziedzińcu dostojnik także się pocił, widać to było po poprawianym kilkakrotnie pióropuszu. Nie mógł jednak ani usiąść, ani schować się w cieniu. TO nie licowałooby z jego godnością. A przecież przyjmował właśnie zwycięską defiladę.

Viracaunca, tak się zwał namiestnik prowincji Tecua, długo zabiegał o to, aby ta uroczystość się odbyła. Zamknięcie drogi przez przełęczę oznaczało dla niego degradację, podejrzania i szykany ze strony stolicy. Prowincja zawsze była na przegranej pozycji w takich sporach. Wojskowi bywali przesądni i po szesnastym zabójstwie wysokiego ticuahtli sztab zdecydował o obraniu dłuższej drogi, z wielkimi szkodami dla sytuacji na froncie styryjskim, ale przynajmniej bez strat na własnej ziemi. Tego zażądały też głowy rodów – oficerowie i namiestnicy wojskowi zwykle pochodzili z wysokich rodów.

Viracaunca mocno napracował się, by odzyskać swoją pozycję. I oto efektem tych zabiegów była defilada wracających z północy wojsk. Triumfalny przemarsz uzbrojonych po zęby oddziałów, prezentacja łupów, wręczenie orderów. Trudno było sobie wyobrazić, by tak wypełnione uzbrojonymi wojownikami zgromadzenie mógł ktokolwiek zaatakować.

Nie zamierzał rzecz jasna atakować w środku uzbrojonych po zęby oddziałów.

Obserwował.

Dostrzegł namiestnika prowincji, pocącego się pod pióropuszem na środku dziedzińca. Za jego plecami, u stóp olbrzymiego obelisku, obserwowała go spod pomalowanych powiek teupixqui, kapłanka odziana w czerwień i złoto, ich rytualne szaty. Włosy, splatane w drobne warkoczyki w barwie płomieni, teupixqui nosiły na wzór samej Neyestecae długie aż do ziemi. Wielki, błękitny klejnot pulsował blaskiem na czole kapłanki, rzucając trupie światło na jej bladą twarz. Z daleka widział jej wypełnione bielą oczy. Przez chwilę obawiał się, że go dostrzeże, ale skupiona była tylko na uroczystości.

W ogłuszającym dźwięku trąb i bębnow wkroczyli bohaterowie defilady. Oficerowie, tlatoni, zasłużeni w bitwach na północy. Przyjrzał im się jednemu po drugim. W większości byli to młodzieńcy niespełna dwudziesto-kilkuletni, niemożliwe było, by byli najlepszymi żołnierzami na tej wojnie. Musiało więc chodzić o nagrodzenie młodocianych, danie przykładu innym, że oto warto walczyć dzielnie, nawet w młodym wieku można zyskać sławę i łaskę Opiekunów.

Dam wam właściwy przykład, pomyślał, przyglądając się uważnie twarzom, barwom na pióropuszach, niesionym symbolom. Zauważył wkraczającego przez bramę tane-tlatona, zwierzchnika całej brygady, potężnej budowy mężczyznę, za którym adiutanci nieśli równie wielki miecz, szczerzący czarne obsydianowe zęby. Nietrudno było zauważyć podkrążone oczy i chwiejny, zmęczony krok kogoś, kto spędził noc na czym innym niż spanie. To, jak mrużył oczy, gdy padało na niego słońce, było ewidentną oznaką kaca.

Tego też zapamiętał.

Za nim, trzymając się lekko z tyłu, wszedł jeszcze jeden człowiek. Nosił oryginalnej barwy niewielki zielony pióropusz i nefrytowe ozdoby barwy świeżej trawy w uszach i na szyi. Odróżniały go nieco od tłumu, noszącego powszechną, błękitnej barwy biżuterię z minerału. Odróżniały go także czarne tatuaże, okalające jego twarz i nadające jej groźnego wyglądu, a także wrażenie jakie wywoływał u mijających go ludzi. Nawet z odległości kryjówki na koronie fortu widać było, jak tłum cofa się przed nim.

Zapamiętał go więc, licząc na to, że to może być ktoś znaczny.

Na dziedzińcu pojawiły się właśnie dziewczęta. Przynosiły młodym bohaterom wieńce z kwiatów i naszyjniki z minerału, śpiewały jakieś pieśni, tłum zgromadzony na placu i wzdłuż prowadzącej na zameczek serpentyny wiwatował z radości.

Płomiennowłosa teupixqui uniosła blade ramiona i tłum uciszył się, odwracając w kierunku, skąd widać było leżącą po drugiej stronie świątynię.

W miejscu, gdzie niegdyś zamknięto tajemnicę Tabu, uczyniono właśnie świątynię. Dawne podziemne schrony i przejścia zalano roztopioną skałą, uczyniono nad nimi potężny kamienny sarkofag, na którego szczycie, pomiędzy czterema wieżami, wzniesiono olbrzymi ołtarz. Wstęp tam, a nawet na samą górę, był zakazany dla wszystkich prócz kapłanów, ludność mogła więc podziwiać imponujące miejsce wyłącznie stąd, z drugiej strony przełęczy.

Tymczasem jeszcze raz zabrzmiały olbrzymie trąbity.

Nie był to jednak, jak podejrzewał, kolejny z thlatonów, nie był to żaden z polityków i możnowładców.

Prowadzono jeńców.

- Sława twojemu imieniu, namiestniku – człowiek z nefrytowym naszyjnikiem lekko skłonił się przed Viracauncą – Piękny dziś dzień.

Namiestnik lekko zadrżał i pomimo prażącego słońca poczuł, jak robi mu się zimno.

Wiedział, po co mógł tu przybyć najpotężniejszy z powierników Szamanki.

- Sława twym przodkom, Korheni – odparł zgodnie z etykietą – Dawno cię nie było w tych stronach.

Jeden z najbardziej wpływowych ludzi w krainie Qa uśmiechnął się oszczędnie, zajmując miejsce na podwyższeniu.

- Nigdy mnie tu nie było. Postanowiłem jednak odwiedzić miejsce, gdzie się wydarzyło niegdyś tak wiele... decydujących dla naszego ludu zdarzeń. Słyszałem także, że macie problemy natury... tajemniczej.

Ticuahtli przełknął ślinę tak głośno, że niemal usłyszeli go stojący obok strażnicy.

- Tak...? Myślę, że poradziliśmy sobie z tym zagrożeniem....

- A ja myślę, że nie – głos Korheniego był nieprzenikniony – ale poradzimy sobie z nim wspólnie. Już wkrótce... Skupmy się jednak na uroczystości. Nasi młodzi bohaterowie przeżywają najważniejszy dzień swojego życia.

Rzeczywiście, młodzi wojownicy zostali ustawieni na stromych stopniach wiodących na szczyt zwieńczonej obeliskiem piramidy. Teupixqui skinieniem głowy przywołała dwie kapłanki w strojach polowych, z twarzami ocienionymi kapturem i wymalowanymi czernią i krwią, i te zeszyły powoli po stopniach, stając przed niewielkim kamiennym ołtarzem. Widział z góry wyraźnie, jak

kruszą mineralowe kryształy, mieszając przy wtórze dziewczęcych śpiewów z jakimś płynem, tworzona masa pulsowała światłem i raz po raz błyskała wyładowaniami.

Trąby zabrzmiały jeszcze raz.

Kolumna jeńców liczyła kilkadziesiąt osób. W większości byli w dobrym stanie, wszyscy bez wyjątku nosili opatrunki i ślady licznych ran. Wszyscy byli związani i połączeni więzami, założonymi na szyję, nie dla uniemożliwienia im ucieczki, ta z założenia była niemożliwa, celem musiało więc być poniżenie przeciwnika. Kilku nosiło skórzane kubraki w kolorze rudego brązu i czarne koszule z bufami, większość – mieszane resztki mundurów pertamy.

Styryjczycy.

Zgrzytnął zębami ze złością. Jeśli pojmano ich gdzieś na północy, gdzieś u granic Aenthil czy gdzie tam jeszcze trwała walka, to wlekli ich rannych taki kawał drogi po to tylko, żeby móc pokazać ludziom jak jakieś dziwolągi trzymane na sznurze...

Spojrzał na twarze jeńców, szukając znajomych rysów. Gwardziści mieli zacięte i dumne miny, choć wiedział, że to zapewne głównie wyuczona poza. Pozostali bali się, byli zmęczeni, zniszczeni bólem i niepewnością. Odetchnął bezgłośnie. Żadnego z nich nie znał.

Całą kolumnę podprowadzono pod piramidę. Z wysokości korony trudno było rozeznaczyć, co mówią do nich dwie teupixqui, krążąc wokół grupy jak wokół stada owiec. Jeńcy słuchali ich, patrząc niepewnie po sobie. Okrzyki tłumu zagłuszyły słowa, dopiero kiedy kapłanka, stojąca u szczytu piramidy uniosła znów ręce, ludzie uciszyli się.

- Niech odpowiedzą! – zawołała w zapadłej ciszy. Kilku jeńców zadreptało w miejscu, jakby się wahali, ktoś coś krzyknął, ktoś się szarpnął w więzach – Odpowiedzcie!

Stojący z boku grupy mężczyzna krzyknął głośno i opadł powoli na kolana. Za nim uczynił to następny, pochylając nisko głowę, jakby chciał zasłonić twarz. Po kolei, jeden za drugim uklękli niemal wszyscy. Na nogach pozostało kilku gwardzistów i jeden żołnierz.

- Nie będzie drugiej szansy – powiedziała dźwięcznie kapłanka, zstępując po schodach piramidy – Uklękniście, a przyjmimy was.

Gwardzista, stojący na samym środku, zaśmiał się kpiąco i patrząc prosto w oczy teupixqui ostentacyjnie splunął na stopnie piramidy. Tłum zawrzasnęła z oburzeniem, kilku z młodych żołnierzy rzuciło się, aby ukarać za zuchwałość, ale powstrzymała ich gestem.

Przekrzywiła głowę, patrząc na jeńca jak drapieżny ptak patrzy na ofiarę.

- Gwardia arcyksięcia... Evret Lorede, w stopniu furyera – dłoń, którą przyłożyła mu do czoła, ewidentnie posłużyła jako nośnik zaklęcia, którym czytała mu umysł – Evrecie, umrzesz bolesną śmiercią.

Gwardzista roześmiał się i wzruszył ramionami, odpowiedział coś, co chyba było przekleństwem, ale zostało stłumione uderzeniem. Na wpopół przytomnego przyciągnięto go pod ołtarz, tymczasem teupixqui rozpoczęła rytuał Naznaczeń.

- Przyjmuję władzę waszą nade mną, wyrzekam się wszystkich innych bogów poza Opiekunami, uznaję ich za jedynych godnych czci i ofiary – zabrzmiało na placu. Raz. Drugi. Piąty. Doliczył do czterdziestu trzech. Pięciu nie uklękło. Każdemu z naznaczonych kapłanka kreśliła na czole skomplikowany znak, który zdawał się dodawać kilogramów głowie, bo większość pochylała się do przodu, padając niemal czołem na ziemię. Niektórzy krzyczeli z bólu. Inni płakali.

Naznaczonych odprowadzono w kierunku bramy, nie uwolniono ich jednak ani nie zdjęto nawet więzów, poza obrożami z szyi.

Po nich przyszła kolej na tych, którzy odmówili. Kapłanka zaczęła śpiewać, pieśń miała nierówną, niepokojącą melodię. Przy jej wtórze kilku strażników podniosło tego gwardzistę, Evreta, szarpiąc za sznur na szyi, i przywlekło go do ołtarza.

Zgrzytnął zębami z wściekłością, z trudem panując nad przemożną chęcią zeskoczenia na dziedziniec i wymordowania tam wszystkich w zasięgu ostrza. Dajcie mu chociaż godną śmierć!

wrzasał w myślach, dodając kilka koszarowych przekleństw. Przypadł jednak z powrotem do ziemi, karcąc się w myślach za brak rozsądku.

Powoli wciągnął powietrze, odzyskując panowanie nad sobą. Zapamiętał twarz kapłanki.

Gdy strażnicy rzucili gwardzistę na ziemię przed nią, trzymając za długie włosy, zgrzytnął zębami jeszcze raz.

To Styryjczycy, idiotko, szepnął bezgłośnie, ich się nie da w ten sposób złamać, powinniście to wiedzieć.

Teupixqui odwróciła się ku piramidzie, unosząc obsydianowy sztylet.

- Kto z was zatem ma odwagę, by stać się narzędziem Opiekunów, by oddać im krew i życie tego człowieka?

Wśród młodych żołnierzy zapanowała lekka konsternacja, widać było, że zabijanie bezbronnych to nie jest to, na co byli gotowi. Trwała jednak krótko. Niemal połowa wystąpiła krok do przodu. Kapłanka wybrała tego, który uczynił to pierwszy, wysokiego, postawnego chłopaka. Skłonił się jej oraz w kierunku namiestnika.

Sztylet ciał ciał bezgłośnie, w każdym razie z tej odległości nie słyhać było odgłosu. Słyhać było wrzask gwardzisty, którego nie zdołał powstrzymać. Krew, która zbryzgała podstawę ołtarza, była gęsta i czarna. Tłum wiwatował, gdy kapłanka wyciągała wciąż bijące serce i kładła je na ołtarzu, mieszając krew z błękitną minerałową mazią.

Zapamiętał rysy młodzieńca-ochotnika.

Podobnie jak pozostałych, którzy wystąpili.

I imię gwardzisty.

Po słonecznym dniu nastąpiła wietrzna, zimna noc. Skostniali z zimna strażnicy kulili się pod płachtami namiotów, walcząc z pochodniami, które wciąż gasły, a minerałowych latarenek chyba nie mieli na stanie. Wiatr tłumił kroki, przygaszał ogniska, przy których i tak już nikt nie siedział. Zupełnie jakby przyroda chciała ułatwić mu to zadanie.

Pilnował się jednak, aby nie wpaść w pułapkę ławizny, nie popełnić jakiegoś oczywistego błędu. Korzystał z osłony, jaką dawał wiatr i wyjątkowo gęsta ciemność, jednak nie pozwalał sobie na rezygnację z maskowania czy marsz środkiem ścieżek.

Ten był ostatni.

Namiot usytuowany w ostatnim, najdalszym szeregu, otaczał wianuszek potłuczonych glinianych butelek i ogryzionych resztek jedzenia- ślady po imprezie, jaką urządzili sobie młodzi oficerowie po dzisiejszej uroczystości. Świętowali hucznie rozdane odznaczenia i awanse, powrót do domów i świeżo zdobytą sławę. Większość z nich pochodziła z wysokich rodów, byli zamożni, mieli więc za co szaleć. Miejscowe dziewczęta, liczące na upolowanie dobrze sytuowanego kawalera, licznie uczestniczyły w owej balandze, teraz jednak większość albo powracała do domów, albo spała wraz z owymi upolowanymi kawalerami w namiotach.

Zwyczajnie wśród Qa znacznie różniły się od tych na północy, zdążył się już przyzwyczaić. Spodziewał się zatem, że i w tym namiocie znajdzie jakąś urodziwą lokatorkę, tym razem jednak pomylił się. Qa spał sam. Wślizgnął się przy ziemi pod płachtą ściany i znieruchomiał na chwilę, obserwując wnętrze namiotu. Oficerskie lokum było niewielkie, ale w przeciwieństwie do zwykłych, żołnierskich, przeznaczone dla jednej, a nie ośmiu osób. Wnętrze było wyłożone futrami i kocami z tryntyjskiej wełny, rzucały się w oczy ozdobne naczynia i kawał wzorzystej tkaniny złotogłowiu, ewidentnie pochodzącej z Birki.

Zwykle miał opory przed zabijaniem śpiących, tym razem jednak nie drgnęła mu ani ręka ani powieka. Qa umarł we śnie, nie wydawszy żadnego dźwięku. Gęsta ciemna krew zaplamiła białe futra.

Przyklęknął na chwilę nad ofiarą i po chwili zawahania wyciągnął nóż. Końcówką ostrza nieco koślawo wyciął na skórze swarżycę Tavar, uśmiechając się w myśli na tę ironię losu.

Wytarł lepką od zasychającej krwi rękawicę w koc. Był najwyższy czas, by się stąd zwijać...

Fart opuścił go jednak szybciej niż sądził. Wiatr, który łopotał namiotem, zagłuszał także wszelkie inne odgłosy z zewnątrz, gdy więc gdy nagle uniosła się płachta i w drzwiach ukazał się Qa, ledwie zdążył przypaść do ziemi. Nie usłyszał go wcześniej. Zaklął w myśli. Gdyby nie zostawił na piersi zabitego krwawego symbolu, tamten zapewne nawet by nie zauważył, że towarzysz nie żyje, jako że ewidentnie przyszedł w poszukiwaniu czegoś do picia. Przez kilka sekund brzdąkał przrzucanymi naczyniami i wydawało się, że może naprawdę nie zauważy. Gdy jednak nie znalazł, czego szukał, zgrzytnęło krzesiwo.

Trudno. Nie zastanawiał się. Kiedy błysnął płomień, w migoczącym świetle lekko pijany młody Qa zobaczył twarz demona i błyszczące w ciemności oczy. Wrzasnął, ale udławił się wrzaskiem, wciśniętym w usta razem z ostrzem sztyletu. Nie było na co czekać. U wejścia do namiotu słychać było kolejnych, odepchnął więc ciało w tamtym kierunku i przypadł do ziemi, wyczołgując się pod płachtą na zewnątrz.

Świeca na chwilę go oślepiła, więc odczekał sekundę, aż odzyska rozeznanie w terenie. Ścigany okrzykami podnoszonego alarmu przebiegł ku koszowemu ogrodzeniu, które przeskoczył i zapadł w trawy z drugiej strony. Biegające w chaosie posterunki nie dostrzegły go, chociaż jeden przeszedł w odległości półtora metra obok.

Do kryjówki wrócił nad ranem. Znowu. Choć nad górami różowiło się już światło poranka, nie miał ochoty spać. Zmył krew z rąk gestem, który już dawno przestał uważać za symboliczny. Starannie doczyścił ostrza, przejeżdżając jeszcze każde korundową osełką. Ubranie było pokrwawione tak, że czyszczenie go z posoki nie miało żadnego sensu. Rozpędził się, aby zdjąć z siebie koszulę, odpiął fibulę, ale rozmyślił się. Później. Najlepiej będzie zakopać, pomyślał, teraz kiedy w górach jest od cholery patroli, lepiej nie ryzykować ognia, dymu i zapachu.

Zerknął na malutką kapliczkę z posągami Modwita.

- Nie słyszysz mnie, prawda? – powiedział półgłosem pod adresem boga, odpowiadając od razu – Jasne, że nie słyszysz. Pewnie masz własne problemy, cóż cię obchodzą twoi ludzie...

Tylko jedną spośród bogów obchodzili jej ludzie, dodał w myślach, ale ona także najwyraźniej ich opuściła. Styryjczycy... Większość z tych, których poznał, widział z przeciwnej strony ostrza. Niektórzy jednak... nie, przyjaciel to stanowczo za duże słowo, ale zyskali sympatię. Krevain, pionier, odkrywca, przywódca. Wielokrotnie mijał jego samotną mogiłę. Spor, szalona psioniczka. Khaan, ulundo o nadgarstkach z chropowatej kory, wybitny łucznik... Wszyscy odeszli już dawno. Jak ten Evret, którego okrutną śmierć bezsilnie oglądał, tamci pewnie też już dawno nie żyją. Pewnie ich także pochłonęła wojna. I wróg, potężny, niezwycięzony, przeciw któremu walka wydawała się beznadziejna i bezsensowna.

Ale ten wróg krwawi tak samo jak my, pomyślał, patrząc na splamione krwią rękawy koszuli. Zgrzytnął zębami. Wzrok padł na brązową ozdobę w dłoni. Fibuła. Obrócił ją w palcach. Ciekawe, czy wciąż jeszcze ma moc blokowania kapłańskich zaklęć, pomyślał, nie ma dość umiejętności, by to sprawdzić. Ciekawe, czy jej właścicielka wciąż żyje... Z jej umiejętnościami pakowania się w kłopoty zapewne już od dawna nie...

Upalna noc była zbyt ciepła na marsz, ale i tak lepsza niż dzień. Z Vekowaru było daleko i bolały nogi. A ona uparcie robiła zamieszanie. Zauważył tego więźnia już wcześniej, w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych nie miała tej niepewności w oczach, tej, którą widać było u każdego, kto trafiał do kolonii karnych na zapółdniu.

Ale to było mało istotne. Liczył się rozkaz, bezpieczeństwo przemarszu, sytuacja taktyczna. Nie pasowała mu wtedy rola więziennego strażnika, nie pasowała jak cholera. Nie po to zaciągał się do armii, żeby się znęcać nad bezbronnymi...

Szybko go wtedy wyprowadzili z błędu. Jedno niedopatrzenie, jedna chwila nieuwagi. Co prawda trudno było skupiac uwagę na więźniach, gdy przyszło bronić się przed tubylcami, przed ich przygniatającą przewagą, przed ich tresowanymi potworami i magią... Jednak chwila spuszczenia ich z oczu i w efekcie miał na gardle własny miecz. Styryjski zresztą...

Gdyby wtedy centurion posłuchała jego rady, ta Styryjka nie dotarłaby nigdy do osady Krevaina, nie nawiązałaby kontaktu z Szamanką, nie poprowadziła ich wszystkich do Tabu... Być może nie stałoby się to wszystko...

Akurat, uciał własne myśli. Co się miało stać, stałoby się i tak. Etap obwiniania się za to, że nie przewidzieli takiego obrotu sytuacji, miał już dawno za sobą. Można było nie zabierać się do naruszania Tabu. Można było nie oddawać Szamance cholernej buławy i papierów. Można było... wiele rzeczy można było.

Ale tak mało wtedy wiedzieliśmy, pomyślał. Wspomnienia popłynęły własnym torem...

- Trzydzieści osiem – oznajmił Vartan ze śmiechem, kładąc na stole wyjęte ze słomianki brzechwy. Stojący obok Hamish tylko parsknął. Ylva uśmiechnęła się pod nosem, przejmując łuk.

- Nawet nie naruszyłeś rekordu – skomentował ktoś z tyłu. Styryjka powoli i bez pośpiechu nałożyła osadkę na cięciwę, roztarła lekko zdrętwiałe opuszki palców.

- A rekord to ile? – zapytała elfka, stojąca obok Tryntyjczyka?

- Nie uda ci się - zakpił pod adresem strzelającej. Żartobliwie pokazała mu gestem, co o tym sądzi i naciągnęła cięciwę, starannie przykładając do kącika ust.

- Sześćdziesiąt osiem – odpowiedział Hamish, obserwując wyniki na tarczy. Ylva wysłała kolejną strzałę. Sala umilkła. Cięciwa raz po raz śpiewała, puszczana z palców, pewnie zapartych o szczękę łuczniczki. Kolejne strzały głucho uderzały w tarczę.

- Nieźle... – mruknął Tryntyjczyk.

- Taaa, nieźle – skomentował, licząc w myśli. Ostatnia strzała uderzyła w ósemkę. Agentka podeszła powoli do tarczy.

- Siedem... Siedem... Osiem... – liczyła na głos, wyciągając kolejne strzały – Siedem... Cztery... psiakrew... Dziewięć... Sześć... Sześć... Siedem... – odwróciła się od tarczy z wybitnie irytującym, złośliwym uśmiechem triumfu – ... i osiem, Wergundzie – wyszczerzyła się do niego – To razem sześćdziesiąt dziewięć. To chyba o jeden więcej niż tobie udało się ustrzelić...

- Moje gratulacje – odpowiedział, siląc się na chłodny ton – Możesz się cieszyć chwilowym zwycięstwem. Dawaj łuk...

Uśmiechnął się pod nosem na to wspomnienie. Nie znał bardziej wkurzających Styryjczyków niż ona. Obrócił w palcach zapinę. Właściwie to czemu o niej pomyślał...? Umysł zmęczony trwającą trzy doby akcją podsuwał kolejne wspomnienia i przebliski dawnych wydarzeń, ale wśród nich były także takie, których zupełnie nie pamiętał, a wręcz był pewien, że się nie wydarzyły....

Jaskinia, wąska półka skalna. Jacyś ludzie, kilka znajomych twarzy. Elidis? Ten elf od miasta na bagnach? Emilia, magiczka. Emilia zwraca uwagę, emanuje czymś... Czymś, co każe podejść, nachylić się, spojrzeć w oczy.

Ylva, jej ostry, rozkazujący głos pod jego adresem.

- Everet! Opuść, cholera jasna!

Ktoś z werundzkim akcentem, gdzieś z głębi:

- Ylva, trzymaj na smyczy tych swoich chłopczyków...

Otrząsnął się. Wspomnienie tego Styryjczyka...? Skąd u licha? Więc mieli wspólnych znajomych... Świat zatem jest jednak mały. Choć z drugiej strony, cóż w tym dziwnego. Ylva, czołowa agentka styryjskiego wywiadu tu, na Zapołudniu, mogła znać wielu gwardzistów. Ale wspomnienia... Zabił... zabójcę owego Evreta, miał wciąż niedomytą na rękach jego krew. Cóż to za sprzężenie się utworzyło.

Z drugiej strony, może to tylko złudzenie, wytwór jego własnej wyobraźni, zapinka, Ylva, gwardzista, tylko płatanina własnych myśli....

Otrząsnął się.

W ostatniej chwili. Szelest, który słyszał od dłuższego czasu, wreszcie zwrócił jego uwagę. I wreszcie dotarło do niego, że to nie jest wiatr.

Zerwał się do przodu długim wyskokiem, łapiąc w przelocie rękojeść leżącego obok rapiera. Nad jego głową świstał przeraźliwie pocisk z procy, rozpryskując się o ścianę niewielkiej kazamaty. Przetoczył się po podłodze, potracił deskę, która robiła za prowizoryczny stół, i zasłonił się nią przed kolejnym pociskiem. Tym razem była to strzała, wbijając się w deskę prysnęła na boki żrącymi kropelkami trucizny. Na szczęście w pomieszczeniu było za ciasno, żeby stanęło obok siebie dwóch strzelców, a łucznik nie umiał poradzić sobie z niskim stropem i zawieszoną w drzwiach siatką.

Zerwał się z ziemi, łapiąc deskę podchwytem, śmignął nią obrotowym ruchem tak, że z hukiem wyrzucił w łeb nieudacznego strzelca. Zanim zastąpił go kolejny, zdążył doskoczyć do otworu okiennego. Przez chwilę zabalansował na krawędzi, ciemna otchłań fosy uderzyła nieprzyjemnym bagiennym zapachem. W porę, wyuczonym ruchem, złapał mocno zakotwiczony korzeń i przeskoczył na gzyms dwa metry dalej. Wojownik Qa, który wyskoczył za nim, uchwycił niewłaściwy kamień i wraz z nim runął do fosy, lądując na umieszczonych tam zaostzonych palach.

Przez chwilę patrzył za nim, łapiąc oddech. Starzejesz się, pomyślał pod własnym adresem. Po gzymsie przesunął się do otworu, wyprowadzającego na zewnątrz wodę z odwodnień, uchwycił krawędź i miękko wskoczył na górę.

Sześciu. Tylu go widziało. Jeśli chciał utrzymać budowaną tak długo legendę „upiora z bagien”, nie mógł wypuścić żadnego żywego. Na zewnątrz kryjówki czekało przynajmniej czterech następnych. Prędzej sześciu, pomyślał. Dwie szóstki, dwa oddziały operacyjne. To by się zgadzało.

Kanał odwodnienia miał niespełna 60 cm wysokości, wystarczająco, by się przeczołgać do miejsc, gdzie umieścić dźwignie, za mało, by ktoś go nim ściął. Kolejny Qa był jednak uparty, więc poczekał na niego, poczekał aż jego twarz ukaże się u wylotu tunelu. To był jeden szybki sztych, wojownik z brzydkim plaśnięciem runął w bagno.

Gdy dotarł do dźwigni, wojownicy z drugiego oddziału właśnie mijali pierwszy przesmyk. Przyklęknął w miejscu, gdzie tunel przechodził w pionowy wąziutki szyb, stamtąd widział doskonale tak kolejne korytarze przy wejściu jak i samą mieszkalną kazamatę. Szarpnął za pierwszą dźwignię, zwolniona z naciągu lina jęknęła cicho, szcęknięła mechanizm. Pierwszy z idących wrzasnął

rozdzierająco, gdy wypuszczony ze sporej kuszy, zamontowanej w ścianie pocisk przebił go na wylot. Kolejnych dwóch cofnęło się, obserwując ściany z trudno ukrywanym strachem. Cofnęli się aż pod wylot tunelu. Patrząc po ścianach zapomnieli spojrzeć w górę... Nikt nigdy nie patrzy w górę, pomyślał w chwilę po tym, gdy obydwie ciała miękko upadły na pylistą posadzkę. Wylał sztylet w szarą tunikę jednego z nich.

Zostało sześciu. Trzech w kazamacie, w tym jeden z procą. Cicho pobiegł korytarzem w kierunku kazamaty. Okazali się być dużo lepsi, niż się spodziewał. Nie bali się. Czyżby uprzedzono ich, że polują na upiora? Skryty za załomem ściany z niepokojem spjrzał na oślepiająco białą wiązkę promieni, która wypaliła na przeciwległej ścianie czarny znak. Założyłby się, że została posłana czymś w rodzaju egzorcyzmu. Ten, kto ją rzucał, musiał się go zatem spodziewać z tej strony. Gdy pojawiła się kolejna wiązka, wrzasnął zatem rozdzierająco, na tyle autentycznie na ile było go stać i rzucił przed siebie zdjętą z siebie tunikę. I tak miałem ją spalić, pomyślał, patrząc jak topi się w iskrzącej wiązce mocy...

Manewr widocznie podzielał, bo ten który operował zakłęciami, powiedział coś cicho do swoich dwóch towarzyszy i powoli ruszył w korytarz.

Nigdy nie patrzę w górę, pomyślał, wycierając nóż. W ostatniej chwili, bo od strony wejścia słychać już było kolejnych. Ci jednak go nie widzieli. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie poczekać i na pozostałych, ale wolał nie naciągać szczęścia. Tych pozostałych trzech i tak zostanie tu tylko pocięte nożem ciała i puste pomieszczenie, z którego teoretycznie nie ma ucieczki. Efekt powinien zostać osiągnięty.

Odgłosy zbliżającego się oddziału były coraz głośniejsze, w dodatku rozwiały mniemanie, iż na zewnątrz zostało tylko trzech wojowników. Z pewnością było ich więcej. Niezła obława, przemknęło mu przez myśl. Takiego wała, sukinkoty. Cofnął się do kazamaty, szybkim spojrzeniem omiatając pomieszczenie. Nie mógł zabrać niczego, co by go obciążało i krępowało ruchy. Jednocześnie niczego nie potrzebował, kryjówek takich jak ta miał w okolicy kilkanaście. Pospiesznie złapał tylko figurkę Modwita, którą wsunął do kieszeni, i wyśmienitej jakości korundową osełkę. To była bardzo dobra osełka.

Nim pierwszy ze ścigających ukazał się w wejściu, skoczył raz jeszcze do okna. Tym razem opuścił się powoli po kruchym murze, starając się możliwie nie strącać kamieni. Spieniona powierzchnia bagna była tuż pod jego stopami. Zanurzył się powoli, biorąc głęboki wdech, namacał stopami poprzeczną belkę. Schodząc pod wodę złapał ją rękami i starając się nie zmacać wody powolutku przeciągał się na drugą stronę. Obrzydliwa bagienna ciecz pchała się do nosa i ust, ale ignorował ją, skupiony na tym, czy ktoś z intruzów jest na drugim brzegu fosy.

Był.

To oznaczało konieczność czekania w półzanurzeniu, w przygotowanej pod załomem ściany kryjówce, do świtu. Co za tym idzie, przemarznięcie, zapewne gorączkę i halucynacje. Znowu. Westchnął z rezygnacją i zacisnął szczękające zęby.

Korheni roztrącił kamienie, które osypały się ze stropu kazamaty. Przejrzał po raz kolejny ściany, szczątki desek i resztki spalonej zakłęciami wełnianej koszuli. Zaklął pod nosem.

- Twój plan, panie, chyba nie powiódł się do końca... – stojący obok Viracaunca mierzył go wzrokiem, w którym dało się rozpoznać nutki tajonej satysfakcji. Wojownik zignorował go, pogrążony w myślach. Teupixqui w obszernym kapturze powoli przesuwając dłońmi po zakrwawionej

posadzce, szukając śladów zaklęć, modlitw i emocji, Korheni obserwował jej poczynania i układał w myśli obraz wydarzeń.

- Nie do końca – przyznał wreszcie po czasie tak długim, że namiestnik zapomniał już, o co pytał – Przyznaję... – dodał w zamyśleniu – że nie spodziewałem się aż tylu ofiar....

- Tej nocy poległo wielu dobrych Qa – Viracaunca zaryzykował jeszcze chwilę upajania się triumfem – Twój plan zaowocował śmiercią pięciu młodych tlatoni, wysokiej teupixqui, a przede wszystkim tane-tlatona Vehetle’a... – namiestnik umilkł, widząc jak Korheni uśmiecha się kpiąco.

- Drogi mój namiestniku – odpowiedział z pobłażaniem, rozsiadając się na przykrytej kocem desce – Nie powinienes myśleć o rzeczach, które cię przerastają. Widzisz... Tane-tlatone Vehetl... cóż. Jakby ci to powiedzieć. Był człowiekiem porywczym, pysznym i trudnym do przekonania. Do tego dramatycznie tępym jeśli chodzi o taktykę i nie znającym umiaru w trunkach. Jego nieprzemysłane decyzje kosztowały życie wielu dobrych wojowników, jednak wydanie wyroku... cóż, nie było wykonalne. Rozumiesz, członek kasty Niedźwiedzi, a do tego syn wielkiej Maerite, kapłanki w Pierwszej Świątyni... Rzecz w tym, że nie można było pozwolić, aby choćby raz jeszcze dowodził. Ci młodzi, tak, przyznaję, nieco żal, bo można było wysłać ich na front do Tryntu lub na ten odcinek frontu w Styrii, gdzie walczą ulundo i gwardia. Efekt byłby ten sam, młode, napuszone byczki, synalki dobrze usytuowanych rodziców, umarliby szybciej niż tutaj. A tak chociaż ich śmierć przysłużyła się dobrej sprawie. Dzięki krwi tego paniczyka znaleźliśmy tę kryjówkę, dzięki krwi, którą naznaczyłem mocą.

- Na tę teupixqui także był wyrok...? – zapytał niepewnie Viracaunca – Podpadła Opiekunom...?

- Uważaj, namiestniku – roześmiał się Korheni – Podważanie wiarygodności kapłanów kończy się bardzo nieprzyjemnie. Tak nieprzyjemnie, że nie mam ochoty nawet ci o tym opowiadać. Nie... kapłanki nie było w planie – spoważniał nagle – A już na pewno nie przewidziałem, że ten „upiór” zechce wyrwać jej serce i wsadzić w usta... Całkiem efektowne, przyznaję...

Namiestnik wzdrygnął się na samo wspomnienie zakrwawionego i okaleczonego ciała kapłanki. Intensywnie uczucie mdłości, które go dopadło na ten widok, powróciło z dużą intensywnością i z trudem zapanował nad wymiotnym odruchem.

- Musi zostać schwytany – warknął, dodając sobie animuszu groźnym tonem – I chcę go wtedy dostać w ręce...

- Spokojnie, przyjacielu – wysłannik Neyestecae pozwolił sobie na nieformalny, poufaly ton – Finalnie zapewne na tym się skończy. Ale najpierw musimy wiedzieć, kim on jest i do czego można go wykorzystać.

- Panie... – głos zakapturzonej kapłanki był ciepły i miękki jak głos dziewczynki, gdy przyklękła przed Korhenim, podając mu coś na wyciągniętej dłoni – To znalazłam na posadzce. Jest na tym moc, nadana z pomocą jednego z demonów północy. I dużo powięzi.

- Czego... – wyrwał się Viracuanca, ale teupixqui nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem.

- Powięzi – uśmiechnął się Korheni – Pozostałości powiązań z poprzednimi właścicielami. To jak emocjonalny odcisk dłoni na przedmiocie. Zapina.... Potrafisz odczytać...? – zwrócił się do kapłanki – To musiało należeć do niego, bo przecież nie do kogoś z naszych.

- Należało – odpowiedziała cicho kapłanka – Ale wcześniej do innego człowieka. Kobiety. Z ludu spod znaku smoka. I z tą kobietą zostało powiązanie mocą, nie z nim. Jego nie znajdziemy po tym przedmiocie.

- Styryjczyk... – zastanowił się wysłannik – Wyrył swarzycę na ciele tamtego gówniarza. To by się zgadzało. A jednak coś mi dalej nie pasuje.

- Panie... – jeden z przeszukujących pomieszczenie wojowników podszedł, trzymając w dłoniach kilka drobiazgów. Nit do skóry. Lotkę od strzały. Kilka strzępków tkaniny. Korheni zamyślił się, ważąc w dłoniach przedmioty.

- Dilquene, wróć do świątyni z tym drobiazgiem, proszę. Poddajcie to rytuałom, dokładnym możliwie. Jeśli nie możemy znaleźć jego, znajdziemy tych, którzy go znają. Bo musi być ktoś taki. Ktoś, kto go stworzył. Ktoś, kto go tu przysłał. Ktoś, kto wie, kim on jest.

Lomin'Onfis niemal nigdy nie wyruszał osobiście w teren. Tym razem jednak zrobił wyjątek. Lesista Terala wystarczająco przypominała rodzinne Aenthil, choć była jego zdziaczałą, prymitywną karykaturą. Tego, co nazywali grodem Bilebreza, on nie nazwałby nawet kurnikiem. Ewentualnie nazwa się zgadzała, uroczę brzozy o śnieżnobiałej korze porastały całe jego przedpole, skutecznie niwelując wszystkie zalety, jakie mógłby mieć odsłonięty stok bojowy. Zdobyć ten kraj będzie nieprzyzwoicie łatwo, sarknął w myśli, po co więc tyle zachodu. Usiadł na szerokiej desce parapetu, bawiąc się wyginaną fibulą z brązu. Mniejsza o Terałę. Lomin uzyskali w tej chwili wystarczające wpływy w rodzie Awdan i całym znaku Karany, że niewczesne wysiłki Styryjczyków, by osadzić na tronie wojewody jednego z Jastrzębców, były skazane na porażkę. Zwłaszcza, że ich zwierzchnik wywiadu tak łatwo i gładko wpadł w zastawione sidła....

A ten drobiazg w tym pomógł. I to była sprawa, która spędzała Onfisowi sen z powiek. Ylva Darren od lat nie była widziana na Zapółudniu. Jakim cudem miałyby mieć coś wspólnego z sabotażem na przełęczy Tecuitla...? Zdziwiło go zaraz po tym, gdy otrzymał tę informację od ludzi Qa wraz z lekko podszytą strachem prośbą o znalezienie właścicielki zapiny i wydobyć od niej wszelkich informacji o tym wrogu, który mordował im dowódców. Czyżby robił to dla styryjskiego wywiadu...?

Nie, prawdopodobnie tamten Wergund działał na własną rękę.

Dragmira Sulisławówna, jedna z jego najlepszych i najwierniejszych nabytków w Terali, przyniosła z przesłuchania dość informacji, by zakończyć obie sprawy. Znając tożsamość sabotażysty Qa powinni to załatwić szybko i możliwie boleśnie. Spektakularnie wręcz, pomyślał, tak, by poetycko mówiąc, jego wrzask bólu usłyszeli wszyscy, którzy będą jeszcze próbowali walczyć za trupa Wergundii. A Styryjka... Cóż, Ylva skończyła tę partię, uśmiechnął się z satysfakcją. Skończyła ją w teralskim lochu z wyrokiem za zabójstwo kniazia wojewody... Który ma być wykonany jutro, warto jednak przyspieszyć tę kwestię, zdanie się na teralskiego kata grozi spartoleniem roboty. Tak, pomyślał szpieg, wyrok należy przyspieszyć do „za chwilę”.

„Nie uciekaj teraz. Ratunek pewny. Zaufaj. Wytrzymaj”

Ylva powtórzyła w pamięci jeszcze raz przeczytane słowa. Wytrzymaj... Dobrze sobie. Prawie równie zabawne, jak „zaufaj”. Jedyne, której była w stanie zaufać, wykrwawiła się kilka dni temu na zapyziałej dakońskiej przełęczy. Agentka westchnęła i spróbowała się podnieść, wyczerpane skurczami mięśnie zareagowały wściekłym zakwasem. Syknęła z bólu i opadła z powrotem na twardą prycę.

Wywietrznik jaśniał światłem, lekko różowawym, więc musiał być świt. Ma dzień czasu do wykonania wyroku. Dzień. To dużo. Ponowna próba podniesienia się tym razem się powiodła, Ylva sprawdziła ostrze zamocowane w podeszwie. Miała właściwie tylko to, plus sznurek wciągnięty jako pasek do tuniki. Zostało jej jeszcze jedno, tabletką, zaszyta w krawędzi ubrania. Ale to byłaby absolutna ostateczność. To wszystko to było grubo za mało, żeby wydostać się z tej matni. Może więc należało zaufać...

Jak w odpowiedzi na to rozważanie, coś szurnęło pod drzwiami. Znieruchomiała. Dobiegł ją dźwięk krótkiej rozmowy, ktoś odmaszerował głośnym krokiem. Ktoś inny odczekał, aż umilkną

kroki i szarpnął zasuwę. Drzwi skrzypnęły i ukazał się w nich strażnik w barwach Awdanów. Ylva badawczo mu się przyjrzała, szukając znaku. Daremnie. Znak, który nosili jako rozpoznawczy symbol styryjskiej siatki, nie było.

- Wstawaj, idziesz z nami.

Uniosła brwi, nasłuchując odgłosów w korytarzu. Z pewnością były tam jeszcze inne osoby.

- Z wami? Dokąd?

Strażnik zmienił ton na bardziej oficjalny.

- Ylvo Darren, zostałeś skazana za skrytobójstwo i morderstwo kniazia wojewody Dragana z Awdanów Karanawica wyrokiem nieodwołalnym na śmierć. Wyrok zostanie wykonany natychmiast.

Serce podjechało jej do gardła w nagłym przypiływie paniki. Musiała zmusić się do przełknięcia śliny, by wydobyć z siebie głos.

- Wyrok miał być wykonany jutro.....

- Ale został przyspieszony. Wstań, albo zostaniesz na miejsce doprowadzona przemocą.

Miała nogi jak z waty. Pospieszne myśli nie były w stanie skupić się na niczym. Związano jej ręce, odruchowo przytrzymała nadgarstki tak, by móc zdjąć więzy, ale zaraz po wyjściu z celi otoczyło ją sześciu żołnierzy. Z jednym ostrzem ze spinki do włosów nie miała szans. Zrozumiała to do końca jednak dopiero wtedy, gdy weszła do pomieszczenia, w którym czekał kat. Przy nim stała pod wielkim czerwonym proporcem Karany Dragmira Awdanka. Obok jeszcze dwóch wielmożów i kilku witezów i wojów.

Przejrzała ściany, wyjścia, broń obecnych. Zdążyła uwolnić jedną rękę, zanim stanęła na środku pomieszczenia.

- Poprawcie jej więzy – zaczęła Teralka – Ostatnio zdołała się uwolnić...

Ylva szarpnęła się rzutem na taśmę, jeden strażnik poleciał na ziemię, uderzony z nagłą głową, ale pozostali szybko ją obezwładnili. Tym razem nie udało się utrzymać więzów luźno.

- Dobrze, nie przeciągajmy tego – odezwał się jeden z kniazów – Morderczyni mojego wuja, styryjska żmija i prowokatorka, zgodnie z prawem naszego kraju umrze śmiercią taką, jaką sama zadała. Umrze od trucizny.

Uśmiech Dragmiry musiał być proporcjonalny do jej własnej miny. Z trudem panowała nad twarzą. Tak miało się skończyć? Tak szybko... Przecież było jeszcze tyle szans do wykorzystania... Przecież zawsze jest wyjście...Zawsze jest jakieś wyjście!

Jeden z towarzyszących Awdanom witezów wziął podane przez nią naczynie. Ylva знаła ten zapach. Trucizna o nazwie pyrodelium, podawana przez styczność z krwią, błyskawicznie z nią reagowała, roznosząc się po całym krwiobiegu aż do serca, którego gwałtowny skurez powodowała. Zawał serca, w bardzo bolesnej formie, przypominającej rozlewający się w klatce piersiowej płomień. Widziała wielokrotnie działanie specyfiku. Nie było na niego antidotum.

Odruchowo, niemal bezmyślnie poruszyła ustami w niemej modlitwie.

Witajże bogini w słońca blasku

Wieniec ponad twoją głową z gwiazd dwunastu

Zawitaj bogini w blasku słońca

Zostań z nami, zostań z nami aż do końca....

Spokój spłynął na nią nagle. Może razem ze słowami modlitwy, może jak zawsze w odpowiedzi na adrenalinę i strach.

- Zostań z nami aż do końca – szepnęła, gdy dwóch strażników podcięło jej nogi, rzucając na kolana. Spojrzała w oczy witezia, który przyklęknął przed nią. To był niemłody już człowiek, jego ciemne oczy przypominały mu kogoś, ale nie pamiętała kogo. Teraz miały być oczami samej śmierci.

Zapatrzyła się więc w nie, gdy rozcinał ostrym nożem skórę na jej ramieniu. Trucizna parzyła i piekła, ból przeszedł przez nią jak ostrze, pozostawiając uczucie chwilowej ulgi.

Więc tak to będzie wyglądać, uśmiechnęła się sama do siebie. Widzisz, Lylian, nie trwało to aż tak długo. W oczekiwaniu na uderzenie bólu, gdy trucizna dojdzie do serca, patrzyła na uśmiechniętą z ironiczną satysfakcją twarz Dragmiry, na ściągnięte powagą twarze kniaziów Awdanów, w oczy owego witezia, który podawał jej truciznę.

Obraz drgnął i rozmazał się, jakby nagle ktoś poruszył lustrem, w którym go oglądała. Człowiek o ciemnych oczach obok niej mówił coś, ale nie słyszała. Imię wergundzkich książąt, pomyślała, jaka szkoda, że nie pamiętam...

Zostań z nami, zostań z nami aż do końca.

Leżała na kamiennej posadzce z twarzą wykrzywioną grymasem bólu. Włosy rozsypały się wokół jej głowy i dopiero teraz dostrzegła, że ma posiniaczoną twarz, podkrążone oczy, a podarta koszula zupełnie nie pasuje do karnacji. Szkoda, że nie wyglądam ładniej w tej chwili. Dlaczego właściwie patrzę na samą siebie...

Serce zatrzymało się w jednym nagłym, mocnym uderzeniu.

Umarła.

Rozdział IV

Wszystkie drugie szanse

Gród Gryfów w zachodniej Terali

Światło wlało się w oczy niemalże materialnym strumieniem, jakby było gęstą i lepłą materią. Przełamało ciężki, duszący mrok. Nie było mowy o kształtach, kolorach ani detalach. Światło gasło, na przemian wsiąkając z powrotem w panujący nad światem mrok i znów zwyciężając.

Potem dotarł zapach.

Mokra ściółka sosnowego, równinnego lasu, zapach dzieciństwa. Stare drewno. Końska sierść. Deszcz.

Potem były dźwięki. Trochę szumu, trochę skrzypienia kół, dźwięki trudniej znajduwały odpowiednik w słowie, którym można było je nazwać. Były głównie wielkim niepojętym hałasem.

W międzyczasie wróciły też detale obrazu, w każdym razie tej jego części, którą notował wzrok bez unoszenia głowy. matowe futra. Zieloność przestrzeni, w której ciepłe promienie słoneczne przebiegały refleksami przez sklepienie liści. Kształt człowieka, rysy twarzy gdy się odwrócił.

Ostatnie wróciło odczuwanie. I Ylva wówczas pożałowała, że wróciło...

Okropnie zdrętwiałe dłonie dawały znać o tym, że żyją, wściekłym bólem w przygniecionych więzami naczyń krwionośnych. Wergundzkie kajdany nie zabezpieczają przed tym, by się rzucić do gardła oficerowi, więc poprawiali je zwykłym sznurem.

To też najwyraźniej nie pomagało...

Ciasny szereg wergundzkich żołnierzy cofa się, znów, tubylcy obiegają ich, otaczają. Wypuszczona z boku strzała boleśnie harata bark.

- Dajcie nam walczyć! – krzyczy Hamish, wysoki Tryntyjczyk, próbując wyrwać komuś z żołnierzy włócznię. Obrywa cios w brzuch, zwija się w pół z jękiem.

Ona nie krzyczy. Po co zwracać uwagę. W zamieszaniu zostaje kawałek obok szeregu, obsidianowy odłamek z łatwością przepiłowuje sznur.

- Jeszcze raz ...? – śmieje się pod nosem Khaan – Znów próbujesz?

Wyczekanie. Obserwacja. W końcu któryś z Wergundów pada na ziemię, na chwilę wypuszcza miecz. Wdech, szybki doskok, znajomy dotyk skóry rękocyści na dłoni, szybkie dopasowanie do ręki. Dobra broń. Więc...

Zimna stal przyłożona do gardła. Styryjskie rapiery mają doskonały, wąski klin, wie, że wystarczy jedno delikatne pchnięcie....

- Rzuć to.

- Dajcie nam walczyć, proszę ... Zabiją i nas i was...

- Rzuć, powiedziałem.

Ciemne oczy wbite pełnym nienawiści spojrzeniem w jej twarz. Upokorzenie po wczorajszej bójce i odebraniu broni... A może po prostu irytacja służbisty.

- Proszę, człowieku! Przecież i tak macie nad nami kontrolę! – nacisk na szyi, obrócenie ostrza. Pchnie, cholera. Z pewnością.

Uniesiona w bok dłoń wypuszcza rękocyści... Ostrze cofa się od gardła, szarpnięcie za koszulę.

- Nie próbuj tego nigdy więcej. Za trzecim razem cię zabiję.

Pokój, w którym się ocknęła, to była drewniana, przytulna izba. Wypełniał ją zapach świerkowego drewna, słodkiego ciasta i mydła. Zanim odważyła się poruszyć, długo skupiała wzrok na poszczególnych elementach stropu, belkach, zastrzałach, aż upewniła się, że nie śpi. Ciepłe promienie słoneczne wpadały przez dwa otwarte okna, w których wiatr delikatnie poruszał cienkimi płóciennymi firankami. Unoszący się w powietrzu delikatny kurz rozbłyskiwał w snopach światła.

Przez krótką chwilę nagłe uderzenie strachu sprawiło, że pociemniało jej w oczach – gdy poruszenie się nie przyniosło efektu, a wyobraźnia przyniosła nagły obraz najbardziej przerażającej rzeczywistości. Że już nigdy się nie poruszy....

TO była tylko przerażająca wizja. Białe prześcieradło, którym była przykryta, owinęło się wokół niej nie pozwalając słabym mięśniom się poruszyć. Przyptyw adrenaliny zaowocował gwałtowną falą mdłości, na szczęście zostwiono jej przy łóżku miskę i spory skopek z wodą... Słabe mięśnie z trudem utrzymały ciało i niemal gruchnęła z rozmachem na podłogę, a gdy opadła z powrotem na poduszki, dyszała ze zmęczenia jak po kilkukilometrowym biegu,

Tym razem już spokojniej i przytomniej przeanalizowała miejsce.

Pokój w starym drewnianym budynku, na zewnątrz odgłosy dzieci, koni, jak z dziedzińca jakiegoś gródka. Ozdobne wykończenia przy oknach, rzeźbione detale łóżka wskazywały na zamożne miejsce. Pachnąca mydłem lniana pościel wycinana w ażurowe gipiury, wskazywała na Terale. Rozejrzała się.

Szafka. Na niej kubek z wodą, sztylet, taca z owocami, wielki bukiet fioletowych astrów.

Poniżej ława, na niej ubrania, powieszony na oparciu wełniany kaftan. Obok pas z wyraźnie widoczną rękojęścią miecza.

Jest broń. Więc nie jest tu więźniem.

Powoli uruchamiała się pamięć ostatnich zapamiętanych momentów. Dotknęła twarzy, przyjrzała się dłoniom. Dotknęła z lekką obawą ramienia w poszukiwaniu obszernej rany po rozcięciu, która powinna się tam znaleźć. Była równo zasklepiona blizna.

Kolejna, pomyślała. Zanim jednak odważyła się uruchomić wspomnienie śmierci, myślom narzuciły się ostatnie obrazy. Spróbowała ułożyć je i uporządkować.

Zapołudnie. Dwadzieścia lat temu.

Ten sam człowiek, ten, którego imienia za cholere nie mogła sobie przypomnieć, za to pamięć podsuwała ciągle obraz jego twarzy. Co jest, do cholery...

Podniosła się, dowiadując się, że mięśnie w ogóle ledwie trzymają, ale zniknął ów pozostały po ostatnich przesłuchaniach ból, była tylko słabość. Przytrzymując się masywnego oparcia spróbowała wstać. Długie, białe giezło, jakie miała na sobie, nie pomagało, płacząc się o nogi. Z uporem jednak podniosła się już po szóstej udanej próbie i trzymając się mebli podeszła do okna. Światło... Słońce, zapach ludzkiej osady, kurz, konie, drewno...

Nagle pociemnienie w oczach, łaskocząca wiotkość mięśni.

Poleciała na podłogę bezwładnie, słysząc łomot jaki tym robi. Zanim wzrok odzyskał ostrość, usłyszała skrzypnięcie drzwi, stuk ciężkich butów na podłodze. Czyjeś ręce podniosły ją z ziemi delikatnie, kładąc znów w miękkość pachnącej mydłem pościeli.

- Nie powinnaś jeszcze wstawać, pani – głos zgrał się z wyostrzającym się powoli obrazem i strach znów złapał ją za gardło. Ów człowiek usiadł obok, podtrzymując jej głowę podał kubek wody, tak że mogła z bliska zobaczyć jego twarz.

Tę samą, którą widziała na wozie w przebłyskach świadomości.

Twarz człowieka, który ją zabił, podając śmiertelną truciznę...

Gdy zobaczył, że na niego patrzy, cofnął się, zachowując dystans. Musiała wyglądać na bardzo przerażoną, bo uśmiechnął się lekko w uspokajającym geście.

Ylva z kolei zdążyła już zapanować nad sobą, spokojnie wzięła z ręki swojego niedosłego zabójcy kubek z wodą, przyglądając mu się przez chwilę znad jego krawędzi. Mógł mieć pięćdziesiąt-kilka lat, długie ciemne włosy, które nosił spięte w kucyk na karku, przetykały na skroniach srebrne pasemka. Ciemne oczy i uroda raczej również nie wskazywały na rodowitego Terala, choć błękitnawa tunika z wzorzystymi krajkami, którą nosił pod skórzanym kaftanem, wskazywałaby właśnie na tę narodowość. Z czystego nawyku przyjrzała mu się pod kątem broni i stwierdziła, że miał jedynie zwykły użytkowy nóż przy pasie.

- W czyich rękach jestem? – zapytała, odzyskując kontrolę nad głosem i zaschniętym gardłem. Mężczyzna uśmiechnął się, jakby dopiero zrozumiał, jak z jej strony musiała wyglądać ta sytuacja.

- Wybacz, pani, nie jesteś w niczyich...

- Widziałam cię ostatni raz jako wykonawcę wyroku na usługach Dragmiry z Awdanów, panie, to im służysz...? Zechcesz mi wyjaśnić więc, dlaczego rozmawiamy, skoro zdecydowaliście mnie zabić? – przerwała mu dość obcesowo, pożałowała jednak, bo rozmówca cofnął się rzeczywiście mocno stropiony zimnym tonem jej głosu.

- Wybacz, pani – powtórzył – Wierzę zatem, że mój widok nie jest niczym, co chciałabyś widzieć. Postaram się, by ktoś zastąpił mnie w opiece.

- Nie, nie, proszę tylko o wyjaśnienie... – złagodziła nieco formę, jednak ten zdążył już wstać i podejść do drzwi, a ona nie miała siły podnieść się dalej. Nim powtórzyła prośbę, na zewnątrz rozległy się kroki, ciężkie wrota skrzypnęły. Mężczyzna skłonił się bynajmniej nie teralskim ukłonem, bowiem w drzwiach stanął książę Wład Imisławowic z Gryfów Jastrzębiec. Ylva opadła na poduszkę, mając ochotę się roześmiać serdecznie na widok znajomej twarzy teralskiego wielmoży. Ten także uśmiechnął się szeroko.

- Widzę, że poznałaś już tego, kto cię wyciągnął z tamtej kabały – położył rękę na ramieniu wychodzącego właśnie człowieka – Demetriusz z Tulos, mój człowiek do zadań specjalnych...

Wymieniony z imienia skłonił się jej raz jeszcze i nim zdążyła zaprotestować, wyszedł mijając zdziwionego nieco kniazia. Westchnęła.

- Kniaziu... – spróbowała także ukłonić się zgodnie z etykietą, ale ten machnął ręką

- Co tu się stało?

- Chyba nie potraktowałam go właściwie...

- Daj spokój, nie musisz mi się kłaniać, choćby przez wzgląd na... dawne czasy – uśmiechnął się podchodząc. Ylva teraz dopiero zauważyła, jak podobny był do swego młodszego brata, pomimo tego, że nosił równo przyciętą brodę i jasne włosy spięte w kucyk. Bogato zdobiony złotymi haftami kaftan nosił niedbale rozpięty na białej, ściąganej pod szyją koszuli — Wyglądasz wciąż na mało przytomną...

- Bo też i jestem mało przytomna – odpowiedziała uśmiechem - Niewiele rozumiem z tego, co zaszło... ile dni temu?

- Pięć tygodni, pani...

- Co...?!

- Pięć tygodni temu. W porozumieniu z waszymi ludźmi wysłałem do grodu Bilebreza moich zaufanych, by wydostać cię z lochu i spod oskarżenia o zabójstwo. Do otoczenia Dragmiry udało się wkręcić Demetriusza właśnie. I wszystko by się udało, jednak w ostatniej chwili ktoś przyspieszył wykonanie wyroku i pozostała już tylko taka właśnie nieprzyjemna forma, jakiej doświadczyłaś...

- Co było w truciźnie...? – wszystko zaczęło się wreszcie układać w całość, choć wciąż tysiące pytań cisnęły się jej na usta – Kto o tym wie, kto z naszych ludzi w tym pomagał... Co z Derwanem, co z akcją w Tryncie... Co z wojną i z... – utonęła przez chwilę w suchym kaszli podrażnionego gardła.

- Spokojnie, po kolei! – książę roześmiał się, podając jej kubek, ale natychmiast spoważniał – Od Derwana wciąż nie ma wieści, ostatnie, co wiemy, to że dotarł pod Silbrfjell, tam się skontaktował z tym Vardenem, którego wskazaliście. Dalej cisza.

- A wojna...? Qa wciąż stoją na północy...?

- Wciąż. Ich południowy kontyngent uderzył tydzień temu jeszcze raz na przełęcz dakońskie i jeszcze raz odbił się od dar Bregena. Zanim ściągną siły z południa, wciąż mamy dobry czas by uderzyć. Ale musimy wiedzieć, czy Halfdan Borgh Du utrzyma obronę swoich fortec...

- Utrzyma – uśmiechnęła się lekko – Nie wierzę, że teraz właśnie zdecyduje się poddać, teraz, kiedy zyskał długo oczekiwanego sprzymierzeńca.

- To zależy od tego, co mu zaproponują – odpowiedział poważnie książę – Chorągwie zachodniej Terali weszły już na ziemię tryntyjską w rejonie Sliabh Ard. Dołączymy do nich zaraz po wiecu.

Styryjka spojrzała uważnie na twarz wielmoży.

- Liczysz na buławę, prawda?

- Nie będę udawał, że nie – odpowiedział zdecydowanym głosem – Bez godności wojewody nie będę miał wpływu na wojska rodów ani na decyzje wieców. A muszę, jeśli poważamy się na tę wojnę.

- Musisz z jeszcze jednego powodu...

- Tak?

- Ród Awdanów jest pod kontrolą agentów Qa i Aenthil, nie wiem w jakim stopniu, ale z pewnością wystarczającym, by uczynić z kraju ich marionetkę. Dragan zginął, gdy tylko podjął decyzję o wojnie, ty również musisz się liczyć z tym, że zechcą pozbawić cię życia...

- Liczę się z tym od dawna, Ylva. Nie miej mnie za głupca. Dragana zabili jego własni krewni, bo mogli dojść do niego na tyle blisko. Otaczam się zaufanymi ludźmi...

- Nie ma takich – mruknęła smutno – Nie wolno ci ufać nikomu...

- Za kilka dni wiec da mi buławę, chorągwie ruszą na zachód na wojnę, wszystko się zmieni. Nie trać nadziei. Mamy szansę, większą niż kiedykolwiek w ostatnich latach.

- Tak – pokiwała głową w zamyśleniu – To jest szansa. Póki wszyscy są przekonani, że nie żyję, zrobię wszystko, żeby moi ludzie zabezpieczyli twoje otoczenie. Zdaje się, że jesteś właśnie, książę, wielką nadzieją Północy... Ty, twój brat, Halfdan Borgh Du.. nasze losy zawisły na woli i sile kilku ludzi...

- Możliwe – Wład uśmiechnął się, wstając – Zrobię co się da. będziemy wiedzieć więcej, gdy w końcu dotrą wieści z północy. Tymczasem...

- Tymczasem jeśli mogę mieć prośbę, muszę się spotkać z Samborem Wojślawicem, a nie mam czasu, by go szukać... Zresztą, wciąż jeszcze trudno mi przychodzi stanie w pionie....

- Wojsł... a po cóż ci u licha handlarz końmi...?

- Widzisz – uśmiechnęła się z nietajoną satysfakcją – Sambor od dwóch lat koordynuje siatkę ludzi w twoim otoczeniu. Nie od wczoraj cię ochraniają...

Jastrzębiec pomilczał przez chwilę, nie spuszczał z niej oczu.

- Zastanawiam się, na ile mnie ochraniać, a na ile próbujecie kontrolować – powiedział w końcu znacznie łagodniej niż wynikało to z uczuć odbijających się na twarzy – Może i lepsze to niż wergundzkie metody, ale...

- Nie próbujemy cię kontrolować – powiedziała poważnie – Nie potrzebna nam marionetka na teralskim tronie tylko władca silnej Terali. Wergundia nie istnieje, a my wciąż walczymy, wszystkimi metodami, jakimi tylko się da. Także mało widocznymi.

- Więc tamto ... – książę uśmiechnął się kąciakiem ust – Jak rozumiem, to była tylko realizacja strefy wpływów wokół mojej osoby, tak...?

- Nie musisz znać odpowiedzi na to pytanie – uśmiechnęła się uroczo, zapominając na chwilę, że nie wygląda odpowiednio do wywierania efektu na mężczyznach. Teral zwyczajem żywym głównie w jego kraju pochylał się i pocałował ją w rękę szarmanckim gestem.

- Gdybyś jednak chciała wrócić do ... tamtej hmm... misji... – rzucił, kierując się do wyjścia.

Ylva roześmiała się.

- Jeśli chcesz uzyskać buławę, lepiej teraz skup się na swojej żonie i wizerunku władcy.

- Oczywiście - – mrugnął do niej zawadiacko już od drzwi – Gdybyś jednak dziś miała dość sił, by zejść na uroczystą kolację, byłbym zaszczycony. Stosowny prezent dla ciebie na tę okazję służba już przyniosła, wisi tam na oparciu.

Nie odpowiedziała, podziękowała tylko ukłonem głowy, czekając, aż zamkną się za nią drzwi. Wieści z północy... Ech, Lylia, może to tobie w końcu udało się gdzieś tam w zaświatach dotrzeć do naszej bogini i dała nam szansę, by wszystko odzyskać...

Wstała, tym razem w spokojniejszy, kontrolowany sposób. To, jaką metodą wyciągnięto ją z więzienia, nie mogło pozostać bez wpływu na organizm. Trucizna, tak spowalniająca procesy życiowe, że można uznać człowieka za martwego. Ylva знаła kilka wersji tej substancji, wszystkie powodowały drastyczne skutki uboczne po wybudzeniu, ale dawały możliwość oszukania nawet zawodowych medyków. Jeśli w jej przypadku owe skutki uboczne trwały pięć tygodni, to nie ma co się dziwić osłabieniu. Jednak człowiek który ją stamtąd wyciągnął, musiał wiele ryzykować, żeby wszystko się udało. Gdyby skończyła z uciętą głową, zatkniętą na środku placu w Karantarii, nie pomogłyby żadne mistyfikacje.

Podeszła do okna. Rzeczywiście wychodziło na plac, niewielki dziedziniec, okolony ostrokołem i budynkami gospodarczymi z ciemnego drewna. Na otwartej przestrzeni ktoś prowadził kilka młodych wierzchowców, biegła grupka rozkrzyczanych dzieci, w podcieniach słychać było miarowe uderzanie kowalskiego młota. To musiał być jeden z małych gródków, należących do rodu Gryfów i starego Imisława. Zapewne gdzieś w okolicy grodu Bóbr. Zamyśliła się przez chwilę nad możliwościami, jakie dawał jej fakt, iż wróg sądził, że nie żyje. Przez chwilę rozważała opcję, by w takim razie uciekać na południe, do wciąż walczących swoich. Ale porzuciła tę myśl. Skoro przyszło jej walczyć o północ, to niech już będzie. Należy skończyć tę misję. Odbudować to, co zostało stracone – wpływy styryjskiego wywiadu we wschodniej Terali, agentów w rodzie Awdanów, trzeba wesprzeć Jastrzębców, doprowadzić do oddania im buławy i wprowadzić na tron. Zrobić wszystko, by Terala walczyła.

Zerknęła na wiszącą na oparciu ławy suknię. Roześmiała się sama do siebie, podnosząc ją do góry i stając przed lustrem. Suknia była jedwabna i ogniście czerwona, szyta na modłę ofirską, która zwykła odsłaniać więcej niż zasłaniać. Bez wątplenia książęcy dar, pomyślała, smutniejąc. Zerknęła na szeroką bliznę na ramieniu, na kolejne blizny, na twarz, na której wciąż widać było ślady przesłuchań. Nie wygłupiaj się, przemknęło jej przez myśl. Takie rzeczy są dla młodszych, piękniejszych, dla takich, które nie poświęciły wdzięku i kobiecości po to, by umieć walczyć i wytrzymać... Daj spokój...

Usiadła na łóżku i opadła na poduszki, uprzedzając kolejną falę wyczerpania. Po co znów ktoś ma mnie zbierać z ziemi, przemknęło jej przez myśl, nim zasnęła.

Rozświetlony pochodniami plac był pełen ludzi. Na palisadzie wartowali na przemian Styryjczycy i Wergundowie, a na samym dziedzińcu trwał jeden z nielicznych wieczorów, gdy można było odetchnąć od poczucia zagrożenia. Górnicy, handlarze minerałami, poszukiwacze skarbów, kupcy z Ligi, sam Krevain – nawet nie było wiadomo, co to za okazja, że wyniesiono na zewnątrz stoły.

Wino... Na Zapołudniu było dobre wino. Pamięć uruchomiła to wspomnienie, niemal pozwalając odczuć słodki ciężki aromat i smak trunku. Pamięć także przebijała przez obraz tej sceny niczym szpilki świadomości kolejne drobiazgi. Teraz tańczą... za chwilę będziemy znów walczyć ze sobą... Krevain... za chwilę wtargną tu zabójcy, którzy go zabiją. Sapia... Tubylcy...

Dlatego to wspomnienie, zastanowiła się półświadomie we śnie. Dlaczego, u licha?

Taniec, wirujący wokół oświetlony pochodniami plac. Ciemne oczy tamtego człowieka, styryjski rapier, odłożony na ławę. Uśmiech, chwila rozejmu, odpoczynku od wzajemnej wrogości.

Tańczysz?

Nie, nie umiem. Nie lubię. Nie wiem.

Tańczycy się w sukni, nie w szarej tunice wergundzkiego więźnia...

Chodźmy do halli, postrzelać.

Jasne, z chęcią zobaczę, jak przegrywasz turniej strzelecki.

Niedoczekanie.

To patrz...

Gdy się obudziła, musiał być już wieczór. Leżała dłuższą chwilę, wpatrując się w sufit.

- Co jest grane? – zapytała na głos z irytacją – Dlaczego mi się śnisz, psiakrew!

Podniosła się energicznie, na gieźło zarzuciła ów szlafroko- kaftan, będący niczym innym jak rozpinaną z przodu długą sukienką. Do wewnętrznej kieszeni schowała nóż. Cichutko uchyliła drzwi. Korytarz, rozświetlony małymi kagankami na ścianach, wiódł ku schodom i otwartej galeryjce, było to jednak na tyle daleko, że nie była pewna, czy dojdzie. Oparła się o ścianę i dopiero wtedy dostrzegła postać wartownika. W nikłym świetle z trudem go poznała.

- Pomóc w czymś, pani... ?

Westchnęła z lekkim zakłopotaniem i poczuciem winy.

- Mam na imię Ylva i nie jestem szlachcianką, nie musisz mnie tytułować.

- Przyzwyczajenie – mruknął cicho. Westchnęła jeszcze raz.

- Chcę przeprosić – zająknęła się – Nie tak powinnam przywitać kogoś, kto uratował mi życie, narażając własne... Ja...

Ofirczyk spojrzał na nią badawczo.

- Nie zrobiłem tego dla podziękowań, tylko dla kniazia, któremu służę...

- Tym niemniej – wysiliła się na bardziej zdecydowany głos – Jestem twoim wielkim dłużnikiem. Nie ma ceny, którą mogłabym ci się odwdziaczyć, o ile los nie da mi okazji do analogicznej przysługi. Pozostaje mi jedynie słowo „dziękuję” i... wdzięczność... Dziękuję.

- Nie ma za co – odparł prosto i bezpretensjonalnie – Jeśli rzeczywiście twoja osoba jest tak ważna dla Terali, to było warto. Dobrze się... – zdążył ją przytrzymać, zanim nagły zawrót głowy nie wytłumaczył jej, że spacer na korytarz w tym stanie nie był najlepszym z pomysłów. Pomilczeli chwilę, gdy wracała z powrotem na posłanie, skupiona na tym, by nie upaść na ziemię – Poza tym słyszałem o tobie, jako o największej przyjaciółce Wergundii spośród Styryjczyków.

- Wergundii? – zapytała niepewnie – Powinnam pytać, skąd obywatel Tulos na służbie teralskiego kniazia?

- To długa, ale raczej prosta historia – uśmiechnął się – Służba w oddziałach kondotierskich, XXII kohorta burego, w osiemdziesiątym piątym, podczas epidemii. A potem już zostałem, choć bury odesłano na front ze Styrią. Jednak do Wergundii zawsze pozostanie ... sentyment.

- Tak – uśmiechnęła się – Wergundia potrafi wzbudzić sentyment. Czy mogłabym mieć prośbę? Potrzebuję – zawiesiła głos, patrząc na jego zdziwioną minę – Książ na pewno ma tutaj księgozbiór, coś, bibliotekę? Może kapłanki mają? Potrzebuję pocztu książy wergundzkich. Ich imion, konkretnie...

To była cudnie rozgwieżdżona, wietrzna noc. Otwarta przestrzeń pozwoliła odetchnąć, gdy wyszli wreszcie na skraj łąk, poczuli się jakby wymknęli się z ciasnej, mrocznej pułapki. Powietrze pachniało mokrą trawą. Przed nimi wyraźnie rysował się poszarpany łańcuch górski, wznoszący się milczącą ścianą po drugiej stronie doliny.

Większość posiadała na trawie, mogąc wreszcie odetchnąć, odpocząć na chwilę, sprawdzić, czy to, że się wydostali, to na pewno rzeczywistość. Tylko nieliczni wciąż obstawiali czerniejący za nimi wylot górskiej ścieżki, nasłuchując odgłosu kroków, zupełnie jakby spodziewali się usłyszeć kroki podziemnych napastników. Zupełnie jakby byli w stanie ich usłyszeć.

Wergundowie przystanęli luźnym szykiem wokół Aslaug. Dekurion była blada, w każdym razie bardziej blada niż zwykle, skutki obezwładniającego zakłęcia i obrażenia po walce wciąż dawały znać o sobie. Płomienne włosy upięte w nieładzie w poszarpanego koka podkreślały tylko wrażenie zmęczenia i rezygnacji. Oszczędnym gestem dała ludziom sygnał do rozejścia i ciężko usiadła na trawie. Ktoś podał jej manierkę z wodą. Chciał podejść, ale byli przy niej już Tryntyjczycy, nie musiał się martwić. Zresztą, była weteranką wojen ze Styrią, cóż mogło ją zarysować...

Nie miał pojęcia, dlaczego widział tę scenę. Świadomość dawała sygnał – to sen, gorączkowy majak, nic poza tym. Miał wrażenie, że jego własne życie z jakiegoś powodu przewija się przed jego oczami, obserwował je więc z ciekawością ale i dystansem, jakby słuchał opowieści o kimś zupełnie innym.

A może rzeczywiście było to o kimś zupełnie innym...

Niewielu w tym momencie ulgi i odpoczynku przejmowało się dalszą drogą. Ona się przejmowała. Ta Styryjka. Stała samotnie na skraju zarośli, wyraźnie analizując w myślach ukształtowanie terenu, dało się to rozpoznać po wzroku błędzącym po ciemnej linii horyzontu. Niedaleko siedział Khaan, khor'zighira jednak zdawał się być bardziej zaprzyjaźniony z tryntyjskimi towarzyszami wędrówki niż ze swoją rodaczką i nie przejmował się zanadto jej dylematami.

- Wiesz jak isć...? – zagadnął. Spodziewał się jak zwykle milczenia, w najlepszym razie zdawkowego równie chłodnego komentarza. Ona nie zapomniała, chociaż tymczasowo zawiesiła walkę z Wergundią na rzecz pragmatycznego chwilowego przymierza, to przecież był świadom, że w zemście za niewolę zabije każdego z nich bez mrugnienia okiem, gdy tylko będzie mogła. A zwłaszcza jego.

- Oczywiście – mruknęła ze źle ukrywaną niepewnością – Wrócimy własnym tropem przez łąkę, to nic trudnego tylko trzymać się szlaku.

Wszyscy oczekują, że znajdzie drogę, tak, to właśnie myśli. I to, że musi tę drogę znaleźć, bo misja czeka, a ona ma zadanie do wykonania...

Skąd nagle tak jasno widzę, co ona myśli...?

- Tak – dodała pewniej – Przez łąkę, do tego zagajnika na dnie doliny, potem dalej przez strumień do linii lasu, a tam kierować się na przełęcz między ... Między tym i tym szczytem...? – zawahała się, pokazując poszarpaną linię łańcucha górskiego – Czy to były te dwa... Psiakrew.

- Tamte – wskazał pewnie. W sumie był pewien – Wychodząc z lasu zagajnik mieliśmy lekko po lewej, a przełęcz była na wprost za nami. To muszą być tamte.

Zupełnie niespodziewanie spojrzała na niego ze szczerą wdzięcznością. Nie wrogo. Coś musiało się zmienić. Widział to w tym spojrzeniu. Zmieniło się od wcześniejszej nocy, od tamtej cholernej, przeklętej jaskini...

Skąd to niby wiem...?

- Dzięki – uśmiechnęła się – Ruszajmy.

Szli rzędem jak korowód nocnych widm. Krajobraz, zachwycił urodą rozgwieżdżonego nieba, na horyzoncie migotały światelka tubylczych osiedli, pod ich stopami migotały świetliki. Błękitnawe, jak minerałowe latarenki. Których nie mieli.

O tym, jak bardzo byłyby potrzebne, przekonali się przy krawędzi lasu.

Ylva prowadziła pewnie pod górę, tnąc na przełaj świerkowy zagajnik. Tu już nie było widać gwiazd, gęste gałęzie szczelnie pochłaniały każde światło, jakie mogło się dostać tutaj z nocnego nieboskłonu. Styryjka sprawnie poruszała się po lesie, mijała kolejne pnie i wykroty. Tempo, jakie nadała, było zbyt szybkie dla większości, więc zatrzymywała się raz po raz, by dołączyć, korzystając dyskretnie z okazji, by przyjrzeć się ukształtowaniu terenu, skorygować trasę. A potem znów przyspieszyć kroku ku szczytowi wzgórza... Za bardzo na zachód, pomyślał. Powinniśmy byli iść bardziej pod kątem stoku... Minęli kolejne zwałowisko wysuszonych świerków, niewielki wiatrołom najeżony sterczącymi w górę korzeniami. Ylva zniknęła za którymś z rzędu pniem, usłyszał w zupełniej ciemności szurnięcie jej butów na luźnym piargu. Spojrzał w górę.

Skąd wiedziałem wtedy, że tam jest urwisko...? Nie mam pojęcia.

Ale wiedział. Prawie wywracając się na gałęziach skoczył do przodu. Złapał ją za ramię w ostatniej chwili, szarpnął do tyłu. Zanim odzyskała równowagę, mały włos, a oboje poleciliby z powrotem po stoku. Spod ich nóg osypane luźne kamienie z łoskotem odbijając się od ścian zbudziły echo, odbijające się teraz od ścian wąwozu. Przed nimi była przepaść.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i chyba pierwszy raz zobaczył, że się boi.

Zanim zdążyła powiedzieć „dziękuję”, kolejne osoby podeszły za nimi i Styryjka zagroziła im drogę rozłożonymi szeroko rękami.

- Stać! – rzuciła tonem rozkazu, pewnym głosem, zupełnie jakby chwilę wcześniej nie drżały jej dłonie i jakby ... jakby wiedziała dokąd iść – Cofnąć się wszyscy! Do tyłu! Wszyscy kilka kroków do tyłu! Już!

Nie wykonał tego polecenia, stał obok, wiedząc, że jest potrzebny. Taka frontowa intuicja, czy jak właściwie to nazwać. Była jego wrogiem, to prawda. Ale nie miał powodu, ani potrzeby jej nienawidzić czy choćby nie lubić.... Czy też nie rozumieć.

- Pomyliłam drogę, zeszliliśmy za daleko na zachód... – szepnęła zgodnie z przewidywaniem, po czym, zupełnie nieprzewidywalnie, poprosiła o pomoc. Nie zapytała. Tylko popatrzyła.

- Musimy to ominąć – zasugerował dość oczywistą rzecz, dając jej punkt zaczepienia i honorowe wyjście z sytuacji. Nie musiała prosić.

- Wiem – spojrzała z wdzięcznością - ale nie wiem, w którym miejscu jesteśmy, na mapie ten wąwóz się rozwidłał, rozłaził... jak wybierzemy zły kierunek, będziemy snuc się po jego krawędzi do świtu....

- Którąś musimy wybrać, tak czy owak. Każ zapalić świece, bez tego pospadają. I zerknij na mapę... Nikt nie zna tego terenu na pamięć, tak....?

Chodzenie wciąż sprawiało jej trudność. Rany zagoiły się, ale mięśnie wymagały treningu po wielotygodniowym braku ruchu. Łagodnego treningu, a ona nie miała cierpliwości. Zresztą, mniejsza o cierpliwość, nie miała też czasu. Z każdym mijającym dniem października wieści z północy stawały się coraz bardziej palące. A wciąż nie przychodziły. Tymczasem chorągwie Jastrzębców na czele hufców całej Zachodniej Terali maszerowały na zachód, ku ziemiom Tryntu. O tym, że Qa zawracają część armii, było głośno i zresztą było to dość oczywiste. Ku granicy teralsko-tryntyjskiej zmierzał z całą pewnością ponad 30-tysięczny korpus Seitiriego... Taka nomenklaturą posługiwano się na

północy, nazewnictwo wojskowe, jakim posługiwało się Qa, wciąż było tajemnicą. Seitiri, którego nazywano po cichu „namiestnikiem Północy”, a głośno „generałem”, otwarcie zapowiadał stłumienie teralskiej rebelii i utopienie jej we krwi. Jego odgrazanie, co zrobi jej przywódca, obiegiło powtarzane z ust to ust, wszystkie większe teralskie miasteczka.

A mimo to Wład Imisławowicz z rodu Gryfów Jastrzębiec uzyskał buławę zachodniej Terali. Od kilku dni towarzyszył już swoim wojom na froncie, szykując się do pierwszej bitwy, która miała zdecydować o wszystkim. O buławie wojewody całej Terali. O odsunięciu w cień wpływów Awdanów, a wraz z nimi zapołudniowej agentury. O losie wciąż broniącej się przełęczy Visnohora.

Tymczasem Ylva w uroczym gródku o dźwięcznej nazwie Gryficz wściekała się na chwilową beczynność, zbierając siły, informacje i kontakty. Korzystając z faktu chwilowego spokoju, który dawała jej pozorna śmierć, pracowała nad odbudowaniem straconych pozycji, odzyskaniem przegranych obszarów i wpływów na ludzi, szykując się do kolejnego etapu potyczki o Terałę. Potyczki o północ.

Sambor miał się pojawić późnym popołudniem, wołała jednak nie kazać mu czekać. Nieco obolała powlokła się przez obszerną, pachnącą żywicą i miodowym ciastem sień kniaziowskiego dworku. Wbrew zaleceniom i zdrowemu rozsądkowi oczywiście zażądała konia. Bo przecież nie mogła pozostać przy samym spacerowaniu, fuknęła na siebie w myślach, rozmasowując obolałe biodro. Trzeba było od razu pakować na konia, psiakrew. A jak już się wpakowało, to oczywiście nie można było łaźać stępa, tylko zachciało się kłusu. Cholera jasna. Z wysiłkiem przytrzymując się balustrady, powlokła się na górę po stromych schodach. Otworzywszy barkiem drzwi swojej alkowy, od razu skierowała się na łóżko, z westchnieniem ulgi rozkładając się na puchowej pościeli. Organizm domagał się snu.

- No nie – powiedziała głośno sama do siebie, podnosząc się po chwili – Ogarnij się i do roboty... – urwała, patrząc na sekretarzyk w kącie pokoju. Gdy wychodziła, nic na nim nie leżało. Teraz leżała tam książka. I kwiatek. Wielka różowa piwonia.

Ofuknęła się w myśli za nieostrożność, rychło w czas rozglądając się po pokoju za ewentualnym intruzem. Tracisz czujność, dziewczyno, pomyślała. Jeśli twoje sentymenty do mężczyzn cię nie zabiją, to to na pewno.

Piwonia cudnie pachniała. Piwonie kwitną w czerwcu i lipcu, pomyślała. To pewnie jakaś lokalna odmiana. Westchnęła. Ciekawe, książ nakazał przynosić jej kwiaty? Cóż, mężczyźni lubią pamiętać, w końcu to, że kiedyś połączył ich przelotny romans, mogło dla niego znaczyć więcej niż dla niej. Nic z tego, Teralu, uśmiechnęła w myślach, to se ne vrati. Zerknęła na tytuł.

„Poczet książąt z rodu Danwiga”...

Uśmiechnęła się sama do siebie i wstawivszy piwonię do manierki z wodą, zaczęła czytać.

Wybrali zły kierunek. Przy wątłym świetle świecy widać było tylko niewielki kawałek urwiska, więc sprawdzali drogę we dwójkę, po czym jedno wracało po pozostałych, drugie pilnowało drogi. Wtedy chyba pierwszy raz przeszło mu przez myśl, że oni i Styryjczycy walczą ze sobą niepotrzebnie. Przecież wspólnie są silniejsi, a kto wie, z czym przyjdzie im się zmierzyć...

Świadomość dnia dzisiejszego przebijała przez senny obłok obrazów, każąc mu wciąż pamiętać, że to jednak tylko wspomnienie, przywołane przez gorączkę. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, pomyślał więc całkiem świadomie, gdyby przeszło nam przez myśl, co robimy, otwierając miejsce Tabu.... Ale nie przeszło.

Ylva odzyskała pewność siebie po pierwszych kilku meandrach, które minęli. Teraz prowadziła pewnie, nabierając wprawy w rozpoznawaniu bezpiecznych przesmyków i zejść, przyjąwszy jednak raz, że działają w zespole, zwracała się do niego z konsultacją przy każdym

kolejnym zakręcie. On zresztą robił to samo. Pozostali, zmęczeni drogą, ograniczali się do automatycznego marszu we wskazanym przez nich kierunku.

Wyprowadzili ich przez te wawozy, na główną drogę.... Pamiętał, jak krzyknęła z radością na widok oznaczeń szlaku i prawie go uścisnęła.

Dziękuję ci, powiedziała z autentyczną, poważną wdzięcznością. Kolejny raz mam za co być ci wdzięczna, pomyślała.

Skąd wiem, co pomyślała, zastanowił się. I za co miałaby być wdzięczna.

- W tamtej jaskini uratowałeś nas wszystkich – powiedziała – Wergund poświęcił za mnie życie.

Powiedziała? Żaden głos przecież nie rozbrzmiał...

Świadomość krzyknęła ostrzegawczo, usłyszała, ale nie zrozumiała. Co się dzieje?

Nie stali już na drodze. Stali z powrotem na krawędzi wawozu. Nie widział krawędzi, ale wiedział, że tam jest, przed nim, za jej plecami.

- Byłam ci winna wdzięczność – powiedziała, a jej oczy zamiast ciemnym odcieniem brązu załśniły płynnym złotem – Miałam spłacić swój dług, a zostawiłam cię tu na śmierć...

To już nie było wspomnienie.

Lubiła wergundzkie legendy. Były takie mroczne, fatalistyczne, ale pełne nadziei i mocy. Książęta i wojownicy wyruszyli przeciw wrogowi, wiedząc, że przegrają, ale robili to, bo tak było trzeba. W walce tracili najczęściej wszystko, od majątku aż do ukochanych bliskich, ale nie ustępowali, bo tak było trzeba. W mroku opowieści lśniła jak gwiazda idea „walcz do końca, a wszystko inne bogowie ułożą za ciebie”. Więc wergundzcy książęta zwykle stając do ostatniej walki wygrywali w ostatnim ciosie, wtedy gdy już pozornie nie było nadziei. Lub padali zabici pod przeważającą potęgą przeciwnika, ale z ich poświęcenia rodziło się większe dobro, które warte było ich śmierci.

Tak łatwo było zrozumieć wergundzką duszę poprzez te baśnie. Nieustające marzenie o tym, że świat może być dobrze urządzony. Że odwaga, męstwo i lojalność muszą doczekać nagrody, choćby po śmierci. Że warto, po prostu warto pozostać wiernym wartościom... Przez tyle wieków potęgi swojego kraju nie stracili wiary w to, pomyślała, a teraz przyszły mroczne lata klęski i niewoli, czy wytrwacie w tej wierze, przyjaciele....? Ona była Styryjką. Mogła podziwiać czystość ich wartości. Nie umiała ich podzielać.

Zbyt wiele razy wartości pozostały w tyle, za plecami, wraz ludźmi, których poświęciła, zostawiła, wykorzystwała dla celu, jedyne wartego wszystkich wartości świata. Z kolorowych iluminacji księgi uparcie patrzyły na nią poważne oczy Lylian. Przykro mi, pomyślała, nie umarłam jeszcze, muszę działać dalej...

Przerzuciła kolejne kartki.

Danwig, pierwszy, legendarny władca. Ten, który zjednoczył ludy rzeki, uświadamiając im, że są jednością, a jedność jest niepokonana. Danwig, otoczony nimbem legend niepokonany wojownik, wódz, strateg, zwycięzca.... Ot, wszystkie cnoty Wergundii zebrane w jednym człowieku.

Jego syn, Clodwig, ten, który poświęcił Wergundię Modwitowi, panu słusznej wojny, wodzowi boskich zastępów... Przed oczami Ylvy przesuwają się zbrojne hufce odzianych w żelazo wojowników, łopotały czarno-zielone chorągwie. Pięła się ku niebu wielka świątynia na wzgórzu w Akwirgranie... Wergundia zdobyła patrona i opiekuna, za to wdzięczna będzie swemu wielkiemu władcy. Clodwig... wedle transkrypcji ofirskiej starodawnej imię to zapisywało się „Clodovechus”, a w języku starodawnej Wergundii „Clovis”...

Za oknem huknęło jakby grom uderzył w budynek.

Boleśnie ogłuszający huk powinien go obudzić, wyrwać z coraz bardziej przerażającego koszmaru, ale sen trwał, przypominając bardziej mroczną halucynację.

Błysk.

Krzyk i huk osypujących się w dół kamieni. Czarna otchłań otwarła się tuż pod jego stopami. Obok nie było już drzew i rozgwieżdżonej nocy sprzed dwudziestu lat. Pachniało ozonem, jak po burzy piorunami. Jej krzyk.

Jego imię.

Clovis.

Zeskoczył. Może i była wrogiem, w sumie nikim istotnym. Nie była przecież żadną ze znanych mu pięknych Wergundek, wspomnień z szalonej młodości, nie była płomiennowłosa bladą Aslaug, boginią wojny...

Ale przez dwadzieścia lat nie słyszał nikogo, kto mógłby wypowiedzieć jego imię.

Ciemność otworzyła się miękko jakby była zasłoną z aksamitu, łupkowy piarg pod nogami powinien szeleścić i zgrzytać, ale płynął miękko i bezszelestnie, delikatnie, obrzydliwie miękko.

Ona krzyczała gdzieś w ciemności. Nigdy nie słyszał, żeby dała wrogowi satysfakcję krzykiem. A teraz płakała i krzyczała na przemian jak człowiek, który nie może znieść zadawanego mu bólu. W tle szmer, jak podziemnego wodospadu uderzającego o skały. Co to jest, znowu jakaś jaskinia? Oddech powoduje parę z ust... Nie, to nie para. To mgła zasnuwająca całą podłogę, brodzi w niej jak w wodzie, chrupiąc starymi wojskowymi butami po odłamkach skał. Szmer jest coraz bliżej, brzmi jak wiele strumieni, wiele wodnych strug rozbijających się o kamienie. Wiele. Coraz więcej. Szepczą coraz wyraźniej...

To nie strumienie.

To głosy. Ludzkie głosy.

- Ylva....! – spróbował krzyknąć, ale mgła skutecznie wchłonęła dźwięk, jakby to wykrzyczał w poduszkę. Jej wrzask słyszał jakby była tuż obok. I głosy, dziesiątki głosów.

Nie obchodzi mnie buława. Obchodzi mnie twoja osoba.

Bo potrzebuję odpowiedzi, zanim umrzesz.

Zapamiętam cię, Wergundzie.

Dajcie nam broń!

To silny facet, poradzi sobie...

Jak chcesz mnie teraz uciszyć, co?

Do szeregu! Stawać do szeregu!

Próbowała zrobić przewrót i oddać buławę Jastrzębcom, z którymi ma układ.

Szpieg nie ma godności

Morderczyni mojego wuja, styryjska żmija i prowokatorka.

Umrze od trucizny.

Zostań z nami. Zostań z nami aż do końca...!

Ostatnie słowa z szeptu przeszły w rozpaczliwy wizg, tak gwałtowny, że musiał zakryć uszy dłońmi. Rozbłysło mu w oczach.

Gdy znów je otworzył, absolutną ciemność rozświetlało coś, delikatne rozproszone światło, pozwalające widzieć jedynie kontury.

Strach.

Światło było błękitnawe, wiązki przebijały się przez gęste kłęby mgły, zakrywające ziemię. Ściany mokre od skraplającej się wilgoci, pokrywały bezładne rysunki o niezrozumiałej treści. Sklepienie ginęło w mroku.

To była tamta jaskinia, podziemna świątynia, przeklęte miejsce...

Wiedział, co za chwilę usłyszy. Wiedział to doskonale. Ledwie panując nad drżeniem dłoni, zrobił kolejny krok.

Ona leżała na ziemi. Twarz miała posiniaczoną od uderzeń, a na nadgarstkach wyraźne ślady po więzach. Na popękanych ustach widać było ślady piany, charakterystycznej dla śmierci od trucizny. Długie ciemne włosy zmieszały się z błotnistym podłożem. Nie miała na sobie zwykłej lnianej tuniki, w jakiej ją pamiętał, tylko szkarłatną, jedwabną suknię o ofirskim kroju, kompletnie nie pasującą do jej stanu, ale bardzo piękną.

Odruchowo ruszył ku niej i zatrzymał się. Jak wtedy, na niewidzialnej barierze, która ugięła się lekko, ale nie puściła. Serce łomotało mu jak wściekłe, dłonie pociły się na rękojeści rapiera. Jakieś odległe echo rozbrzmiewało tym upiornym charkotem, którego nie chciał pamiętać, który wyrzucił z pamięci na dwadzieścia lat. Zbliżało się, kroczyło ku niemu.

Zza leżącej na ziemi martwej Styryjki uniósł się kształt, ciemniejszy niż mroczna powierzchnia jaskini.

Nie zauważył, jak broń wysmyknęła się ze zdrętwiałej z przerażenia dłoni, dopiero brzdęk stali uderzającej o kamienie oprzytomnił go nieco. Gdy się podniósł trzymając już klingę wyciągniętą przed sobą, on stał nad nim. Skóra płatami złaziła z martwej twarzy, w której płonęły nieprzytomne od szaleństwa oczy. Unosił się nad nim jak cień wielkiej chmury, potężny, wszechogarniający.

Nie było już żadnego wyjścia, żadnej ucieczki.

Znał to uczucie.

I niespodziewanie dzięki temu właśnie poczuł, jak spływa na niego absolutny spokój. Strach zniknął, przeszedł przez niego, wypalając drogę, zostawiając pustkę myśli i uczuć. I niepojęty żal.

- Czego chcesz?

Nie wiedział, czy zadał to pytanie na głos, czy błysnęło tylko w jego myślach. Cień zmalął, zgęstniał, I odpowiedział.

Huk ogłuszył ją, wyładowanie, tak jasne, jakby piorun uderzył tuż obok, oślepiło, podłoga zakołysała się i uniosła do pionu. Chciała krzyknąć, ale coś dusiło ją, zaciskało gardło, nie pozwalało oddychać. Coś uniosło się nad nią jak cień, potężne, zasłaniające cały horyzont... Dźwięk rozległ się w jej umyśle, budząc najgłębsze pokłady strachu, zimnego obrzydliwego przerażenia, takiego, które każe uciekać na osłep z wrzaskiem nie zważając na nic. Chciała uciekać.

Nie mogła.

Gęsta mgła, pokrywająca błotnistą glebę, wiązała jej nogi, jakby była z cukru. W nozdrza uderzył smród padliny, stęchlizny i pleśni.

I wizg.

Ten, którego się nie zapomina, opętańczy, trupi jazgot istoty z podziemnej świątyni.

Zatkała sobie uszy, ale wciąż go słyszała. Próbowwała uciekać, ale nie mogła.

Wrzasnęła.

Mgła wchłonęła krzyk, jak próżnia, jakby dźwięk nigdy się nie wydobył.

- Ylva.....!

Zatrzymała się. To nie była ta istota, której obecność czuła za plecami w postaci ścigających ją macek przerażenia. To był dawno nie słyszany głos ... człowieka. Wergunda. Przyjaciela.

- Clovis...?

Opętańczy rechot dotarł do niej nagle ze wszystkich stron, nie było ucieczki od obrzydliwego nienaturalnego dźwięku. Stał za nią.

Nie było ucieczki. Nie było wyboru.

Zawitajże bogini w blasku słońca.

Zostań z nami, zostań z nami aż do końca....

Wciągnęła powietrze i odwróciła się.

Stał tam tak jak wtedy, dwadzieścia lat temu, poszarpany kształt, zwieńczony bielejącą trupio w ciemności twarzą, z której odłaziły płaty zgniłej skóry. Szczyrzył zęby.

Wergund klęczał u jego stóp, odwrócony ku niej twarzą, ale nie widziała jego oczu. Widziała ostrze na szyi, zagłębiające się w skórę, gęstą krew płynącą falą na kolczugę i cotte.

- Czego chcesz....?

- Zapłaty.

Clovis poluzował uchwyt dłoni na rękojeści, rozluźnił palce, gotów do szybkiej finty, zupełnie jakby mogła mu się na coś przydać. Utkwił oczy w bladej obrzydliwej twarzy.

- Nie jestem ci nic winien. Zapłaciłem, czego chciałeś.

Cień zakołysał się, unosząc rękę, wraz z tym ruchem ciało Styryjki uniosło się ku górze, po czym opada ciśniecie na ziemię. Jęk bólu był wyraźny, zapewne miał być wyraźny. Więc żyła. O ile mogło to coś znaczyć.

Dalsze słowa popłynęły w jego umyśle jak myśl, jak nieubrany w słowa przebłysk.

Miałeś umrzeć z żalu i szaleństwa już dawno. Myślałeś, że będziemy tyle czekać? Oni wszyscy już nie żyją, wszyscy wynieśli stąd śmierć, tylko ty jeszcze uparcie nie. chcesz. umrzeć!

- Oszukałeś nas? Oni mieli przeżyć, ja miałem umrzeć. Tylko ja.

Oszukałem. Oszukałem. Oszukałem. Oszukałem....

Obłąkańczy chichot. Echo. Szum wody. We mgłę nagle zamajaczyły kolejne postaci.

Vartan unosi ku górze tarczę, próbuje blokować cios, ale tarcza pęka na dwoje, olbrzymi topór w rozbryzgu krwi i kości gruchocze czaszkę.

Hamish wymachuje nad głową wielkim claymore'm, u jego stóp piętrzą się kolejni pokonani wrogowie. Pierzasta strzała z głuchym mlasknięciem zagłębia się w jego brzuch, powodując, że zgina się w pół. Kolejna uderza w bark. I następna. I następna.

Płomiennowłosa blada Aslaug woła coś, pokazuje na wzgórze, nad którym powiewa złoty sztandar z gryfem. Na jej twarzy, obryzganej krwią, widać skrajne zmęczenie. Odwraca się na chwilę. Niepotrzebnie. Obsydianowy miecz zadaje okropne rany, jak wielka piła do drewna rozszarpując tkanki.

Khaan naciąga łuk, brzęczy spuszczone cięciwa. Raz. Drugi. Kolejny. Ktoś szarpie go za ramię, obok szereg w czarnych płaszczach i rudych kapeluszach unosi do ramienia muszkiety, równo na komendę. Khor'zighira cofa się, sięga po kolejną strzałę. Kołczan jest pusty. Rozbłysk kuli ognia przykrywa wszystko, sprawiając, że wszędzie czuć smród palonego ciała.

- Nie wszyscy. Ona żyje. Ylva.

Żyje? Żyje? Żyje? Umarła!

Styryjka klęczy na ziemi, związane ręce ma wykręcone do tyłu. Skóra na rozciętych ramieniu jest poczerniała od trucizny, Ylva próbuje łapać powietrze, rozszerzone w prerażeniu oczy szukają ratunku i gasną.

Umarła.

- Zapłaty.

Przełkneła ślinę, usiłując uruchomić zaciśnięte w prerażeniu gardło.

- Zapłacono ci. Zapłacono ci jego życiem.

- A jednak nie umarł – upiorne widmo mówi do niej dźwięcznym głosem Dragmiry Sulisławówny – Miał dawno temu umrzeć od szaleństwa i rozpacz, a on wciąż żyje. Ty zapłacisz.

- Odebrałeś zapłatę!

Odebrałem... Umierali jeden po drugim, jeden po drugim. Wynieśli śmierć spod ziemi, choć sądzili, że wykpią się, wykupią....

- Oszukałeś nas??

Co jest rzeczywiste? Ty wiesz? Kogo widziałas na dnie jaskini? Na pewno? Nie znasz drogi w ciemności, krawędź urwiska blisko. Wszyscy umarli....

- Zapłacisz za to...!

Ty zapłacisz! Uciekasz już za długo! Choć raz spłać dług, choć raz wypełnij obietnicę. Choć raz.

Coś brzdęknęło pod nogami i po kamieniach poturlała się zapina, mosiężna fibula, jej dawny artefakt ochronny.

- Gdybyś zamierzała wrócić, to będzie tutaj czekała – powiedziało widmo głosem Wergunda – Prawdopodobnie cała wieczność.

Nigdy nie wiesz. Kto wie. Może uda mi się wrócić.

Wrócić.

Wrócić.

- Spłać dług! Płać! Tam płąć! – wrzasnęło widmo tamtym, prześladowującym ją w snach wizgiem. Za nim z mgły uniosły się sztandary, rozpoznała znaki Karany i Jastrzębców, Bobrów i Ogończyków... W nozdrza uderzył zapach spoconej końskiej sierści. Z niewyraźnej płataniny postaci unosi się jeden, ma szablę wzniesioną ku górze i szyszak z białym końskim ogonem. Nad nim wyraźnie majaczą dwa szczyty wzgórz.

Wszystko niknie, zapada się w mgłę aż pod jej stopy. Stopy, stojące po kolana we krwi i szczątkach.

- Jeśli zapłacę – nie poznała własnego głosu – To oddasz to, co zabrałeś oszustwem? Uwolnisz go? Nie! – wrzasnęła, widząc nóż, zagębiający się w krtań, rzuciła się do przodu. Coś znów rozbłysnęło błękitem.

Coś rozbłysnęło błękitem, z ciemności dobiegło rzenie koni i zapach mokrej sierści.

- Nie! – tym razem krzyk Ylvy usłyszał zupełnie wyraźnie. Dostrzegł jej postać w mroku. Była inna, starsza, miała na sobie luźno zapięty teralski kaftan orzechowej barwy i rozpuszczone luźno włosy.

Ona też umrze. Wszyscy, co weszli, nie wyjdą, nie da się wyjść z kręgu, nie da się uciec. Jedna śmierć to za mało. Ona też umrze.

Płać.

Poddaj się.

Wróć do jaskini....

- Clovis! – Ylva zobaczyła go po drugiej stronie błękitnej poświaty. Wyglądał tak samo, jak go zapamiętała w dniu, gdy odchodziła do Vekowaru. Stał w postawie szermierczej z wyciągniętym przed siebie rapierem, zupełnie jakby ostrze mogło go przed czymś ochronić.

Widziała, że usłyszał. Na chwilę złapali się nawzajem spojrzeniem.

On i tak umrze.

Plać.

Umrzyj tam, gdzie ci przeznaczone.

To było tylko mgnienie oka. Poświata rozlała się, rozświetlając mgły, zmuszając oboje do zamknięcia oczu.

Noc pachnie mokrą ściółką, wiatr szarpie gęstą buczyną.

Stoją znów nad urwiskiem, nad krawędzią wąwozu.

- Dziękuję ci – mówi Ylva na głos, uśmiechając się z promienną radością – Obudź się. Obudź.

Teralskie sztandary łopoczą na wietrze. Nerwowy wierzchowiec szarpie uzdą, rży z niecierpliwością.

Cienie dwóch wzgórz rozciągają się na dolinę, dopiero wzeszło słońce.

- Obudź się – trąca ją towarzysz, jadący obok – Obudź się... Ylva!

Dragmira Awdanka była jedną z najpiękniejszych ludzkich kobiet, jakie Onfis miał okazję oglądać. Patrząc, jak teraz zdejmuje zmoczony deszczem płaszcz, starannie i krytycznie otrzepując go z błota, utwierdził się tylko w tym przekonaniu. To pomocne, taka uroda, pomyślał, jednak same wdzięki to za mało.

Cała sytuacja boleśnie potwierdzała tę prawdę.

- Potwierdzone?

- Niestety tak – Teralka opuściła głowę, siadając na niskiej ławie – Żyje.

- Pieprzony szlag.... – warknął elf typowo ludzkim przekleństwem - Jakim cudem nie rozpoznałaś tego człowieka na czas? Jakim cudem dałaś się tak podejść?!

Kniahini oblała się lekkim rumieńcem, który nie uszedł uwagi lomina, ale odpowiedziała pewnie.

- Wysłałam już ludzi za tym Ofirczykiem. W grodzie Jastrzębca go nie dostaną, ale kiedy tylko wychyli stamtąd nos, sprawa zostanie zakończona.

- A ona?

- Jest w jednym z ich zachodnich gródków. Po tym, jak poszedł mu na rękę wiec zachodni, w tej chwili jest tam nie do ruszenia. Wiem, że spróbowała tu węszyć, z pewnością będzie próbowała odszukać Nemarię i byłoby dobrze zdążyć....

- Nie rozpędzaj się tak – Onfis był naprawdę zirytowany – Nemaria jest w Dakoni, nie ma szans chwilowo jej tam drapnąć. Jednak... skoro już tak wirtuozersko spaprałaś robotę, może uda się z tego jednak uzyskać korzyści.

- Chodzi ci o tę więź, którą kazałeś wy badać?

- Taaa, poniekąd.

- Czy zatem mogę chociaż teraz dowiedzieć się o co chodzi? – Dragmira wyprostowała się i potrząsnęła głową, złote kabłączki na skroniach delikatnie zabrzęczały. Tak, stanowczo była bardzo piękna. I bardzo dostojna, pomyślał elf – Lomin'Onfis, jeśli do tej pory nie udowodniłam ci mojego oddania, to dalsza nasza współpraca nie będzie miała sensu, a pragne ci przypomnieć, że nie dla mojej pozycji w rodzie współpracujemy, a dlatego, iż jestem jedną z pierwszych wybranych na północy przez Opiekunów i to oni za mną stoją....

Onfis przez chwilę wahał się, czy nie zareagować jednak teatralnym gniewem na tę zawołowaną groźbę, ale jednak odpuścił. Ten kontakt był mu potrzebny. I ... był miły.

- Qa zwrócili się z tym do nas chyba ze dwa miesiące temu. Mieli tylko tę zapinkę, którą zdobyli gdzieś w jakichś górach, w cholere daleko, na wysokości Vekowaru. Ktoś im tam morduje ludzi. To jakaś poważna sprawa podobno. Naprawdę poważna. Ktoś wyciął im w pień dowódców oddziałów, idących na Styrię, wyszła z tego mocna awantura, kiedy się okazało, że to jednak nie jest wyjątkowo zażarta aguara, tylko precyzyjny, świetnie wyszkolony człowiek. A mieli tylko to.

Przerwał na chwilę, którą zajęło mu sięgnięcie do sakwy podróżnej.

- Patrz na to, opis tego, co zrobił jednej z ich kapłanek – oczekiwał, że kniahini chociaż się wzdrygnie, ale ona doczytała do końca bez mrugnięcia okiem – Rozumiesz więc. Zwrócił się z tym do mnie sam Korheni, który zajął się sprawą osobiście. Zbadanie przedmiotu to była chwila, styryjska magia, dość wysokiej klasy, ale już nieaktywna. Powiązana ściśle z osobą, dla której ją stworzono. Świetnie nam znaną Ylvą Darren. Trochę zajęło założenie pułapki... no i trzeba przyznać okoliczności trochę pomogły. Śmierć Powój, potem przejście jej córki na naszą stronę... I to, że sama Ylva nie próbowała się uwolnić przed dotarciem do Bilebrezy, doprawdy musiała wierzyć w swoje wtyki. No ale. Dalej sytuację znasz lepiej niż ja, więc to ja od ciebie oczekuję raportu.

- Ech... Tak – Dragmira wystudiowanym ruchem ułożyła złocisty kosmyk włosów tak, aby romantycznie spływał po ramieniu – Zakłęcie istniało, rzecz jasna, i znalezienie w jej pamięci wspomnień człowieka, któremu dała artefakt, to też nie był problem. Tylko widzisz. Tam jest coś jeszcze, lomin'Onfis – zawiesiła głos w zamyśleniu, delektując się jego zniecierpliwionym wzrokiem – Coś, co uruchomiło się, kiedy ruszyłam to wspomnienie. Coś, czego nie rozumiem, coś przerażającego nieco, nieludzkiego, to nie jest nawet magia Qa, moc opiekunów. To chaotyczny, pierwotny twór, którego nie rozumiem.

- Chaotyczny, pierwotny – potwierdził – Twór, potrafiący zahamować śmierć. Służący rzekomo Opiekunom, ale wymykający się ich władzy...

- Masz więcej informacji o tym?

- Być może....

- Oczywiście – Teralka teatralnie zniecierpliwionym gestem podniosła ze stołu swoją torebkę – Być może zatem ja ci wyłuszczę, jak wygląda psioniczne powiązanie w jej umyśle, a póki co nie mam czasu na te...

- Siadaj – warknął takim tonem, że blond piękność niemal automatycznie klapnęła z powrotem na ławę – Nie nadwyrażaj mojej cierpliwości. Proszę – dodał uprzedzająco łagodnym tonem.

- Tak – zająknęła się lekko – To dość mocna więź psioniczna, oparta na tłumionych wyrzutach sumienia. Obstawiam, że powoli, dzięki ruszeniu tego wspomnienia, ma wszelkie szanse ewoluować w kierunku uwarunkowania obsesyjnego.

- Możesz po ludzku...?

- Mogę – westchnęła- Są spore szanse, że trudno jej będzie uwolnić się od tej myśli. Może nawet podjąć coś, nie wiem, wrócić tam... Ale to chyba niewykonalne.

- Tak mówisz... – skrytobójca uśmiechnął się szeroko – To bardziej niż dobrze, moja kniahini... Widzisz. Szukając powiązania znalazłem kogoś, kto był wówczas na zapołudniu. Zawzięty wróg Styrii, a Ylvy w szczególności. Nie wiedział, co zaszło w miejscu, zwanym Świątynią Starych Bogów. Ale wie, gdzie to jest, jak się tam dostać. Widział, jak stamtąd wracali, a potem jeden z wergundzkiej kohorty czarnego tymenu tam został, w rejonie dawnej osady Krevaina Styryjczyka. Gdy wszyscy odeszli do Vekowaru, on został. Miało to jakiś związek z tamtą świątynią. Wrócił stamtąd z zakrwawionym ubraniem....

- To wiarygodny człowiek?

- Bardziej niż wiarygodny. Trudno o bardziej zażartego wroga Ylvy Darren.

- Za co on jej tak nienawidzi...?

Lomin'Onfis uśmiechnął się z niejakim zrozumieniem i odpowiedział:

- Otóż, za Cotaperi.

- Ylva! – obudził ją nie tyle głos, co dotyk zimnej podłogi i chłód. Czyjeś ręce podniosły ją z ziemi – Obudź się! Ylva...

Poznała głos jeszcze zanim wzrok zogniskował się na twarzy człowieka. Demetriusz, ten Ofirczyk, który wyciągnął ją z lochu, zabijając trucizną. Vlad musiał zostawić go tu w roli ochroniarza. Zadrżała.

- Wszystko w porządku – mruknęła przez zaschnięte gardło. Nie uwierzył.

- Co się stało? Zasłabłaś? Nie trzeba było jednak jeździć....

- Tyle wiem i bez ciebie – uśmiechnęła się – Śledzisz mnie, że wiesz, co robiłam? Pomóż mi proszę.

- Nie, wybacz – zarzucił jej ramię naszyję i pomógł podnieść się z ziemi. Widząc, że drży, okrył ją kocem – Książ nakazał strzec cię, pani – dodał, przechodząc na oficjalną formę – a nie chciałem narzucać ci swojej obecności...

- Przepraszam więc, że cię wystraszyłam – uśmiechnęła się najłagodniej jak umiała, starając się zapanować nad słabością i chęcią natychmiastowego osunięcia się na łóżko. Wsparta na ramieniu wojownika czuła się jednak niezręcznie, oparła się więc o poręcz łóżka i powoli, pod kontrolą usiadła – Dziękuję ci za książkę, była mi potrzebna bardziej niż myślisz. I przekaz książkowi podziękowania za kwiaty. Mam jednak jeszcze jedną prośbę.

Ofirczyk odsunął się o kilka kroków, gdy usiadła, starając się nie stać nad nią. Ewidentnie czuł się niezręcznie. Nalał wody ze stojącego przy łóżku kubka, zanim jej podał, sam wypił łyk i odczekał chwilę.

- Mów, czego potrzebujesz, pani.

- Dobrego konia i siodła z wysoką, podróżną kulbaką... Nie, nie mogę zrezygnować – dodała widząc jego minę – Muszę dołączyć do twojego księcia, natychmiast, nie mam innego wyjścia.

- Zatem konie będą czekały jutro.... – westchnął – Ale to nie jest rozsądne.

- Wiem, że nie jest, ale nie mam wyboru. I zadbaj proszę o to, aby Sambor dotarł tu dziś bezpiecznie. A potem przekażę ci kilka niezmiernie ważnych listów. Demetriuszu... – Ofirczyk zatrzymał się w pół kroku do drzwi – Będzie mi miło, jeśli udasz się ze mną na granicę tryntyjską.

- To oczywiste, że tak się stanie – uśmiechnął się, składając teralski ukłon – Wszystko będzie gotowe na twój rozkaz, pani.

Odpowiedziała uśmiechem, a gdy tylko wyszedł, opadła na łóżko, pozwalając sobie na otulenie się kocem. Sen? Bała się zasypiać. Bała się usłyszeć znów upiorny wizg z podziemnej świątyni.

Ale przynajmniej pamiętała już imię. Imię wergundzkich książąt.

Wyrzut sumienia.

Obudził się, zlany potem, dysząc ciężko. W zaciśniętej kurczowo dłoni ścisnął rękojeść rapiera. Małe pomieszczenie urządzone w suchej części dawnego laboratorium Sapientii nie było specjalnie komfortowe, ale było bezpieczne, w miarę ciepłe, trudne do znalezienia.

Ile dni tak leżał? Nie miał pojęcia. Gorączka, której nabawił się po nocy w lodowatej wodzie fosy, powaliła go efektownie, tak że po raz pierwszy od dawna zaczął się zastanawiać, czy jednak nie skończy się tak, że śmierć po niego przyjdzie. Majaki i zwidy towarzyszyły mu przez cały czas, ale ten był wyjątkowy.

Stojąca przy posłaniu z liści i wełnianych koców manierka z wodą pomogła mu w odzyskaniu całkowitej przytomności. Upewnił się, czy kryjówka jest bezpieczna, a potem spokojniej usiadł na posłaniu i pogrążył się w myślach.

Ylva. Istnieje jakiś sens powracających wspomnień o niej. Została więc ostatnia z żywych. Bo siebie samego nie liczył już do żywych od dawna. Ale... oszukano ich. Oszukano jego. Ofiara była bezcelowa. Nie ocalił nikogo. Nie ocalił pięknej Aslaug ani przyjaciół z kohorty. Zginęli. Przynajmniej wszyscy zginęli w walce, przemknęło mu przez myśl. Zginęli, mogą odpocząć...

Co on powiedział? Wrócić tam, do tego potwornego miejsca? Poddać się?

- Niedoczekanie twoje, ścierwo – warknął półgłosem. Służba się nie skończyła. Warta trwa. Pozbawiliście mnie ojczyzny, przyjaciół, oddziału... dobrze. Ale niedoczekanie wasze, że sam się wam oddam w ręce.

Za cenę jej życia?

Tak, za cenę jej życia. Pakt z tą istotą, to było oszustwo. A ona... cóż, i tak nie ujdzie swojemu przeznaczeniu. Zresztą, nie była nawet Wergundką....

Rozdział V

Dhe Sleibthe

Południowy Trynt, rok 915

Wyjechali jeszcze przed świtem. Wielkie teralskie konie, rasa wyhodowana do pomocy przy wyrębach lasu, nie pędziły w jakimś szczególnie zawrotnym tempie, ale Ylva i tak musiała włożyć wszystkie siły, także siłę woli, aby utrzymać się w siodle.

Jednak czas naglił. Hufce zachodniej Terali weszły już głęboko na teren południowego Tryntu. Do kraju trafiały kolejne informacje o zwycięskich potyczkach i starciach. Książ Vlad zwyciężył pod Feahal. Pokonał Qa nad Raną, idzie w kierunku na brody pod Arden. Wiadomości te witane były z radością, ale radość ta mieszała się ze strachem. Wciąż nie przychodziły wieści z północy. Gdzie była wielka armia Qa, która w lecie maszerowała ku Wysokim Ziemiom?

Ylvę coraz bardziej przerażała ta cisza informacyjna. W czasie drogi miała dość czasu, by o tym rozmyślać.

Wcześniejsza rozmowa z Samborem, utwierdziła ją w obawach, że przyczyną tego stanu rzeczy jest celowe działanie Qa.

- Nie ma kontaktu z ludźmi, których mamy na Wysokich Ziemiach – handlarz końmi i styryjski rezydent przy rodzie Gryfów także był tym zmartwiony – Wysyłałem tam kolejnych posłańców, próbowałem dotrzeć do Derwana albo chociaż dowiedzieć się, co się z nim dzieje, trzykrotnie skończyło się to wpadką.

- Nie mów, że były przy nich jakieś pisma – zaniepokoiła się.

- Były. Zasyfrowane. Szyfrem awaryjnym, za kogo mnie masz – fuknęła w odpowiedzi na jej krytyczne spojrzenie – Albo rozbito całkowicie naszą siatkę na Wysoczyźnie... Albo trwa tam wojna, a Qa usiłują działać dezinformacją. Musimy działać w ciemno.

- Wiem – mruknęła, opierając pochyloną głowę na dłoniach – Vlad wyprowadził ludzi w pole, przed zimą musi odnieść zwycięstwo w Tryncie, zabezpieczyć granicę. Wtedy grudniowy wiec da mu buławę wojewody i całą armię na rozkazy. Jakies dwadzieścia, może dwadzieścia pięć tysięcy ludzi.

- Północna armia Qa liczy ponad osiemdziesiąt – przypomniał Sambor.

- Wiem – powtórzyła – Ale to nam da czas, przez zimę będzie można powołać jakieś oddziały poborowe. Może wynająć najemne oddziały. Może odnowimy naciski w Ofirze. Może uda się zneutralizować Samnię. Dar Bregen będzie miał czas ściągnąć wergundzkie niedobitki i partyzantów. A lord Borgh Du i partyzantka Gunnarsona zwiążą przynajmniej część ich sił na północy... Mamy jeszcze szanse – powiedziała z lekkim rozgorączkowaniem – Mamy szansę....

- Mamy – przyznał – Ale to tylko szansa. Zapominasz o Awdanach i wpływach lominów w tym kraju.

- Nie zapominam – odruchowo dotknęła dłonią ramienia, które nagle zapiekło intensywnym bólem – Za cholerę nie zapominam. Kiedy Vlad otrzyma buławę, będzie można się nimi zająć. Skutecznie. I wykończyć raz na wczoraj – warknęła. Agent westchnął.

- Vlad... Wszystko opieramy na jednym człowieku. Co, jeśli zginie?

- Nie dopuszczę do tego – podniosła wzrok – Jadę do Tryntu jeszcze dzisiaj. Spróbuję go upilnować na polu walki.

- A co, jeśli Derwanowi się nie udało – pytanie Sambora zawisło w powietrzu gęstym ciężarem – Wtedy północna armia jest w drodze, a kampania Jastrzębców w Tryncie skończy się klęską.

Ylva długo milczała, analizując możliwości. Nie znalazłszy odpowiedzi, ze złością cisnęła o ziemię płócienną sakiewkę, którą się bawiła.

- Nie wiem, co wtedy, cholera, nie mam pojęcia. Każę mu się wycofać, ocalić wojsko...

- Jasne. Wtedy w grudniu straci buławę zachodnią, w chwilę potem podległe mu rody wypowiedzą posłuszeństwo. Zostanie zmuszony do hołdu Qa albo też generał Seitiri spełni swoje groźby i zatknie jego głowę nad bramą jego własnego grodu na postrach następnym. Przykro mi, Ylva. Z tej sytuacji nie będzie dobrego wyjścia.

- Wiem – powiedziała po raz trzeci w tej rozmowie cichym, zrezygnowanym głosem – Jeśli tak się stanie, wszyscy nasi ludzie będą musieli zejść do głębokiej konspiracji. Wszystkich naszych agentów trzeba będzie uspić. Przygotuj mi listę, hasła, szyfry. Jeśli wszystko się sypnie, centrala musi mieć dane z terenu. Aktywni agenci będą musieli się wycofać przez Visnohorę.

- Spod Visnohory nie ma przejścia – skorygował – Trzeba się wycofać przez góry. Damy radę.

- Pewnie, że dacie – uśmiechnęła się – Ach, i jeszcze jedno. Nemaria. Jest na ziemiach dar Bregena. Trzeba ją natychmiast wycofać na południe. Nie zdradziła. A może jeszcze wiele dobrego dla kraju zrobić. Zwłaszcza w obliczu faktu, że córka Powój przeszła na ich stronę.

- Tak jest. Ylva... Jesteś pewna, że chcesz tam jechać osobiście?

- Muszę, przyjacielu – podniosła głowę z westchnieniem – Vlad mi ufa, a ja znam jego słabości. Nikt inny nie przekona go w razie czego, by nie wpakował się w sytuację bez wyjścia.

- Ech. Masz rację, bezsprzecznie. W tej chwili przy nim jest kilkoro naszych ludzi, na liście będziesz miała ich imiona i hasła, kiedy ich znajdziesz, powinni zdać ci raport z sytuacji... Oby to były dobre wieści - Sambor odwrócił się jeszcze wychodząc – Jeśli padnie Terala, Styria się nie utrzyma. Nie wiem, czy ty jeszcze potrafisz, ja już od dawna tego nie umiem... Ale jeśli potrafisz, módl się do bogini... Módl się, żeby Derwanowi się powiodło.

Potrafię, pomyślała, zaciskając pięści na końskiej grzywie. Wiatr ją orzeźwiał, ale monotony stęp, którym wlekli się po wąskiej dróżce, wprawiał w stan lekkiej hipnozy.

Potrafię.

Tylko nie mogę przypomnieć sobie słów.

Tak dawno już nie słyszała głosu bogini... A może nigdy nie było żadnego głosu. Horyzont zawęził się do końskiej szyi i migających pod nią kamieni. To wszystko jest beznadziejne. Nie ma szans powodzenia. Jest tylko mrok i śmierć.

Było ci przeznaczone umrzeć. Po tysiakkroć już. Umierają inni wokół ciebie. Zostawiasz ich za plecami, porzucasz, jak zostawione przy drodze ciała poległych. Lylian. Keithen. Aslaug. Clovis... dziesiątki innych. Masz dług, Ylva. Tylko twoja śmierć go spłaci... Nie broń się dłużej. Spłać dług... Spłać dług... Spłać...

Spłacę.

Pod nogami ciemność, otchłań jaskini. Nie słysząc rżenia upiornej istoty, ale ona tam jest. I on tam jest, Wergund o książęcym imieniu. Lada chwila umrze, umrze za nią. Dalej, Ylva. Chociaż raz zrób coś dobrego. Możesz go uratować. Możesz spłacić dług. Skacz!

Czyjaś ręka mocno szarpnęła ją za płaszcz na karku, podrywając do góry.

- Pani Ylvo! Obudź się!

Na wółpryzytomnym wzrokiem powiodła dookoła, próbując rozeznąć się, dlaczego trawa zasłania jej widok. Ból dotarł do niej dopiero po chwili, zapiaszczoną dłonią przejechała po potylicy, wyczuwając ciepłą krew, wsiąkającą we włosy.

- Pani Ylvo....

- Demetriusz.... – przypomniała sobie imię ochroniarza – Co się...

- Spadłaś z konia. Musiałaś zasnąć widocznie – Ofirczyk pomógł jej stanąć na nogi. Znow, pomyślała, wspierając się na jego ramieniu – Zrobimy parę godzin przerwy. Musisz odpocząć...

- Nie ma mowy – przerwała mu – Nie ma takiej opcji. Jedziemy dalej. To nie było pytanie – powiedziała stanowczo, po czym widząc jego zatroskany wzrok dodała łagodniej – Nie martw się o mnie. Dam sobie radę. Ale nie mamy czasu. Diabelnie nie mamy czasu.

Skinął głową ze zrozumieniem.

Granicę teralsko-tryntyjską, biegnącą wzdłuż błotnistej rzeczki, zwanej Sowójką, minęli kilka godzin później, by około zmierzchu dotrzeć do obozu teralskiego. Ylva chciała od razu rozmawiać z kniazem, ale okazało się, że wybrał się ze swoimi przybocznymi na zwiad. Przed świtem miała zostać zwołana rada wojenna, wojska Qa były w odległości kilku godzin, najwyraźniej dążąc do walnej bitwy. Ponieważ szukanie zwiadu w terenie w nocy było mało sensowne, Ylva postanowiła jednak przespać choć kilka godzin. Księżyc wznosił się wysoko ponad wzgórza, którymi otoczone było obozowisko, idąc do przydzielonego jej namiotu podziwiała przez chwilę widok nocnego nieba. Większość wojów była na nogach, szykowali broń, czyścili pancerze, natłuszczali siodła. Tu i ówdzie ktoś śpiewał do wtóru fletu i bębna.

- Nie jest źle z morale – uśmiechnął się Demetriusz, wsparty o słupek od namiotu – Odpocznij, pani, choć kilka godzin.

- Zamierzam. Jeśli ktoś będzie o mnie pytał... Jeden z naszych ludzi, to Tryntyjczyk imieniem Bowen. Gdyby się pojawił, obudź mnie, proszę. Albo lepiej niech zrobi to ktoś z pacholków, a ty też odpocznij. Nie dostałaś osobnego namiotu? – powiedziała także uśmiechem. Ukłonił się, jakby chciał przeprosić, że wciąż tu jest, a jej zrobiło się głupio.

- Będę poza namiotem. Kniaź rozkazał mi chronić cię, pani, śpiąc w innym namiocie nie da się tego robić – odpowiedział. Nie miała siły spierać się z nim, że w środku teralskiego obozu nie potrzebuje ochrony.

- Dziękuję – powiedziała tylko tak ciepło, jak tylko umiała – Wiesz chociaż, jak nazywa się to miejsce?

- Wiem. Dhe Sleibhte.

- Uroczy język... Co to, u licha, znaczy?

Gdzieś w umyśle Ylvy zachichotał upiorny śmiech, zrobiło się tak zimno, że zadrzała.

- Dwa Wzgórza, pani – odpowiedział cicho wojownik.

Dwa Wzgórza...

Serce podjechało jej do gardła i pociemniało jej w oczach, cofnęła się więc do namiotu, zanim Demetriusz zauważy, że coś jest nie tak. Nie chciała go jeszcze obciążać swoimi nieracjonalnymi lękami, koszmarami i wspomnieniami. Ciężko usiadła na burym sienniku, rozsznurowując na chwilę sztywne skórzane karwasze. Głowa, rozbita przy upadku z konia, bolała tępy, upartym rodzajem bólu, od którego ją mdliło.

Dwa Wzgórza.

Miejsce, gdzie mam umrzeć? Jak Lylia, w obronie obcego kraju, na dalekiej ziemi... Zmęczenie nie pozwoliło nawet zaprotestować w myślach. Chciała tylko zamknąć oczy na chwilę, ale bała się zasypiać. Kształty sprzętów, zarys poły namiotu, to wszystko rozjeżdżało się w mroku, rozpływało, umykając zmęczonym oczom.

Nie zasypiaj!

Coś błysnęło, chyba zapalona świeczka. Tak, pewnie Demetriusz. Dzięki ci, bogini, chociaż za taką opiekę... Nie zasypiaj. Musisz przejść przez to miejsce, nie umrzesz w cieniu dwóch wzgórz...

Z wysiłkiem podniosła się na nogi. Poza namiotem szumiał las. Nie było zarysu wzgórz, nie było ciepłych ognii obozowiska i śpiewów, gwaru wojskowych głosów, nie było słycać szumu wiatru. Znieruchomiła w wyczekiwaniu.

- To sen? Śpię?

Las zagęścił się, pnie drzew zwały się w jedną czarną ścianę, która ją otoczyła. Zaciśnięta pięści... miecz gdzieś zniknął, miała tylko własne dłonie. Serce waliło jej jak młotem. Czuła obecność za plecami, ale panicznie bała się odwrócić.

- Nie odchódź tym razem....

Spodziewała się upiornego wizgu. Słowa, wypowiedziane znajomym głosem z wergundzkim akcentem, zdziwiły ją na tyle, że jednak odwróciła się. Wrzasnęła tłumionym głosem, bo zamiast Wergunda stanęła twarzą w twarz z trupim obliczem istoty z jaskini. Jego świdrujący wzrok zdawał się hipnotyzować i wiązać w miejscu. Krzyk wsiąkał w przestrzeń jak w poduszkę.

Błękitny ogień zapłonął nagle w kilku miejscach dookoła. Wizg, obrzydliwe rżenie wciągane przez gardło powietrza, odbiło się echem od niewidzialnych ścian. Dostrzegła kształt człowieka, dalej, wgłąb ciemności, na granicy światła. Nie widziała twarzy, a tylko kształt. Wiedziała, kim jest. Odczuła niemal fizycznie płynący od niego ból i ledwie pokonała odruch, żeby skoczyć tam i mu pomóc.

- To przez ciebie – powiedział stojący tuż obok więźnia wysoki wojownik Qa. Elegancki pióropusz i nefrytowe ozdoby jaśniały wyrazistą zielenią, podobnie jak pierścien na uzbrojonej w nóż dłoni. Nóż błyskał obsydianowym ostrzem, rozcinając skórę na twarzy uwięzionego. Ten krzyknął, widziała i odczuła, chociaż żaden dźwięk nie poniósł się przez powietrze.

- Nie... – szepnęła przez zaciśnięte gardło – Tego nie ma...

- On nie może umrzeć, wiesz...? – powiedział Qa, a jego twarz wydała się jej dziwnie znajoma – Nawet jeśli go zechcę zabić... – obsydianowe ostrze zagłębiło się w ciało więźnia aż po rękajeść, ból, jaki poczuła, zgiał ją w pół i pozbawił oddechu. Chciała płakać, ale ściśnięta krtań nie pozwalała nawet zaczerpnąć powietrza. Więzień z trudem podniósł się z ziemi, patrzyła jak wstaje ciężko, podnosi głowę. Spojrzała w jego ciemne oczy, niespodziewanie oprócz niepisanego bólu zobaczyła w nich tę typową wergundzką zaciętość, kiedy pokręcił głową, jakby chciał jej powiedzieć „nie słuchaj, wytrzymam”.

Nie wytrzyma, powiedział w jej głowie wojownik Qa. Nie wytrzyma, popadnie w szaleństwo i podda się, a wtedy pogrzeje się w wiecznym cierpieniu. Wróc po niego, Wróc. Uratuj chociaż jego. To przez ciebie, to powinnaś być ty. Wróc po niego. Już czas. Obudź się już czas. To przez ciebie.

- To nie przeze mnie! – wrzasnęła, niemal dusząc się swoim krzykiem – To nie...!

Zerwała się, w absolutnie nieświadomym odruchu wyszarpując nóż.

- Pani Ylvo... – Demetriusz odskoczył w porę – Już czas, książ wrócił, prosiłaś, żeby cię obudzić, kiedy będą wołać radę.

Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Powietrze pachniało szronem, w końcu to prawie listopad, przemknęła jej przez głowę logiczna myśl. To dlatego tak mi zimno w mokrym od potu ubraniu. Przetarła twarz dłońmi. Muszę być przytomna, pomyślała, zbierając myśli. O tych snach trzeba będzie pomyśleć później. To nie jest normalne. Ale nie teraz. Teraz walka o Teralę. Wstała, poprawiła oporządzenie i odchyliła płachtę.

- Ylva Darren? – człowiek, który zerwał się na jej widok od najbliższego ogniska, nieźle ją wystraszył.

- A kto pyta? – odpowiedziała, wiedząc co usłyszy, ale chciała zyskać czas by zamaskować reakcję. Mężczyzna w tryntyjskim kilcie podszedł bliżej, patrząc na nią wyczekująco – Szukasz tego, co zgubiłeś? – wyrecytowała hasło, czekając na właściwy odzew, który padł niemal natychmiast.

- Szukam broni, która należała do mojej matki. Jestem Bowen – powiedział cicho i wymownie spojrzął na stojącego za jej plecami Demetriusza – Musimy porozmawiać ... na osobności.

- Spokojnie, możesz mówić. To zaufany człowiek.

- Rozkaz, pani – skinął głową, wciąż mierząc Ofirczyka nieufnym spojrzeniem, aż ten odsunął się o kilka kroków, wtedy wyrecytował niemal jednym tchem – Pani, nie mamy wciąż wieści. O dziesięć mil na zachód stacjonuje piętnastotysięczny korpus Seitiriego, ale z północy nadciągają kolejne siły. Szacujemy na drugie tyle. Ale ostatnie informacje mamy sprzed tygodnia. Qa wiedzą, że informacje będą bronią lepszą niż oręż. Od tygodni na linii rzeki mamy całkowitą blokadę, nie sposób się przedrzeć na północ, nie sposób dowiedzieć się, co się dzieje na Wysokich Ziemiach. Jesteśmy ślepi.

- Więc decyzje trzeba będzie podejmować z zamkniętymi oczami – odpowiedziała, marszcząc czoło – Dziękuję. Będę przy kniaziu, w razie jakichkolwiek wieści informuj natychmiast. Bowen... – młodzieniec, który już odwrócił się by odejść, nie zareagował i zanotowała w pamięci, aby go upomnieć, że wybrany kryptonim należy zapamiętywać lepiej – Bowen! To ważne. W razie kłęski będzie obowiązywał rozkaz „szary”.

- Tak. Rozumiem. Tak jest – Tryntyjczyk skłonił głowę i odszedł w kierunku ognisk. Zadrżała. „Szary” oznaczał wygaszenie siatki agentów, przejście do całkowitej konspiracji i zerwanie kontaktów, dopóki rozkaz nie zostanie zmieniony. Jeśli przegramy północ, pomyślała, trzeba będzie uciekać. Chyba, że nie będzie już po co...

Narzucenie płaszcza też nie pomogło, telepała się z zimna jeszcze wchodząc do kniaziewskiego namiotu. Mogła być 5 albo 6 rano, niebo szarzało powoli. Obóz szumiał już odgłosami pobudki. Straż przed wejściem była uprzedzona, w środku paliły się pochodnie i maźnice, oświetlając ciepłym światłem stojących nad mapą.

Zatrzymała się w wejściu poprawiając płaszcz, po czym skłoniła się zgodnie z zasadami etykiety. Jako obcokrajowca nie obowiązywał jej głęboki teralski ukłon, tym niemniej pochyliła głowę w geście szacunku.

- Kniaziu wojewodo. Kniaziowie. W imieniu arcyksięcia służę wam pomocą, radą i informacją. Nowa Styria nie może zbrojnie was wesprzeć, wspieramy więc tak jak możemy w tej wspólnej walce – oficjalna, ustalona treść zabrzmiała poważnie i pewnie. Vlad syn Imisława uśmiechnął się i odpowiedział również ukłonem. Ylva przyjrzała się pozostałym obecnym. Większość z nich znała lub przynajmniej rozpoznawała.

Sulisław Ogończyk z rodu Paszków. Weteran wojen z Wergundią, stary doświadczony wojownik. Wrocimir z Fryczów. Sędzislaw z Ładziców. Wojemił z Dargunów. Kniazie spod znaków Jastrzębców, Dołęgów, z rodów spod Lędy i Bobru, a także kilku Tryntyjczyków w czerwonych i burych barwach Przedgórze. Uśmiechnęła się w myślach. Vlad mógłby być nowym Draganem. Zjednoczycielem rodów, wielkim przywódcą, wiodących wojowników do zwycięskich bitew, politykiem wiodącym kraj ku wielkości. Widać to było na każdym kroku, w sposobie, w jaki dowódcy i kniaziowie słuchali jego słów, przyjmowali jego decyzje i rozkazy. W teralskiej naturze leżała kłótność, tam gdzie było dwóch Terali, tam były cztery opinie, ze trzy wizje, kilka awantur i co najmniej jeden rokosz. Tymczasem tutaj grono wysokich dowódców, z których każdy przecież był człowiekiem o znacznej pozycji, bez szemrania i z pełnym zaufaniem przyjmowało to, co mówił syn Imisława.

- Mamy zatem dwie rzeczy do wyboru – zaczął, gdy Ylva powtórzyła informacje otrzymane od swoich ludzi. Ponieważ w pełni zgadzały się z informacjami terenowych zwiadowców, przyjęto je za pewne – Możemy podjąć walkę. Albo się wycofać.

Powiedziawszy to, rozejrzał się uważnie po twarzach swoich dowódców, obserwując ich reakcje.

- Z całym szacunkiem, wojewodo – odezwał się sędziwy Sulisław – Za późno na tę decyzję. Gdyśmy już wystąpili zbrojnie, pozostaje tylko walczyć, inaczej rozbiją nas, uderzając w pochodzie i klęskę poniesiemy tak czy owak.

- A jednak – do dyskusji dołączył człowiek w barwach Dołęgów – Idąc na wielokrotnie silniejsze siły, ryzykujemy wiele. Stawiamy wszystko na jedną kartę i to bardzo słabą. Wycofując się mamy szansę ocalić siły...

- Nie ocalimy niczego, ustępując pola! – zaprotestowało kilku wielmożów.

- Panie kniaziu – zza ich pleców wystąpił człowiek w tryntyjskim stroju, siwe włosy miał puszczone luzem, prócz dwóch warkoczyków tuż przy skroniach, na twarzy prócz zmarszczek widniały liczne blizny od ostrza i ognia – Ponieśliśmy na tej wojnie już olbrzymie straty, a mimo to podnieśliśmy wciąż tyłu, ilu zdołaliśmy uzbroić, by stanąć z wami do walki, choć żeśmy przecież nigdy wcześniej w przyjaźni nie żyli. Jeśli się wycofacie teraz, na nas spadnie cały gniew wroga, na nas i naszą ziemię. A i was to nie ominie ostatecznie.

- Więc chcesz, Tryntyjczyku, by nasi wojowie polegli zamiast waszych – zawołał zaczepnie jeden z młodszych dowódców spod znaku Ładzciców. Nim zareagował wojewoda i pozostali kniazio wie, starszy mężczyzna w tryntyjskim stroju uciszył ich ręką.

- Jestem Peatyr Hrefnason z klanu Sliabh Ard, Teralu, i całe życie zabijałem takich jak ty – wyprostował się dumnie – Przez ostatnie dwa lata ani na chwilę nie złożyłem broni. Co ty robiłeś przez ten czas? Na tej wojnie straciłem brata i ostatniego syna, który poległ na północy. Ilu ty straciłeś w walce z Qa? Grozić ci nie będę, bo to nie czas na spory. Ale zważ co mówisz, bo twoje słowa świadczą o tobie, tak jak czyni.

Dołęgowicz chciał jeszcze się odezwać, ale zamilkł na zdecydowany ruch ręki wojewody. Wszyscy stojący wokół stołu z mapą zamilkli, gdy Vlad Jastrzębiec oparł obie ręce na blacie. Zapadła chwila pełnej napięcia ciszy, aż wreszcie książę oznajmił:

- Walczymy.

Wśród zgromadzonych rozległ się pomruk, w większości aprobaty. Ylva przesunęła się bliżej mapy, by przyjrzeć się rozłożonym tam drobnym kamieniom, symbolizującym wojska. Wojewoda zaś zaczął mówić, powoli, z namysłem, nie odrywając wzroku od mapy, tak że widać było, iż myślami widzi teren, w którym rozstawia już swoje oddziały.

- Mamy przed sobą przynajmniej dwie armie przeciwnika, obie liczniejsze od nas i lepiej uzbrojone. Jediną naszą szansą jest walczyć z nimi po kolei. Jeśli przyjdzie nam spotkać się z nimi, gdy się połączą, nie będzie dla nas ratunku.

- Kniaziu wojewodo – odezwał się jeden ze stojących z tyłu Terali tonem meldunku – Zwiad wysłany na północ przyniósł wczoraj wieści o idącej od Arden armii, są dzień drogi od nas.

- A więc – w zamyśleniu odpowiedział Vlad – mamy dzień czasu, by pokonać korpus Seitiriego, a jutro stanąć przeciw tamtym. To karkołomne. Ale możliwe. Qa przerzucili swoje wojska przełęczą pomiędzy Dwoma Wzgórzami, bo tamtędy wiedzie główny trakt. W efekcie całe ich siły są stłoczone w wąwozie pod przełęczą, z którego nie oplaca im się ruszać, będą czekać, aż dotrze druga armia, broniąc się na stokach wiodących ku przełęczy. I nie wykurzymy ich stamtąd, uderzając od frontu. Idealnie byłoby przerzucić większość sił dookoła wzgórz i uderzyć z góry przełęczy, ale tego zrobić nie zdążymy. Jedyne, co ma szansę powodzenia, to przerzucenie tam kawalerii. I tak uczynimy. Konni nasi oraz Dołęgów i Fryczów wyruszą za chwilę bezzwłocznie trasą, którą wskażą ludzie Sliabh Ard. Łucznicy wszelkich znaków z kolei zajmą pozycje na stokach, wdzierając się tak daleko, jak się da, by ostrzałem wprowadzić możliwie duży chaos, zanim uderzymy na wąwóz. Tarczownicy tryntyjscy i nasi z kolei stanowiąc będą zaporę, idąc linią od dołu doliny i utrzymując szyk póki nie uderzy konnica. Gdy zniesiemy korpus Seitiriego.... – podniósł głowę znad mapy i powiódł wzrokiem po zgromadzonych, jego głos brzmiał pewnie i władczo – cofniemy się na równinę i puścimy wojska

w rozsypkę. Tamci muszą być zmęczeni drogą, nim zdążą odpocząć, będziemy ich szarpać i niszczyć, a potem wydamy kolejną bitwę. Na własnych warunkach.

Ylva uśmiechnęła się pod nosem, obserwując reakcje dowódców. Może i nie był to entuzjazm, ale w rozpalonych nagle oczach widziała nadzieję i gotowość do walki, desperację, ale i odwagę. W pamięci odżyły upalne chwile poranka na przełęczy Ferbiss, gdy ludzie dar Bregena zdecydowali, że będą się bronić przed inwazją od strony Dakonii. Zwyciężyli... choć jej nie dane było walczyć z nimi, to przecież widziała wtedy i chłonęła tę nadzieję, która wówczas na dalekiej Visnohorze wykiełkowała i promieniowała wciąż, podtrzymując nikłą wiarę w przetrwanie Północy.

Do planu kniazia niewiele można było dodać, więc tylko przyjrzała się mapie, zapamiętując ukształtowanie terenu, ścieżki i przejścia. Przyjrzała się dowódcom, zapamiętując, czego po którym można się spodziewać. I nawet zaczęła wierzyć w to, że może się to udać.

Świt wstawał we mgłach, różowy i oślepiający. Zastał większość oddziałów już w drodze. Górską drogą, którą ruszyli, wspinała się wśród niskich zarośli na stoki i z tej wysokości można było obserwować, jak sprawnie przemieszczają się teralscy łucznicy, wspinając na stoki wąwozu, a piechota i tarczownicy tryntyjscy ruszają powoli zwartym szykiem w górę ku przełęczy.

Nie oszczędzali koni. Te nieprzywyczajone do górzystego terenu boczyły się i niechętnie poddawały poganianiu do truchtu pod górę. Ale nie było czasu, by się przejmować humorami wierzchowców. Gdy stanęli na przełęczy, było dwie godziny przed południem. Wład, dosiadający doskonałej krwi wierzchowca, jechał na czele, pod łopoczącymi chorągwiami, prezentował się dumnie i książęco w złożonym szyszaku z pyszną kitą, z mieczem w dłoni jadąc wzdłuż szyku, ustawiając konnych i wydając rozkazy. Ylva jechała kawałek za nim, adrenalina pomagała jej utrzymać się w siodle, a mroźny chłód poranka – nie zasnąć. Demetriusz jechał za nią, z czego domyśliła się, że książę podtrzymał rozkaz, każący pełnić rolę jej osobistego ochroniarza. Jechał także Bowen i kilku jego Tryntyjczyków. Za nimi na przełęcz wspinało się ponad trzy tysiące konnych, zbrojnych w długie lance i proste koncerze kawaleryjskie, nieźle opancerzonych, na ciężkich masywnych koniach. Siła wystarczająca, by dobrze poprowadzoną szarżą wprowadzić chaos i zepchnąć ze stoków kilkakrotnie silniejsze siły przeciwnika, wpychając pod miecze czekających na równinie tarczowników.

U ich stóp otwierała się przełęcz na Dhe Sleibhte, a poniżej niej ciemniały szeregi Qa, schodzące ku równinie nieprzebraną masą. Równe, trawiaste stoki dawały idealne warunki do szarży prosto w tłum, który musiał z kolei cofnąć się, napierany z góry przez konnych. Już na przełęczy starli się z ostatnimi oddziałami Zapółdnia, ale znieśli je z marszu samym efektem zaskoczenia. Mając czysty teren, ustawiano szyki do ataku, dopinano popręgi, sprawdzano broń. Niewielki, zwiadowczy oddział ruszył powoli ku zejściu w dół.

Zanim usłyszeli ogłuszający huk i błysnął ogień, Ylva dostrzegła delikatny refleks jak odbicie słońca na szkle, na stoku tuż powyżej drogi. Potężny pocisk magiczny, sądząc po kolorze, wspomagany minerałem, uderzył w oddział zwiadowczy, płosząc konie i obalając ludzi.

- Cofnąć linię! – krzyknął książę, opanowując spłoszonego wierzchowca. Trafieni pociskiem zwiadowcy krzyczeli, próbując wydostać się z wciąż płonącego obszaru, kilku towarzyszy ruszyło w ich kierunku, ale nim dotarli, huknął kolejny, zamykając ogniem kolejne kilka metrów.

- Trzeba ich zdjąć z tego gniazda! – wrzasnęła za jej plecami Ofirczyk, przekrzykując się przez huk płomieni. Ylva była zbyt zajęta utrzymywaniem się w siodle, żeby mu odpowiadać, ale wiedziała, że ma rację. W dodatku trzeba to było zrobić szybko, bo od doliny już echo niesło odgłos rozkazów i huk okrzyków bojowych, Qa zauwazyli manewr i właśnie zwierali szyki, by przyjąć uderzenie kawalerii. Zakłęła na głos, szarpiąc lejce mocnym ściągnięciem.

- Potrzebny jest oddział trzy, cztery osoby! Psiakrew, uspokój się! – wrzasnęła pod adresem szalejącego wierzchowca, który wcześniej najwyraźniej widywał tylko ogień w kuźni, gdzie go

podkuwano. Korzystając z chwili spokoju wyrzuciła nogi ze strzemion i sprawnie zeskoczyła na ziemię.

- Wojewodo! – Vlad właśnie wskazywał cel małemu oddziałowi łuczników, którzy próbowali dostrzec do skrytych za skałami magów, ale strzały nie sięgały – Wojewodo, daj mi sześciu ludzi i osłonę łuczników! – stanęła mocno na nogach. Dwa Wzgórza uniosły się nad nią jak cień, groźba, czy może wyzwanie. Tutaj umrzeć? pomyślała. Niedoczekanie.

Niespełna piętnaście minut później wytarła klingę w krawędź zapaski leżącego u jej stóp Qa. Walka wreszcie dała jej to, czego potrzebowała, adrenalinę, napięcie, energię. I wściekłość. Biegając zakosami pod górę, unikając kolejnych pocisków, zapomniała o słabości i niepewności, o koszmarach i wątpliwościach. O widmie z zapoludnia. I wyrzutach sumienia. Wszelkich. Ostrze cięło niezawodnie, bez wahania, bez rozważania szans. Walka pozwalała wrócić do prostych wartości – zabić nie dając się trafić. Bez zbędnych światłocieni.

Pobiegli w górę stoku. w luźnym szyku. wykorzystując nierówności terenu. Ylva, a za nią jeszcze dwóch, zboczyła w górę, wbiegając powyżej bielejących w trawie skałek, Demetriusz poprowadził pozostałych tak, żeby odwrócić uwagę i skupić na sobie ostrzał. Łucznicy z przełęczszyli salwami tak, żeby nie zranic swoich. Skryci za skałami magowie, osłaniani jeszcze dodatkowo przez dwóch ich łuczników, zauważyli oczywiście biegnący ku nim oddział, ale było za późno by się wycofać – ostrzał łuczniczy zmusił ich do pozostania w kryjówce. Zasypali więc atakujących gradem pocisków alchemicznych i zaklęć, od których pozostały na trawie wypalone długie bruzdy. Ostatecznie w kryjówce za skałkami siedziało jedenastu ludzi, gdy Ylva zeskoczyła im na głowy, a pozostali dołączyli, tamci nie mieli szans. Chcieli się poddać, ale nie było sensu brać jeńców. Umarli.

Choć nieźle jeździła konno, w sumie nie czuła się na siłach, by brać udział w tej szarży. Ciesząc się chwilową satysfakcją z własnej przydatności, podziwiała widok na dolinę, równinę poniżej i przełęcz, szukając kolejnych takich gniazd, bo przecież bezsprzecznie powinni zostawić ich więcej.... I wtedy zauważyła.

W oślepiającym blasku jesiennego słońca, za linią stoku w kierunku na północny wschód migotały tysięczne odbłaski, takie, jakie pojawiają się z refleksów słońca na metalu. Na metali hełmów, zbroi, ostrzy włóczni. Przetarła ręką oczy.

- Bowen....?

- Tak....? O kur.....

- Skąd pochodziła informacja o tym, że druga armia Qa jest o dzień drogi i liczy tylko piętnaście tysięcy ludzi?

- Od zwiadu....

- Kto z nimi rozmawiał? Widziałeś tych żołnierzy? Rozmawiałeś z nimi?

- Właściwie... – zająknął się szpieg – Tak, byłem przy tym.

- Ich zachowanie... Ile razy powtarzaliście pytania? Ile razy powtórzyli tę samą odpowiedź? W tych samych słowach...?

- Słowach... Czekaj... Co ty sugerujesz?

- Tam patrz – szarpnęła go za ramię – Armia z północy wcale nie jest o dzień drogi stąd...! Nie mogli się o tyle pomylić. To co mówił zwiadowca było albo kłamstwem agenta albo relacją człowieka pod psioniczną sugestią!

Bowen zamilkł z półotwartymi ustami, wpatrując się w równinę. Ylva puściła go.

- Jasny szlag.... szepnęła i zostawiając towarzyszy w zdziwieniu, puściła się biegiem w dół po stoku. Szereg kawalerii właśnie formował klin, konie tupały już ze zniecierpliwieniem.

- Czekaj! – wrzasnęła – Stój....!

Vlad gwałtownym ruchem ręki wstrzymał kawalerzystów, szeregi zafalowały i zatrzymały się wśród rżenia i prychnania koni.

- Na litość bogów, co ty robisz?! – krzyknął zirytowany nie na żarty – To nie czas na rozmowę!

- Wstrzymaj atak! Nie możesz....! – przez zbyt długą sekundę zabrakło jej tchu i głosu – Armia północna jest o mniej niż godzinę marszu stąd. Dotrą na pole bitwy zanim skończycie walkę! Zwiadowcy kłamali albo byli pod wpływem psioniki! Idzie na nas cała armia północna, kilkadziesiąt tysięcy!

Kniaź ściągnął wodze, wierzchowiec nerwowo zadrobił kopytami i zakręcił błędne kółeczko.

- Co tym mówisz?! – krzyknął – To niemożliwe! Wysłałem od cholery zwiadu w teren. Wszyscy powtórzyli...

- To samo! Jak nauczeni! – stojąc na stoku miała jego twarz prawie na swojej wysokości – Wycofaj się, Vlad, cofnij armię! Znajdziecie się w kleszczach, to będzie koniec!

Koń, jakby wyczuwając ciężar chwili, stanął na chwilę spokojnie. Kniaź pobladł lekko, wzrokiem gorączkowo wodził od doliny do przełęczy, szukając rozwiązania.

- Za późno na cofnięcie się - powiedział wreszcie – Uderzamy. Potem cofnę wszystkich tu na przełęcz i spróbuję się bronić tutaj. Ale...

On dostrzegł to pierwszy z wysokości końskiego grzbietu, a może usłyszał gorączkowe okrzyki Demetriusza i pozostałych z naprędce utworzonego oddziału specjalnego. Oni stojąc wciąż wyżej przy skałach mieli dobry widok na wszystkie trzy drogi, prowadzące ku przełęczy od północnego zachodu, zachodu i południa. Teraz wołali coś z góry, wskazując na tę pierwszą drogę i Ylva wreszcie zrozumiała, że dochodzący z tamtej strony szum nie jest odgłosem konnych oddziałów, z których żaden tam nie powędrował. Zrozumiała, jeszcze zanim dobiegł do nich Demetriusz, krzyżąc:

- Oddziały! Trzecia armia idzie na przełęcz!

Odwróciła się gwałtownie i ku własnemu zdziwieniu zamiast zwartych szeregów Qa dostrzegła jeźdźca. Jednego. Koń, którego okładał witką, rzucał z siebie płaty piany i widać było, że to są jego ostatnie chwile. Usłyszała okrzyk Bowena, który wołał jakieś imię, jeździec usłyszał go, wyhamował, wierzchowiec z chrapnięciem zwałił się na ziemię o kilkadziesiąt metrów przez Ylvę. Rzuciła się biegiem w tamtą stronę, Vlad także tam ruszył. Nieszczęsny wierzchowiec umarł zanim oboje się znaleźli przy dziwnym jeźdźcu, który w ostatniej chwili zdołał wyrzucić nogi ze strzemion, ale i tak nie miał dość siły, by się podnieść z ziemi. Styryjka przykłęka przy nim.

- Idzie na was cała armia... – wyszeptał – Nie zdążyłem... Wybac... Przepraszam, nie zdążyłem.

Nie знаła tego człowieka. Nie wiedziała, czy był kimś z Tryntu, czy może Teralem, czy nie był kimś z jej własnej siatki szpiegowskiej. Delikatnie przetarła mu oczy chustą, zdjętą z szyi.

- Zdążyłeś – skłamała – Wszystko będzie dobrze.

Jeździec otworzył oczy i spojrzał na nią gasnącym spojrzeniem.

- Brynjolf Gunnarson złożył broń. Wysokie Ziemie Halfdana Borgh Du zawarły rozejm z Qa – wyszeptał z trudem – Cała armia północna od kilku tygodni jest w pochodzie.

- Derwan? Co z moim bratem!?! – krzyknął z wysokości końskiego grzbietu wojewoda. Posłaniec z trudem skupił wzrok na nim i wykonał gest, jakby chciał się skłonić.

- Derwan Jastrzębiec nie żyje.... Nie zdążyłem... – wyszeptał, tracąc świadomość. Ylva nachyliła się, nasłuchując oddechu, sprawdziła puls, po czym najbardziej delikatnym ruchem, na jaki było ją stać, zamknęła mu powieki.

Opuściła ręce i ciężko usiadła na mokrej trawie. Nie patrzyła na twarz kniazia, wiedziała co na niej zobaczy. Z tyłu za nim kilka szeregów konnych niespokojnie kręciło się, nie wiedząc jeszcze, jak blisko klęski się znaleźli.

- Wycofaj ludzi tą ścieżką, którą przybyliśmy, powinniście zdążyć – powiedziała wreszcie, właściwie z obowiązku bardziej, bo przecież zdążyła tego człowieka poznać już na tyle, żeby wiedzieć, co jej odpowie.

- I porzucić piechotę i Tryntyjczyków w dolinie... ? Nie mówisz tego poważnie.

Rzeczywiście, nie mówiła. Widziała, że on jeszcze szuka jakichś rozwiązań, przestawia w głowie oddziały, kierunki uderzenia, dopasowuje kolejne możliwości. I widziała, że za każdym razem wychodzi mu to samo.

Spojrzała po stokach, porośniętych niską trawą, poprzecinanych białawymi żyłkami skalnych progów, pod którymi różowiły się ostatnie zimowity. Niska mgła kłębiła się jeszcze w dolinie, a obszar zarośli porastających dolną część stoków złocił się w pełnym słońcu nienaturalnie pięknym kolorem.

Więc to jest dzień ostatecznej klęski północy, pomyślała. Piękny.

Poderwała się więc na nogi, Ofirczyk zdążył już doprowadzić konie, które zostawili, uderzając na stok. Wskoczyła na siodło energicznym wybiciem, widząc już pierwsze szeregi Qa wyłaniające się z drogi po zachodniej stronie przełęczy. Vlad spiął konia i ruszył galopem ku oddziałom, wydając rozkazy i dzieląc kierunki uderzenia. Jeźdźcy powoli formowali klin kierowany ku dolinie. Rozpostarto sztandary. Ktoś dął w rogi.

Z głównych sił został wydzielony mniejszy oddział, około trzystu jeźdźców i łuczników. Ci ostatni właśnie wbiegali na stoki, zajmując pozycje wcześniej wykorzystane przez magów Qa. Jeźdźcy skierowani ku nowemu przeciwnikowi, mieli za zadanie utrzymać go możliwie długo, by nie uderzył w tył szarżującego w dół szyku. To była misja straceniowa, bo prędzej czy później skazana na klęskę w obliczu przygniatającej przewagi liczebnej, jednak w sytuacji, gdy zamiast jednej armii mieli przeciw sobie trzy, nie miało to już żadnego znaczenia. Seitiri z rozmysłem poświęcił rozłożonych na stoku Dhe Sleibhte żołnierzy, zakładając szeroko zakrojoną pułapkę. Armia z północy zdążyła. Jedyne, co można było zrobić, to zadać przeciwnikowi możliwie duże straty i to najwyraźniej Vlad zamierzał zrobić.

Przejeżdżając galopem pomiędzy oddziałami zagrzewał więc ludzi do walki i wydawał rozkazy, wreszcie podjechał także do owego odwodu, który miał zabezpieczyć tył.

- Ylva! – podjechał do niej tak, że swojego wierzchowca musiała ściągnąć siłą, by nie wierzgnął – Ylva... dodał ciszej nieco, podjeżdżając bliżej - Dzięki ci za wszystko, co zrobiłaś dla Terali, ty i twoi ludzie. Przekaż arcyksięciu... Przekaż, że było warto. Utrzymajcie się tak długo, jak się da, Styryjczycy. Nie – przerwał jej próbę odpowiedzi – Nie umieraj za Teralę i Trynt. Ja nie wierzę, że to jest koniec tej walki. W końcu... – uśmiechnął się lekko, powtarzając krążące od kilku lat po północy sformułowanie, które stało się niemal hasłem rozpoznawczym walczących za nią oddziałów – W końcu podobno Styria wciąż się broni...

Wyciągnął ku niej rękę, a ona uściśnęła ją bez dalszych zbędnych słów, na tyle na ile pozwalała odległość końskich grzbietów i skłoniła głowę.

- Zaszczycem było znać cię, kniaziu – powiedziała, uśmiechając się lekko.

- Wzajemnie, Styryjko. Do zobaczenia ... po tej drugiej stronie. Może kiedyś.

Patrzyła za nim, widząc jeszcze długo lśniący szyszak z końskim ogonem pośród jeźdźców. Kawalerzyści ustawieni w kilka szeregów odpowiedzieli na okrzyk kniazia tak, że stoki Dhe Sleibhte huknęły echem ich głosów. Ruszyli najpierw stępą, trzymając równe szeregi, z których pierwszy zaczynał się formować powoli w klin. Przechodząc w kłus, oddziały szeroko wypuściły skrzydła szyku, wykorzystując otwarte trawiaste przestrzenie zboczy. Ostrze klina wyprzedzało skrzydła ostro i gdy przeszli w galop, cała formacja przypominała grot potężnej lecącej w dół włóczni z „wąsami”. Kawaleryjskie kopie pochyłili na gest buławy kniazia, gotując się do uderzenia. Qa ustawieni w dolinie w pośpiesznie uformowane szyki na widok pędzących ku nim szeregów zafalowali i cofnęli

się, gubiąc się, tracąc linię szeregu, w niektórych miejscach próbując wręcz uciekać. Hucząca odgłosem końskich kopyt burza toczyła się w dół po stoku, nieubłaganie, jak wyrok rozgniewanej przyrody, jak wypuszczona nagle lawina, niemożliwa do zatrzymania.

Będące najniżej oddziały Qa starły się z idącymi z dołu szeregami tarczowników, pomiędzy nimi a frontem u góry stoku powstał obszar niekontrolowanego chaosu, w którym poszczególne oddziały próbowały uciekać na boki, strzelać lub ustawiać tarcze.

Nic to nie dawało.

Z ogłuszającym okrzykiem trzy tysiące kawalerzystów uderzyło w pierwsze szeregi Qa, tratując i siekąc. Długie lance praktycznie zmiotły wszystko co było na drodze, a połamane odrzucono i złapano za koncerze, uderzając z wysokości końskich grzbietów we wszystko, co wydostało się spod kopyt. Okrzyk bojowy atakujących i wrzaski mordowanych wymieszane odbijały się od stoków sprawiając, że cała dolina rozbrzmiała jedną koszmarną kakofonią głosów ludzkich, szczęku oręża, wizgu koni i tętentu kopyt.

Szarża wyrwała szeroki pas w szeregach Qa, kolejne uderzenia skrzydłowych oddziałów wymiatały tych, którzy próbowali uciekać na stoki. Zwarte linie tarczowników i piechoty nieprzerwanie zamykały drogę ucieczki w dół. Bitwa na stokach była wygrana.

Dopóki od strony doliny nie ukazały się kolejne oddziały.

Tarczownicy i piechota teralska pospiesznie próbowali odwrócić szyki, tak by stanąć frontem do nowego przeciwnika. Kawaleria, wciąż zaangażowana w walkę w środku doliny nie miała w ogóle takiej możliwości. Nie miało to zresztą znaczenia, bo słyszane od góry, od strony przełęczy bębny wcale nie były echem odbitym od zboczy góry. Idąca stamtąd trzecia armia przełamała kruchą i nieliczną obronę tyłów i właśnie w pełnej krasie niczym skrzydła ciemnego ptaka rozkładała szerokie flanki na stokach, gotując się do uderzenia w dół.

Od strony nadchodzących z równiny oddziałów Qa rozległy się odgłosy piszczałek i nieodłączne bębny. Wyłaniając się z lasu rozkładali szeroki front, zajmując niemal całą równinę widoczną z góry. Nim ruszyły oddziały wojowników, dolina rozbrzmiała błękitem i ku stłoczonym w walce ludziom i koniom runęły z trzaskiem rozgałęzione błyskawice i oślepiające wyładowania, raniąc i paląc tak oddziały Jastrzębców jak i niedobitki Qa. Tu i ówdzie błękit łamały pojawiające się płomienie, wybijające się ponad zasnuwający wszystko gęsty dym. Tam, gdzie uderzyły magiczne pociski, zostawała wypalona gleba i nadtopiona skała. Poszczególne dowódcy próbowali reagować, wyprowadzać oddziały z kotła, rozłożeni na stokach łucznicy kolejnymi salwami uderzali w magów przeciwnika i ruszające ku górze właśnie oddziały lekkobrojnnych wojowników. Przewaga liczby była jednak tak przygniatająca, że każdy manewr utykał na pięcio- czy dziesięciokrotnie liczniejszych oddziałach wroga, a kolejne pociski uderzały nieubłaganie w centrum szyku. Wrzask ludzi i kwik umierających koni stały się nie do wytrzymania. Tryntyjczycy i Terale, dawni wrogowie, zjednoczeni w obliczu wspólnego przeciwnika, który triumfował nieubłaganie i domykał pierścień okrążenia, zabierali ze sobą tysiące przeciwników, jednak klęska nadchodziła wielkimi krokami, nieuchronna i nieodwracalna. W błękitnym blasku mineralowej magii, w dymie i ogniu, w chwale, której nikt nie miał nigdy opowiedzieć, umierała ostatnia wielka armia Północy...

Na przełęczy niedobitki oddziałów tylnej straży poszły w rozsypkę, ścigane przez wojowników Qa. Łucznicy rozłożeni na stokach już dawno zostali wybici, gdy Ylva wraz z kilkoma konnymi zdołali wycofać się na wiodącą na południe ścieżkę. Kolejni pozostający w tyle umierali, dosięgnięci zakłębieniem lub pociskiem, aż Ylva zrozumiała, że ujście stąd z życiem będzie wymagało cudu. Zmęczony wierzchowiec pędził ku równinie głównie dlatego, że trzask mineralowych wyładowań przerażał go bardziej niż wizja śmierci z wycieńczenia, ale Styryjka wiedziała, że gdy koń padnie, nie będzie już innej nadziei. Ściągnęła wodze. Za nią zostało już tylko czterech, w tym Demetriusz, który nadal nie odstępował jej, wciąż uparcie wypełniając kniaziowski rozkaz.

- Nie mamy szans – sapnął ciężko i widziała, że stary wojownik ledwie trzyma się w siodle.

- Widzę – odparła krótko, zaciskając zęby. Qa byli o kilkadziesiąt metrów. Ofirczyk ciężko zeskoczył z siodła, odpiął tarczę i wyciągnął miecz, klepnąwszy wierzchowca odgonił go ze ścieżki. Pozostałych trzech kawalerzystów zrozumiało błyskawicznie jego intencję, ale nie zamierzali zsiadać, mając jeszcze siły utrzymać się na grzbietach koni minęli ich i ruszyli ku równinie.

- Pani – Demetriusz odwrócił się do Ylvy – Żywa działasz dla północy więcej. Twoja śmierć tutaj nie będzie miała żadnego sensu.

- Chyba sobie żartujesz – warknęła, spluwając ostentacyjnie zgrzytającym w zębach pyłem – Nie zostawię cię tutaj.

- Ylva – Ofirczyk zmienił ton głosu, nigdy nie słyszała by tak do niej mówił, uchwycił uzdę jej konia i przytrzymał, patrząc jej w oczy – Nie zamierzam ginąć za darmo. Jedź do swoich, jedź na południe, walcz dalej. Masz jeszcze siłę i masz możliwości. Ja nie mogłem sobie wymyślić lepszej śmierci i nie chcę twojego współczucia i litości. Daj mi umrzeć na moich własnych warunkach, bo nie masz prawa mi tego odbierać. – powiedział ostro – Ty masz swoje rozkazy i wypełnij je, tak jak ja swoje. I przestań się rozczulać, bo ci to nie przystoi. Powodzenia.

Wyszarpnęła uzdę z rąk wojownika, koń zakręcił przed nim kółko w miejscu. Przez stanowczo za długie kilka sekund wahała się między wściekłością, chęcią mordy i desperacją, a rozsądkiem.

- Dzięki ci za wszystko – powiedziała w końcu – Nie zmarnuję tego. Do zobaczenia po tamtej stronie – pochyliła się z siodła i uściśnęła go mocno, po przyjacielsku. Ale nie dziś. Jeszcze nie dziś, dodała w myślach, ściągając wodze. Nie obejrzała się więcej.

Ofirczyk stanął na środku ścieżki. Poprawił tarczę, dociągnął pasek na przedramieniu, mocniej złapał rękojęć miecza. Przed nim spomiędzy skał wyłonił się zwarty szereg kilkudziesięciu wojowników, zbrojnych w obsydianowe miecze i krótkie maczety. Demetriusz uśmiechnął się. Ingeboran byłaby dumna, pomyślał, wspominając tę, pod której rozkazami służył w wergundzkiej kohorcie kondotierskiej. Tak. Stanowczo to będzie dobra walka.

Ylva nie czekała, aż pocięte mieczami ciało poległego przyjaciela sturla się po stoku. Pędziła w dół na złamanie karku, trzymając się niziutko nad końskim grzbietem. Szerokie stoki Dwóch Wzgórz łagodnie schodziły na równinę, w jednym miejscu pokrytą rzadkim lasem i tam właśnie chciała trafić. Nie słyszała już huku bitwy i trzasku magii, dymiące czarno stoki zostawiła za sobą. Już na równinie za pierwszym załomem trafiła na rozproszony oddział, więc zdoławszy sieknąć dwóch najbliższych gwałtownie skręciła w teren, przebijając się przez zarośla. Słyszała za sobą pościg, więc nie zważając na to, że gałęzie drą jej nogi, zmusiła konia do ostatniego galopu. Wpadłszy między drzewa zeskoczyła, szarpnęła sakwę, którą przerzuciła przez plecy i klepieniem odgoniła zwierzę w dół ku równinie. Sama ruszyła truchtem w kierunku niewielkiego pasa gęstych zarośli, które słusznie wzięła za strumień, zanurkowała w nie, zjechała kontrolowanym ślizgiem po błotnistym urwisku, wylądowała na kamieniach, rozbryzgując płytką wodę, po czym ruszyła biegiem, kryjąc się w cieniu wąwozu. Biegając korytem nie zostawiała śladów, a prędzej czy później miała szansę znaleźć kryjówkę, która pozwoli przeczekać do nocy. Wreszcie po godzinie biegu skuliła się w wąskiej jamie pod korzeniami. Do zmierzchu była nie więcej niż godzina. Przeczekać. Opatrzeć rany. Poprawić ekwipunek. Potem zdobyć innego konia. I ruszyć na południe, pod góry Kalidor.

Tam... tam Styria wciąż się broni... Wciąż...

Skuliła się, uspokajając oddech, wytarła dłońmi mokrą od potu twarz, miecz ułożyła tak, by był natychmiast przygotowany do użycia. Objęła ramionami kolana.

Płakała długo, dopóki zupełnie nie zabrakło jej sił.

Nie umarłam na Dwóch Wzgórzach, słyszysz? Nie umarłam! Krzyknęła w myślach pod adresem tego, którego ciągle czuła za plecami. W półmroku, pod zamkniętymi powiekami, widziała płonące błękitem oczy i trupią twarz z obłazącą skórą. Nie umarłam! Inni umarli za mnie, znowu. Kolejne życia dopisane do mojego wielkiego długu... Vlad. Derwan. Demetriusz... Spłacę to, rozumiesz?! Spłacę wszystko, co jestem winna. Tak, pojedę na południe. Do tego, co zostało ze Styrii. A potem dalej. Wrócę tam do tej cholernej jaskini, ale nie po to by umrzeć, tylko żeby wydrzeć ci tę ofiarę. Uratuję go, wydrę stamtąd. Wergunda o książęcym imieniu. Chociaż raz uratuję czyjeś życie, zamiast poświęcić w imię większej sprawy. Może i Północ umarła... ale ja jeszcze żyję. Jestem Styryjką. Umrę na własnych warunkach.

Rozdział VI

Droga do Caer

*Między Sowiogórzem i Leth Caer, zima 916 roku
konkretniej między pierwszym larpem zimowym, a sesją rpg "Wojna wywiadów"*

W dwa dni po opuszczeniu Tecuitla nadeszła fala potężnych mrozów. Nox i Ylva prowadzili pewnie bezdrożami i nieuczęszczanymi przez miejscowych szlakami po graniach gór, aż po niemal tygodniu weszli w wysoki masyw Tohueni, którego górną partię stanowiły nagie skaliste szczyty. W dolinach poniżej zalegała gęsta mroźna mgła, zasłaniając większość widoków, ale wiedzieli, że na wschód od nich toczyła wody potężna Yro, stanowiąca granicę z Laro, a szczyty po drugiej stronie doliny należały już do bezpiecznego kraju elfów.

Podążali już trzecią dobę bez odpoczynku

- Czemu nie zejdziemy w dolinę – warknął nieco zirytowany Tirianus – Czemu nie przekroczy my Yro tutaj, to nieporównywalnie bliżej niż do Caer.

Strząsała dłonią szron, który osadził mu się na brwiach i poprawił kaptur. Było zimno, naprawdę zimno. Ylva odsunęła nieznacznie wełniany zawój, który okrywał jej dolną część twarzy i szyję, na włosach wciśnięty pod futrzaną czapę. Sama się zdziwiła, że postanowiła cierpliwie odpowiedzieć.

- Wzdłuż linii rzeki teren jest naszpikowany wartowniami i zbrojnymi placówkami, nie się tam nie przecisnąć. Nawet gdyby się to udało, to trzeba by jeszcze sforsować samą rzekę. Tutaj na wysokości Tohueni Yro ma ponad 200 m szerokości i jest rwąca, nigdy nie słyszałam żeby zamarzała. Nie ma praktycznie żadnych mostów od prowincji Waitiri aż do miejsca, gdzie wpada do niej Seve. Więc przykro mi, na bezpieczną ziemię Laro możesz sobie głównie popatrzeć.

Idąc za śladem jej spojrzenia elf spojrzał rzeczywiście tęsknie na odległe szczyty. Styryjka zasłoniła usta wełną. Materiał był pokryty białym szronem, podobnie jak jej wystające spod niego kosmyki włosów, co po raz kolejny przypominało jej, że nie wszyscy w jej oddziale są nieśmiertelnymi komandosami i nie wszyscy radzili sobie dobrze z marszem w przenikającym zimnie. Odwróciła się. W dalekiej tylnej straży dostrzegła Oktawiana, o niego się nie obawiała raczej. Bliżej idąca Tlilo, flankowana przez czujną Emilię, przedstawiała za to nieciekawym widok. Qa źle znosiła zimno, podobnie jak większość jej pobratymców, szła otulona grubym filcowym kocem, dygocząc z zimna. Clovis oddał jej swój płaszcz, ale to też nie pomogło specjalnie. Dygotała również Avain pomimo futrzanego kołnierza i wielkich rękawic, które odziedziczyła po jakimś zabitym. Za to idąca za nimi lekkim krokiem Ai zdawała się zupełnie nie zauważać wzmagającego się wichru i ciężkich chmur, grozących tęgą śnieżycą. Unoszące się na wietrze końcówki jej splecionych w ruloniki włosów zdawały się poruszać jak ożywione, niezależnie od woli właścicielki, w czym nieco przypominały widmo Neyestecae, takiej, jak widzieli ją ostatni raz, w pamiętnej bitwie w podziemnych jaskiniach Vekowaru. Z daleka Ylva widziała jej lekki uśmiezek i przeszywające na wskroś spojrzenie. Odwróciła oczy.

Tuż za plecami szamanki szedł Verlan, zgodnie z poleceniem nie spuszczać z niej oczu. Zaufanie wobec jego osoby wisiało ciągle pod znakiem zapytania, ale póki co Ylva nie miała powodu by kwestionować jego oddanie. Zwłaszcza, że w sakwie Emilii delikatnie podzwaniała szklana fiołka z lekarstwem, a na słowo "Toruviel" oczy nieumarłego zaczynały jarzyć się tęsknym blaskiem. Dopóki była więc nadzieja, że lekarstwo trafi do elfki, dopóty lojalność imperialisty była sprawą raczej jasną.

Temperatura spadała. Jediną korzyścią z tej sytuacji był fakt, że Qa prawdopodobnie dawno odpuścili pościg, a jeśli nie – odpuszczą przed nocą. Przebywanie na zewnątrz zaczynało poważnie zagrażać nieprzygotowanym do tego wojownikom południa.

"Znakomicie" pomyślała z satysfakcją "północ powinna wam zgotować taki los od Laro aż po Fiord, żeby wam tyłki poprzymarzały do obsydianowych zabawek".

Zza skalnego załomu wyłoniły się postaci Noxa i Clovisa, który sprawdzali możliwość zejścia granią. Nox pamiętał doskonale skrytki, z których korzystali idąc w tamtą stronę i była nadzieja, że je zlokalizuje. Umiejętności Wergunda za to gwarantowały, że nie zostaną zaskoczeni przez wroga. Wracali teraz obaj lekkim truchtem, trudno było zauważyć coś na zasłoniętych zawojami twarzach, Ylva zdjęła więc ponownie wełnianą osłonę.

- Do czego się tak uśmiechasz... – mruknęła Emilia, stając przy niej – Czym może do kogo...

Ylva spoważniała natychmiast i nadchodzący zwiadowcy zdążyli zobaczyć tylko jej zacięte usta i zmrużone oczy.

- Nie przejdziemy przed zmrokiem przez tę grań – Clovis zrezygnował z tego, co chciał powiedzieć i cofnął się z lekka – Od zachodu idzie potężna nawałnica a wiatr się wzmaga. Po zmroku temperatura jeszcze spadnie. Jesteś pewna, że chcesz iść dalej?

- Pościg ... – zaczęła stanowczo za ostrym tonem – Pościg nie może nas dojść na szczytach, tu nie ma się gdzie kryć – dokończyła łagodniej.

- Ylva, w ciemności przez grań będziemy przechodzić trzy razy wolniej – powiedział Nox – Pomijam już ryzyko upadku stamtąd, ale weź się obejrzyj. Oni ledwo idą.

Nie musiała się oglądać. Elf miał rację.

- Jaskinia – powiedziała – Dotrzemy przed zmrokiem?

- Powinno się udać – mruknął zwiadowca – Ale wiesz, że nadłożymy drogi...

- Wiem – odparła – Ale bez odpoczynku nie damy rady. Nie wszyscy są wojownikami od zadań specjalnych – ostatnie słowa były odpowiedzią na spojrzenie Wergunda, które wydało się jej kpiące – I może nie wszyscy, ale większość z nas jest narażona na śmierć od wychłodzenia.

- I co, mam wam współczuć? – warknął – Kierujcie do tej jaskini. Nie wierzę, że dzisiaj wypuszczą jakikolwiek pościg, a nawet jeśli, to po zmroku w śnieżycy odpuszczą.

Odwrócił się na pięcie i podążył bez słowa za Noxem.

Jaskinia nie była duża, to, co najbardziej niepokoiło Ylvę to fakt, że miała tylko jedno wejście. Jednak wybór mieli ograniczony. Temperatura sięgnęła dobrze dwudziestu stopni mrozu, zdecydowała się więc na ryzykowne, ale konieczne rozpalenie ognia. Na zewnątrz pozostawiła wartowników, zmieniających się co pół godziny, by mogli się ogrzać. Nox i Octavian wyszli zmienić Tirianusa i Clovisa, którzy objęli pierwszą wartę, pozostali próbowali utrzymać ogień z zamrzniętych, wygrzebanych spod śniegu gałązek. Pomieszczenie tonęło w gęstym dymie, niewielkie ognisko dawało równie niewiele ciepła i niewiele światła.

Ylva nie pozwoliła sobie na odpoczynek. Skupiona na ewentualnych sygnałach z zewnątrz, mimochodem obserwowała towarzyszy tej dziwnej podróży. Zabroniła im rozpakowywać czegokolwiek, w razie sygnału od wartujących musieliby natychmiast uciekać, nie chciała więc by się zanadto bezpiecznie poczuli. Przysiadła pod ścianą z rapierem ułożonym w poprzek kolan. Piękna, ozdobna broń z plecioną gardą z oksydowanej stali, prezent od Rufusa... Uśmiechnęła się. Farciarzu, pomyślała, grzejesz teraz tyłek popijając pewnie piwo z Elidisem.

- Nie wykonałaś rozkazu...!

Głos Rufusa, który rozbrzmiał jej w głowie był tak wyraźny i sugestywny, że zerwała się na równe nogi, zwracając uwagę siedzących przy ogniu. Wyłapała zaniepokojone spojrzenie Verlana, zmęczony wzrok Emilii, pozostali byli na szczęście zbyt zajęci próbami rozgrzania zgrabiątych dłoni i stóp. Tylko sponad kłębu dymu dostrzegła świdrujące spojrzenie Ai.

- To wam pomoże – mruknęła szamanka, rozkruszając jakieś wyjęte z kaletki zioła i dorzucając do ognia – Pomoże się rozgrzać.

Ylvia przemknęła przez myśl, że to może być jakiś podstęp, jednak sama Qa także nachyliła się nad ogniskiem, zanurzając twarz w gęstym dymie. Musiałaby być odporna na tę substancję, do tego byli jeszcze wartownicy.... Obserwowała przez chwilę reakcję tych siedzących najbliżej ognia, a kiedy nie zauważyła zmian w zachowaniu, uspokoiła się nieco.

Od wejścia usłyszała szelest, postać tulya zamajaczyła w wąskim wejściu do jaskini, za nim wszedł niemal bezszelestnie Wergund.

- Clovis... – wiedziona impulsem podeszła do niego, chciała przytrzymać za rękę, ale jego zimne spojrzenie sprawiło, że cofnęła dłoń.

- Tak? – zagadnął równie chłodno – Mamy jeszcze jakieś niespłacone długi?

- Ja nie... Daj spokój... Chciałam tylko... – znad ramienia wojownika dostrzegła wpatrzona w nią oczy szamanki.

- Nie martw się, Styryjko – odpowiedź na niewypowiedziane pytanie była bardziej bezpośrednia niż się spodziewała – To, co ci obiecałem będzie wykonane.

- Co....

- Wykonam zadanie dla SSW, wyszkolę ci ludzi do zadań na terenie wroga. Ale to nie znaczy, że będę pracować dla Styrii, żeby to było jasne. Ani dla ciebie. Istota zabita. Koszmary się skończyły.

- I nic nas nie łączy....? – powiedziała przez zaciśnięte gardło.

- Jedynym, co nas łączyło, była ta Istota, więc nic. A czego się spodziewałaś? – odwrócił się przez ramię. Ai wyraźnie wyciągnęła rękę ku niemu w przyzywającym geście.

- Czekaj.... – Ylva zacisnęła zęby i zatrzymała go dłonią na ramieniu – Chcesz teraz zaczynać tę medytację? Te szkolenia...?

- A dlaczego nie?

- Bo tutaj nie mam psioników, nie mam magów dość potężnych żeby cię chronić – syknęła – Rozumiem, że jej ufasz, ale to jednak jest Qa... Jej wpływ na twój umysł... Coś mogła dosypać do tego ognia, jakichś ziół, nie zapanujesz nad tym.

- Dość – stracił jej rękę z ramienia – Wybacz, ale potrafię sam o siebie zadbać, od iluś lat jakoś sobie z tym radziłem i teraz też nie potrzebuję twoich psioników. Gdyby nie ona, nie wyciągnęłabyś ani mnie stamtąd, ani nawet siebie, Styryjko. Pozwolisz więc, że sam zdecyduję, komu ufam.

- Ale...

- Dość...!

Gęsty dym rozmazał kontur jego postaci, kiedy podszedł do szamanki. Jej oczy patrzyły wciąż sponad płomienia, który nabrał zielonkawej barwy. Usta zaciśnięte w ironicznie kpiącym uśmiechu nie poruszały się, ale słowa, które Ylva usłyszała w umyśle, bez wątpienia pochodziły od niej.

Boisz się. Twój największy koszmar... Boisz się, że tak się stanie. Musieć wybierać między nim a ojczyzną...

Rdzawoczerwone włosy Ai uniosły się jak węże, oczy zapłonęły błękitem, pomiędzy kłębami dymu patrzyła na nią znajoma twarz....

Jeśli on zdradzi. Jeśli przejmę jego umysł i obrócę przeciwko wam... Albo ona to zrobi, ona i jej piękne oczy...

Clovis przysiadł w przykłęku przez szamanką, nieruchomo wpatrzony w jej postać. Tlilo przysiadła obok.

Boisz się, że to złudzenie, sen, koszmar.... Czy rzeczywistość. Czy umiesz to odróżnić? Na pewno? Boisz się, czy wciąż jesteś w stanie trzeźwo myśleć. Zależało ci, agentko. Tego też się boisz, a jednak żal ci, prawda? Nie zaistnieje to, na co miałaś nadzieję. To było coś nowego, śnić o kimś i mieć dla kogo ryzykować.

Niby wciąż masz swoją wielką sprawę, swoją Północ, ale przecież już wiesz... Umrzesz, zanim twoje dzieło zacznie przynosić owoce. Umrzesz... Jak Morgan, bez mogiły, zapomniana, porzucona, oddana ziemi i nad tobą nikt nie zanuci pieśni.

Dość...

Przetarła twarz dłońmi i wróciła na swoje miejsce pod ścianą, usytuowane tak, by w razie czego osłaniać wejście. Dym gęstniał.

Nie umrę, pomyślała trzeźwo. Jeszcze nie. Dokonałam niemożliwego, ocalałam go. Dokonam więcej, zbuduję te oddziały i...

I co... A jeśli twoja ocena jest niesłuszna? Jeśli kierują tobą tylko osobiste sentymenty? Popatrz na niego!

Co, jeśli SSW ma rację? Twój projekt oddziałów jest mrzonką, należało go schwytać i przyprowadzić im, zanim Qa przejmą podstępem jego umysł. A przecież to już się zaczęło... Kpiący uśmiech jest celny jak strzał. Jak uderzenie.

Wydaj go.

Co to jest, zadrżała, kiedy serce nagle podjechało jej do gardła w przypływie strachu. Poruszyła rękami, które nagle znalazły się nad jej głową, ciasno związane tak, jak zrobiła to z Korhenim w osadzie. Co się dzieje...?

Zawitajże Bogini w słońca blasku. Wieniec ponad... Ból gwałtownym uderzeniem przeszywa organizm. Uderzenie. Kolejne. Ponad twoją głowę z gwiazd... Wieniec z gwiazd...

Wspomnienie z Terali? Wola pęka, ustępuje jak ponad siły przeciążone mięśnie, nie wytrzyma, ból oślepi, przyprawia o mdłości. Nie wytrzymałaś wtedy przesłuchania, złamano cię. Zdradziłaś.

Skąd wiesz, co jest prawdą, a co tylko wytworem twojego opanowanego przez wirus umysłu?

To tylko wspomnienie? Wśród dymu majaczy twarz M, jego poważne oczy.

- Nie zdradziłam...!

Nie potrafisz już ocenić właściwie sytuacji. Nie myślisz trzeźwo. Nie panujesz nad sobą. Twarz Ai powoli zmienia się, sponad płomienia uśmiecha się ironicznie twarz Neyestecae. Clovis podnosi się z medytacyjnego przykłąku, jego oczy płoną błękitem Minerálu, kiedy unosi do góry jej własny rapier o pięknej, czarnej gardzie. Sztych opiera się o gardło Ylvy, dotyk zimnej stali niespodziewanie parzy jakby był rozgrzany w palenisku.

To halucynacja? Sen? A może wizja przyszłości?

To tylko wirus szalejący w twoim umyśle, śmieje się Neyestecae. Szamanka. Co zrobi SSW kiedy wyjdzie na jaw, że złamałaś rozkazy?

Uderzenie bólu. Jej własny głos napełnia ją zdziwieniem.

- Nie, proszę....!

Groźna twarz M, chrzęst łamanych kości.

Przykro mi, mówi Elidis, nie mogłem im odmówić. Zresztą, co ja ci jestem winien, Styryjko, co my bruderszafta ze sobą piliśmy, czy co?

Tak, agentko, już zawsze będziesz się zastanawiać, czy to, co widzisz, to rzeczywistość czy może wytwór twojego umysłu. Prekognicja? Tak, to też całkiem możliwe. Wścieklizna podobno też tak działa.

Tam jest lekarstwo, mówi łagodnie Morgan. Jest błądy i ma podkrążone oczy. Pani komandor, to konieczne. Jeśli chce pani nadal dowodzić, musimy być pewni pani decyzji.

M. wyciąga ku niej potężną kamienną dłoń, w której skryta jest fiołka z lekiem.

To jest rozkaz, panno Darren. Nie możemy pani ufać w tym stanie, więz z tym człowiekiem przysyłania pani logikę myślenia.

Nie. Nie mogę. Nie chcę.

Zastanów się, uśmiecha się słodko Neyestecae, odzyskasz władzę nad sobą. Odzyskasz swoje życie. Przystaniesz o nim śnić. Przystanie ci zależeć. Uwolnisz się od tego wreszcie, od tego, co ścisła cię za gardło, gdy na niego patrzysz, wróci chłodna logika i kalkulacja, skuteczność najlepszej agentki arcyksięcia zamiast sentymentów i ...

Szkło fiołki jest zimne, oszronione.

No dalej. Zapomnisz o tej więzi, o tym, co czujesz, stanie się tylko złudzeniem.

A ty przeżyjesz.

- YLVA!!

Krzyk Emilii potrząsnął nią jak uderzenie lodowatej fali. Z zadyszką jak po ciężkim biegu ocknęła się na lodowatej, szeleszczącej suchymi liśćmi podłodze jaskini. Ofirka kurczowo zaciskała ręce na jej własnych dłoniach i dopiero po dłuższej chwili Ylva zobaczyła dlaczego.

Kłęczała przy sakwie magiczki.

W dłoniach ścisła fiołkę z jedynym egzemplarzem leku...

Podniosła wzrok. Verlan stał tuż obok, miecz przygotowany do sztychu nie pozostawiał wątpliwości co do celu. Rozumiała. Ta porcja leku miała być przeznaczona dla Toruviel...

Rozluźniła dłonie, oddała fiołkę Emilii.

- Wybacz, ja... – szepnęła, próbując zapanować nad drgawkami. Zauważyła za swoimi plecami Clovisa z bronią podniesioną nad jej głowę. Tego, że jego wzrok obserwował ruchy Verlana, a nie jej, już nie zauważyła. Wstała powoli, trzymając ręce tak, żeby nie sprowokować nikogo do gwałtownych ruchów – Już w porządku – powiedziała, uspokajając oddech – Wszystko w porządku. Powinam zmienić chłopaków. Jest zimno....

Wyminęła ich, nacisnęła na czoło czapkę, otuliła się płaszczem i wyszła.

Emilia spojrzała na Clovisa przeciągle.

- To nie wygląda dobrze- mruknęła, gdy Verlan wrócił z powrotem do ognia – Ona będzie potrzebowała tego leku.

- To jej wybór – odpowiedział, obserwując jaskinię – Przecież jej nie zmuszę.

- Nie – syknęła magiczka z naciskiem – Wystarczyłoby, żebyś poprosił. Posłuchałaby cię, głupi Wergundzie.

- Co...?

- Co... Złamała dla ciebie rozkazy centrali. Kiedy wrócimy do Caer... może się okazać, że problemy ze świadomością to nie są największe problemy, jakie ma. Styria będzie musiała grać między Tirianusem i Toruviel, nie wiedząc które z nich będzie bardziej przydatne. Do tego będą potrzebowali leku. W tym wszystkim jest jeszcze Elidis, który bez wątplenia pomoże Verlanowi i zechce przejąć lek, aby dostała go właśnie elfka. Do tego Onfis in'Tebri... Ylva... cóż, w tej grze może się okazać mało istotna, a na pewno dużo tańsza niż życie Toruviel albo choćby Nemarii.

- I co ja mam z tym zrobić...?! – szepnęła cicho z wyraźną irytacją w głosie – Mam stanąć przeciwko SSW i władcy Leth Caer? Sam muszę odzyskać władzę nad sobą, żeby móc w ogóle działać. Nie mogę...

- Czego, pomóc jej?

Opuścił głowę.

- Nie mogę podtrzymywać tej więzi. Kontakt ze mną to trucizna. Ona musi trzymać się ode mnie z daleka. Inaczej umrze... – Wergund energicznym ruchem odsunął magiczkę, wracając do miejsca przy ogniu.

- Ona i tak umiera... – dobiegły ją jeszcze słowa Emilii. Ai trwała w medytacyjnej pozycji, nieruchoma, tylko zaplatane kosmyki unosiły się jak węże wokół niej. Tlilo, owinięta w jego płaszcz, dygotała oparta o własne kolana. Wiedziony nagłym przypływem ciepłych uczuć otulił ją szczerzej.

Panna "piękne oczy", niewinna w swoich intencjach, jakby ominęło ją to, co zostawiło ślad na wszystkich uwikłanych w tę wojnę...

Dobrze, usłyszał w umyśle głos szamanki. Dobrze, że masz kogoś, na kim ci zależy. O Styryjce zapomnij. Ona cię wiąże z przeszłością. Z wojną. Z szaleństwem. A ty musisz znaleźć spokój.

Ukrył głęboko w umyśle odpowiedź, która cisnęła mu się na usta. Szamanka posługiwała się telepatią, ale pozwalać jej czytać swoje myśli i intencje, to nie byłoby rozsądne. Przykląkł, wpatrując się w postać Ai. Dobrze więc, sformułował jasną myśl, zapomnę o niej. A ty mnie naucz, jak nie stracić zmysłów.

Ogień w jaskini nie dawał zbyt wiele ciepła, ale docenili go dopiero, kiedy przyszło im o świcie ruszyć w dalszą drogę. Zanim forsowny marsz rozgrzał mięśnie, wszyscy jak jeden mąż, szcękali zębami i dygotali. Nad górami wstawał mroźny, bezchmurny świt, nawałnica, która przetoczyła się nad masywem w nocy, przysypała wszystko grubą warstwą śniegu, zasypując ich trop, ale także utrudniając przejście przez grań ku dolinom.

Emilia i Clovis uważnie obserwowali Ylvę. Była blada i miała podkrążone oczy, ale nic nie wskazywało na jakiegokolwiek zaburzenia świadomości. Tym razem ona wraz z Noxem prowadziła, pewnie odnajdując drogę wśród skał. Słyszeła z tego, że ma doskonałą fotograficzną pamięć, rzadko gubiła się w miejscach, gdzie już raz była. Teraz też nie miała z tym problemów, co pozwoliło Ofiryjce nieco uspokoić się po nocnym zajściu i powrócić do wyznaczonego zadania.

Nie spuszczać oczu z Aii Tlilo.

Ylva nie ufała wielu osobom w tej dziwnej grupie, jednak szamanka Qa była najcenniejszą i najważniejszą osobą spośród wszystkich, pomijając samego Clovisa. Niezależnie więc podzieliła zadania, nakazując Avain pilnowanie Tlilo, Emilii i Verlanowi pilnowanie Ai, Clovisowi natomiast zwracanie uwagi na Verlanę. Wergund niechętnie wykonywał jej polecenia, ale chwilowo uznawał ją za coś w rodzaju dowódcy polowego, więc koniec końców zastosował się do prośby. Ylva doskonale wyczuwała jego opory. Brakowało jej cholernie Morgana, Ernesta czy Rufusa, ich doświadczenia i szkolenia. I intuicji, która tak często cechowała ludzi w tej profesji. Była sama.

Ciężka przeprawa przez grań trwała kilka godzin dłużej niż sądziła, a w dolinach bynajmniej nie było cieplej. Otulone mroźnym oparem wyglądały jak cienie wymarłych miast, opuszczone ruiny, porzucone przez mieszkańców. Tylko unoszące się nad dachami strużki dymów sygnalizowały, że mieszkańcy nie uciekli i nie umarli, to tylko życie na zewnątrz zamarło.

Szli jak cienie wzdłuż wąwozów strumieni i rzeczek, zmierzających ku dolinie Yro. Górą szlaku zawsze dwóch lub trzech zwiadowców, gotowych w razie czego odciągnąć pogoń od głównej grupy. Avain, trzymająca w pogotowiu zakłęcie z gęstą mgłą. Octavian i Clovis, trzymający w pogotowiu zatrute strzały.

Mijali kolejne cienie osad i ciche posterunki wartownicze, na których z rzadka tylko ktoś z blanków drewnianych forcików lustrował okolicę. Kolejną noc spędzili w marszu, zatrzymanie się z pewnością skończyłoby się śmiercią z wychłodzenia, bo o ognisku nie mogło być absolutnie mowy. Nad ranem stanęli na krawędzi sporego uskoku, z którego widzieli rozpościerającą się pod ich stopami sporą przestrzeń płaskowyżu, na który musieli się dostać. Z niego z kolei powinni już zobaczyć rozległy obszar bagien Moreinn.

- Schodzimy na linie – powiedział Nox, rozwijając noszony przy pasie powróż, lekko lśniąca srebrem wyplatana elfią linę – Mógłbym nas sprowadzić głównym traktem, ale nie wierzę, że także będzie opustoszały.

- Za duże ryzyko na trakcie – skinęła potwierdzająco głową Ylva – Za uskokiem zdaje się już niedaleko do obręczy, prawda?

- Prawda – potwierdził zwiadowca – Jak tylko wejdziemy na teren Obręczy, będziemy stosunkowo bezpieczni.

- Czym jest Obręcz? – zagadnął Clovis, lustrując z uwagą teren płaskowyzu pod nimi. Nie dostrzegł niczego poza niskimi krzakami i kilkoma wyłysiałymi z liści drzewami.

- Obszar, gdzie bogini Silva stworzyła z sił natury i magii barierę, broniącą dostępu do Caer – mruknął Tirianus, pomagając pobratymcowi mocować węzeł liny wokół potężnego korzenia – Bagna, mokradła, trujące wyziewy, jadowite rośliny, zabójcze zwierzęta, obszary pułapek magicznych, zwodnicze drogowaskazy... Wszystko oznakowane według kodów, które się zmieniają w określony sposób. Nikt niepowołany nie przejdzie.

- Cwane – odpowiedział Wergund z uznaniem – Tych, którzy nie zdołają sami zejść, opuście w pętli...

- Dzięki mistrzu – przerwała mu Ylva z przekąsem – Nie wpadłabym na to bez ciebie. Nox, schodź pierwszy, zabezpiecz teren.

Clovis pojrzał na nią przeciągle z uniesionymi brwiami, jednak nie zaprotestował, choć ewidentnie planował schodź pierwszy. Tymczasem elf przełożył linę przez plecy, oparł się mocno butami o ścianę i zszedł powoli w dół. Po kilku minutach stanął na poziomym gruncie i zajął pozycję za wykrotem, gotów do strzału.

Po chwili dołączył do niego Verlan, Avain i Octavian, Tlilo i Ai zostały opuszczone na zawiązanej pętli.

- Emi....

Ofiryjka przeknęła ślinę.

- Musiałaś wybierać taką drogę....?

- Na szlaku są patrole, wiesz o tym... – wytłumaczyła się Ylva – to szybsze i bezpieczniejsze... Daj spokój, nie z takich wysokości schodziłaś... No dalej... – zignorowała ironiczną minę Clovisa, wiążąc mocno pętlę wokół bioder i ramion magiczki – Pomóżcie mi – rzuciła w kierunku Tirianusa i Wergunda, wymownym gestem podając im koniec liny.

- Wisisz mi przysługę, Ylva.... cholernie dużą przysługę... – powiedziała Emilia, nie panując nad rozedrganym głosem – Psiakrew jak ja tego nienawidzę! A zawsze spotyka mnie to właśnie przy tobie!

- Nie marudź – uśmiechnęła się agentka – Jak dotąd zawsze przeżywałaś. Jak teraz też ci się uda, to wiszę ci gorącą czekoladę w Caer. Dalej, podawać linę, panowie!

Po kilku nieskończonej długości dla Emilii chwilach magiczka stanęła pewnie na gruncie. Ylva gestem wskazała Tirianusowi linę i odczekała, aż elf zejdzie.

- Ty następny – odezwała się do Wergunda, choć tulyła jeszcze nie zwolnił liny.

- Zejdę ostatni.

- Powiedziałaś, ty następny! – warknęła zupełnie niepotrzebnie, aż zdziwiony podniósł na nią wzrok znad liny.

- O co ci chodzi?

- O to, że ja schodzę ostatnia.

- Nie ufasz mi....?

- To chyba ty powiedziałeś, że jedynym, co nas wiązało, była tamta Istota, nie? – sapnęła mu prosto w ucho – Czemu miałabym zatem ci ufać?

- Co takiego? Nie powiedziałem niczego takiego... – westchnął ze zniecierpliwieniem – Dobrze, schodzę. Nie ma czasu, porozmawiamy później.

Nie przekładał liny przez plecy, tylko zaciskając na niej ręce w grubych rękawicach, zamierzał zsunąć się w dół, odbijając od ściany.

I wtedy wszystko przestało gładko iść.

Pierwszej strzały uniknęli czystym przypadkiem. Z niepokojącym świstem przemknęła nad ramieniem Ylvy, którą Wergund w chwilę później pociągnął na ziemię, w samą porę by uchronić przed kolejnym pociskiem.

- W dół! – rzucił i nie czekając na jej reakcję zsunął się z krawędzi na skalną ścianę. Obciążona podwójnie lina stęknęła, Tirianus kilka metrów poniżej krzyknął ostrzegawczo, kiedy posypały się na niego kamienie. Ylva zdążyła złapać linę rękami, błogosławiąc fakt, że przez mróz nie zdejmowała rękawic. Spomiędzy linii drzew wybiegali już pierwsi wojownicy. Pościg.

Szarpnęła się w tył, przetaczając przez krawędź, po napiętej linie dłonie ślizgnęły się mocno, z trudem utrzymała się, ale musiała podeprzeć nogi. Znad krawędzi ukazała się twarz wojownika Qa, uniesiona zza napiętego do strzału refleksyjnego łuku. Cięciwa jęknęła, Ylva krzyknęła urywanie i poleciała w dół, boleśnie uderzając o dwa kolejne skalne występy. Staw barkowy chrupnął niepokojąco, gdy czyjaś ręka złapała ją w locie i przytrzymała.

- Łap skałę! – sapnął Clovis, usiłując ją podnieść nieco wyżej. Utrzymanie ich obojga na jednej ręce na cienkiej linie nie mogło mu się udawać długo. Wpiła rękę w kamienie, wystająca z barku brzechwa z trzaskiem pękła, zahaczywszy o jakiś korzeń. Impuls bólu sprawił, że z trudem utrzymała się na skale.

- Schodź na dół... – powiedziała cicho – Schodź, zabierz ich stąd!

- Chyba żartujesz, trzymaj! – zanim zrozumiała, co właściwie miał na myśli, wcisnął jej w rękę linę, samemu przylegając blisko do skały – Ja sobie poradzę. Jestem nieśmiertelny, pamiętasz? A ty masz żyć. No dalej, na dół! - zepchnął ją lekko, zanim zdążyła zaprotestować, ręce zsunęły się po linie. Wergund zrobił dwa kroki w dół po ścianie. Usłyszeli kolejne syki strzał i jęki cięciw. Lina zadrżała.

Do ziemi było ponad piętnaście metrów.

- Nie możesz...! – krzyknął, łapiąc ją. Przecięta na górze lina luźnym zwojem spadła w dół. Ylva trzymana za nadgarstek zahaustała się, znów obijając o skałę. Nie mieli szans się utrzymać.

Runęli w dół, osypując kawał materiału skalnego.

Nie chcę! Jeszcze nie! krzyknęła w myśli, jeszcze nie czas, jeszcze mam tyle do zrobienia!

Wyrzut adrenaliny sprawił, że niemal udławiła się własnym krzykiem. Zamiast spodziewanego jednak twardego uderzenia o ziemię, miękko zapadła się w piaszczystą łachę, która nagle wystrzeliła ku nim obojgu, łagodną falą od razu opadając na glebę.

Emilia roztarła dłonie, zdrętwiałe od zakłęcia i skuliła się, unikając ostrzału z góry.

Zza jej pleców jęknęły cięciwy łuków Oktawiana i Noxa, a wysoki głos Avain skandował zakłęcie mgły i po chwili wokół nich rozpostarł się miękki, lekko ciepły opar, pachnący ozonem jak po burzy.

Ylva zerwała się na równe nogi, chcąc pociągnąć Ofirkę i Clovisa za sobą w kierunku krawędzi płaskowyżu, za wykrot, który osłoniłby ich przed ostrzałem z góry. Uderzenie wiatru idące od doliny lekko rozwiało mgłę i wtedy zobaczyli...

Przed nimi z płaskowyżu, na którym wylądowali, rozciągał się idealny widok na czarno zielone, przetykane srebrem wód połacie bagien. Doskonale, jak na dłoni widzieli teraz płonącą błękitem Obręcz, na której raz po raz rozbłyskały wylądowania pocisków i zakłęb, tworząc wokół centrum upiorny, choć piękny spektakl. Raz po raz z obręczy wykwiwały rozbłyski ognia, pięknie kontrastując z mineralowym błękitem. Teraz dopiero wyraźnie słyszeli unoszący się nad niziną huk.

Huk magii, alchemii bojowej i salw z muszkietów.

Przed sobą mieli więc ścianę oblegających miast wojsk. Za sobą oddziały pościgu. Utkwione niczym ozdobne oczko w pierścieniu białe umocnienia miasta wydały im się tyleż odległe, co kruche w porównaniu do otaczającej jej potęgi.

Caer walczyło.

- Pójdziecie doliną rzeki, skrajem zarośli nadrzecznych. Nox wprowadzi was na ścieżkę wewnątrz Obręczy, w razie gdybyśmy my nie zdołali dotrzeć do wejścia. Avain, mgła i wszelkie inne osłony muszą być używane na bieżąco, będziemy odwracać od was uwagę, ale ty musisz i tak was osłonić choćby przed czymś przypadkowym wzrokiem. Emi – Ylva spojrzała poważnie na towarzyszkę i ściszyła głos, tak żeby stojące nieco dalej obie Qa nie usłyszały, ale jej wzrok wbity w Ai wskazywał bezbłędnie, kogo miała na myśli - w razie wątpliwości nie wahaj się, urwij jej łeb.

Magiczka uśmiechnęła się i skinęła głową w potwierdzeniu. Siedzieli od dłuższego już czasu skryci w nadrzecznych burzanach, kryjąc się przed patrolami, lustrującymi obrzeża obozowisk wojsk obłączniczych. Ylva pozwoliła się opatrzeć po niefortunnym postrzale, nie chcąc marnować cennych eliksirów Octavian korzystając z chwili spokoju zabandażował jej ramię. Ona kontynuowała:

- Z oddziałem głównym pójdzie zatem Avain, Emilia, Nox.. – spojrzała lustrującą po twarzach, zastanawiając się, komu jeszcze ufa na tyle, żeby powierzyć bezpieczeństwo eskortowanych – Ze mną pójda ci, którzy są w stanie najsprawniej poruszać się w terenie. Ściągniemy na siebie uwagę przeciwnika, zrobimy trochę hałasu, trochę zamieszania. Octavian, Tirianus, Verlan....

- Ja pójdę - stwierdził Clovis, nie pozostawiając za bardzo opcji zaprzeczenia.

- Wolę, żebyś poszedł bezpieczniejszą drogą...

- Ej, nie wierzysz w moje możliwości? – uśmiechnął się do niej - Myślę, że jestem w stanie przez jakiś czas wodzić za nos dowolną liczbę Qa. Słowo – mrugnął zawiadliwie, powodując, że się uśmiechnęła mimowolnie i ustąpiła.

- Niech będzie – rzuciła z niejaką ulgą, to oznaczało, że będzie go miała cały czas na oku – Octavian, zatem ty pójdiesz z Emi, a Clovis z nami. Spotykamy się przy wejściu na ścieżkę. Jeśli dotrzemy osobno, Nox wprowadzi główną grupę, a Tirianus nas.... – obydwie elfy skinęły głową dla potwierdzenia. Nad doliną Yro zapadał zmierzch.

Wyruszyli po zmroku, ignorując po raz kolejny potrzebę snu. W większości, Ylva właściwie usiłowała głównie ignorować przekorne narzekania Clovisa na brak odpoczynku. Grupa Emilii, skryta w magicznej i naturalnej mgle, ruszyła w miarę bezpiecznym szlakiem wzdłuż brzegu rzeki.

Oni ruszyli robić hałas i zamieszanie. Trzy kolejne doby z rzędu.

Obręcz, bezustannie atakowana magią kapłanów Qa, błyszczała w mroku kolejnymi rozbłyskami błękitu. Niesposób było wśród tych rozbłysków zmylić drogę, choć Ylva obawiała się nieco, że Tirianus nie trafi w miejsce, gdzie uczyniono przejście przez Obręcz, to przez które przeprowadził ich Szrapnel. Obawy były niepotrzebne, tulya trafił idealnie.

- Potrzebuję czasu, żeby uruchomić zaklęcie – sapnął elf, gdy dopadli do przewróconego olbrzymiego buka, który wyznaczał fizycznie miejsce wejścia w Obręcz – I zasłony dymnej, bo będzie trochę fajerwerków. I... osłony w razie ataku.... – dodał po chwili, zerkając na wcale nieodległą linię światła, wyznaczającą obozowiska Qa. Styryjka westchnęła, rozglądając się uważnie. Od posterunków wartowniczych dzieliło ich może kilkadziesiąt metrów ciemnych zarośli, dodatkowo sprzyjał kontrast światła i mroku.

- Verlan, daj mu osłonę – mruknęła – Chodź, Wergundzie, zrobmy tam trochę... psiakrew.... – zgryzła w ustach przekleństwo, widząc jak Clovis zdążył już ruszyć truchtem ku obozowiskom.

- Jeśli już nie mogę spać – uśmiechnął się kącikiem ust – to chociaż nie pozwól mi się nudzić.

- Przy mnie ludzie rzadko się nudzą – powiedziała z przekąsem – Tamten – wskazała ruchem głowy wartownika, spacerującego przy świetle błękitnej, mineralowej latarni. Wergund potwierdził skinieniem i sięgnął do kaletki po strzałkę do dmuchawki. Odczekała, aż trafiony spłynie na ziemię i podbiegła, zgarniając latarenkę, broń i drobiazgi, które miał przy sobie. Upewniwszy się, że paraliż ustępuje, przejechała bezbronnemu wartownikowi nożem po policzku i barku, upewniając się, że

wrażenie, gdy tylko będzie mógł. Odbiegli kawałek, odczekując na alarm, ruszyli dopiero kiedy zaalarmowani krzykiem towarzysza Qa podbiegli do wartownika. Potem nastąpiła znana im doskonale, ćwiczona od kilku dni sekwencja gonitwy wokół obozowiska, tym razem przerywana z ich strony nerwowym zerkaniem w kierunku blokady, gdzie elf zmagał się z zaklęciem blokującym wejście na ścieżkę.

Zamierzali wycofać się powoli, zostawiając Qa zajętych ściganiem niewidocznego przeciwnika przy własnych posterunkach. Jednak po chwili okazało się, że to nie będzie możliwe, zaklęcie, które Tirianus odblokowywał, robiło zbyt wiele hałasu i światła. Clovis trącił ja łokciem, pokazując bezgłośnie na sakwę, w której nosiła kilka z ostatnich granatów alchemicznych, które mieli. Skinęła głową, wskazując na sporej wielkości ognisko, licznie otoczone przez wymarżniętych wojowników.

- Już! – rzuciła w przelocie, zauważając kątem oka znajomy rozbłysk od strony, gdzie stali Tirianus i Verlan. Zacisnęli dłonie na rękojeściach i skoczyli. Dwóch z grupy przeszukujących zarośla wartowników umarło od razu, dwóch pozostałych powalili na ziemię i puścili się biegiem w stronę przejścia. Musieli się spieszyć, Ylva pamiętała zasadę działania bariery Obręczy – po odblokowaniu zaklęcia było raptem kilka sekund na to, aby znaleźć się po drugiej stronie zewnętrznej warstwy tarczy. Przeskakując przez kolejny wykrot, wyszarpnęła zza paska małe kulki granatów. Po sekundowym namyśle dołożyła jeszcze jeden. Zanim jednak ruszyła do celu, Wergund położył dłoń na jej ręce. Przez chwilę rozmawiali wyłącznie oczyma i gestami w półmroku.

"Daj mi te zabawki, ja to załatwię"

"Nie ma mowy, jesteś zbyt cenny dla nas"

"Jestem nieśmiertelny, pamiętasz? Nic mi nie będzie"

Mimowolnie uśmiechnęła się na jego bezczelny wyszczerz. Poniekąd miał rację, w dodatku nie było czasu. Trącili się jeszcze ramionami, bezgłośnie życząc sobie powodzenia i ruszyli.

Ylva puściła się biegiem wzdłuż zasięku, zwolniła przy grupce snujących się ostrożnie po zaroślach młodych wojowników. Żaden nie wyglądał na maga, właściwie sprawiali wrażenie chłopców dopiero co oderwanych od matczynej chaty. Szkoda, pomyślała, gdy dwóch pierwszych spłynęło po ostrzu jej rapiera. Szkoda matek, które będą płakały po nich, dodała w myślach, szybkim obrotem wchodząc między pozostałych trzech, butem wywaliła latarnię, dezorientując wzrok patrzących. Kolejne dwa szybkie sztychy, trzeci poprawiony nożem. Powoli wycofywała się w kierunku ścieżki, gdy potężny huk postawił na nogi całą okolicę. Przez moment w napięciu wpatrywała się w półmrok, szukając jego postaci.

- Zaraz tu będą, rusz się – usłyszała kpiący głos tuż za sobą. Powinna się zirytować, dała się podejść. Ale roześmiała się tylko. Przy kimś z takimi umiejętnościami nie miała wyrzutów sumienia.

Drogę do ścieżki mieli pustą, wszyscy w obozowisku skupili się na miejscu wybuchu i poranionych tam ludziach, ale jasne było, że ten stan rzeczy długo nie potrwa. Tirianus, ewidentnie zirytowany, majstrował przy rytych na kamieniach symbolach. Verlan spojrzał na nich z wymownym "nic nie poradzę" na twarzy.

- Zaraz będziemy mieli ich na karku – mruknęła Ylva – Widziałam błysk, myślałam, że otworzyłeś.

- Nie wkurwiał mnie – warknął elf, rozcierając zdrętwiałe od zaklęć dłonie – Coś tu się z lekka popsulo. Ktoś majstrował przy tym albo nie wiem, może te ataki magiczne coś zrobiły z barierą, psiakrew, nie znam się na tym. Przydałby się...

- ... Nox? – dokończył za niego Clovis, wskazując na majaczące od strony rzeki kształty – No to chyba mamy gości.

- Nasi? – zainteresował się Verlan. Wergund wymownym gestem podniósł rapier.

- Taaa. Nasi też. Pospiesz się, elfie.

Wyraźnie usłyszeli trzask, a w chwilę potem krzyżane znajomym głosem Emilii zakłęcie, potem wrzask kogoś, rozsmarowanego o skałę. Nieco ciszej słychać było Avain, ale po jej zakłęciach też rozlegały się wrzaski bólu. Całość została także usłyszana przy ognisku, które chwilę temu spektakularnie wysadzili, bo dało się zauważyć kotłowanie, ktoś wrzeszczał pospieszne rozkazy i ku biegnącym już formował się oddział, szykujący się by przechwycić intruzów.

Bez słowa rzucili się w kierunku nadchodzących, niemal zderzając się z Octavianem, który raz po raz odwracał się, by oddać celny strzał. Nox rzucił się biegiem w kierunku bariery, wymijając ich i dopadł do Tirianusa. Większość w grupie była poraniona, Tlilo wyglądała dodatkowo na będącą w lekkim szoku, szeroko otwartymi oczyma wodziła od postaci swoich pobratymców do własnych dłoni, w których trzymała nóż. Tylko Ai była idealnie spokojna.

- Mamy cały oddział na karku! – wrzasnęła Emilia, rozcierając ręce – Jest źle!

- Jest jeszcze gorzej – rzuciła Ylva, wskazując na idącą od drugiej strony przez zarośla grupę wojowników.

- Rzucaj tę mgłę!

- Nie mam many... – jęknęła Avain, patrząc przepraszająco na towarzyszy. Emilia fuknęła gniewnie.

- Jak to nie masz? Stoisz na nogach? To masz!

- Ale... jak rzucę to...

- To cię poniesiemy! – krzyknął Oktavian, wypuszczając kolejną strzałę – Rzucaj!

Biały błysk za ich plecami i trzask iskier oznajmiły, że Nox chyba przełamał zakłęcie blokujące ścieżkę. Qa tez to zauważyli.

- Rzucaj!- wrzasnęli równocześnie Ylva i Clovis, ich głos złął się z inkantacją Avain i wspomagającym zakłęciem Emilii, która posłała w kierunku nadbiegających wyrwany z gruntu skalny szpic, rozszczepiając go na dziesiątki drobnych pocisków. Upiorne krzyki ludzi, poszarpanych skalnymi odłamkami dobiegły ich już spoza gęstego obłoku mgły, który pokrył cały obszar białym kożuchem.

- Zabawne – rzuciła Emilia pół do nich, na wpół do siebie – i na koniec jeszcze przed wejściem do Caer obronił nas szrapnel....

Pomogła Octavianowi zebrać z ziemi zemdloną Avain, Ofiryjczyk otarł jej delikatnie rękawem krew, która puściła się jej z nosa. Ruszyli biegiem.

- Ylva! – Tirianus podbiegł do agentki, a jego ściszony głos nie wróżył nic dobrego – Nie mogłem tego otworzyć... bo było otwarte.

- Co?!

- Zakłęcie było przełamane.

- Ponoć to niemożliwe...

- Chyba, że się zna symbole – dorzucił Nox z drugiej strony – Ylva, Szrapnel musiał wydać nasze "kody" do ścieżek!

Styryjka zatrzymała się gwałtownie, tak że biegnący za nią Verlan niemal w nią wpadł.

- Czekać – uspokoiła i ściszyła głos – Zakłęcie blokujące ścieżkę było ... przełamane?

- Nie. Było w wersji "otwarte" – wytłumaczył zwiadowca – Jakby ktoś wszedł na ścieżkę i nie wiedział o tym, że trzeba zakłęcie zablokować za sobą. Szrapnel mógł tego nie wiedzieć. Albo nie przekazać.

- Czy to znaczy że...? – Clovis nie dokończył zdania, bo wszyscy już zdążyli się zorientować, co to znaczy.

- Zablokowałem zakłęcie, ale trzeba będzie tu wrócić i je zmienić, bo mamy w takim razie dziurę w zewnętrznej barierze – dodał Nox – Ale tak, musimy się spodziewać przeciwnika na tym obszarze. Zwłaszcza, że Szrapnel znał przecież układ symboli na całym obszarze podległym pod fort Estel...

Ylva na chwilę skryła twarz w dłoniach. Pocieszało ją to, że jednak gdyby przeciwnik zdawał sobie tak dobrze sprawę z wagi posiadanych informacji, już dawno szedłby tędy regularny szturm. Tymczasem, pomyślała, wroga chwilowo nie widać...

Pożałowała natychmiast, gdy tylko ta myśl sformowała się w jej głowie, bo od strony czoła grupy usłyszeli wibrujący pełen przerażenia wrzask. Spojrzeli po sobie i natychmiast rzucili się biegiem w tamtą stronę.

Teren, na który weszli, stanowił najbardziej zewnętrzny z licznych pierścieni Obręczy i podobnie jak wszystkie pozostałe składał się z zestawionych w różnych konfiguracjach obszarów grzęzawisk i mokradeł, pełnych modyfikowanych magicznie zabójczo groźnych stworzeń, oraz magicznych i mechanicznych pułapek, zwodniczych drogowskazów, wiodących prosto w obszary śmierci. Gdyby nie elfi przewodnicy, Ylva nigdy nie zdecydowałaby się na przejście przez Obręcz. Nox i Tirianus znali oznaczenia ścieżek, mapę pułapek i cykle ich przemieszczania, sposoby wyłączania zaklęć i niewidoczne przejścia. Znali – jak każdy z wyższych dowódców z Leth Caer.

Jak Szrapnel.

Jednak to, żeby zdrada dawnego przyjaciela otworzyła wrogom drogę przez pułapki Obręczy, wydawało się wciąż nieprawdopodobne. Ileż czasu musiałby mieć, aby wyrecytować wszystkie mechanizmy, hasła, znaki.... Nie miał tyle. Miał jeden wieczór, od momentu, kiedy podał sobie rękę z dowódcą Qa ponad głowami rannych towarzyszy... Nie, raczej opcja, że Qa weszli w Obręcz, nie była możliwa.

Cała ta analiza przemknęła Ylwie przez głowę w ułamku sekundy, kiedy biegła w kierunku, skąd dobiegł ich wrzask i to, co zobaczyła, w sumie utwierdziło ją w tych wnioskach.

Ale to akurat nie rozwiązywało problemu.

Krzyczała Tlilo. Nox i Tirianus na chwilę zostali z tyłu, więc grupa idąca przodem szła samodzielnie. W efekcie skończyło się to tak, jak można było przewidywać. Weszli na grzęzawisko. Cienka warstwa lodu wymieszanego z kożuchem bagiennym załamała się pod ciężarem i jak miękki dywan zsunęło się w bulgoczącą, śmierdzącą toń. Avain, Emilia i Octavian leżąc płasko na tafli lodu próbowali wydostać się z załamującej się pod nimi płyty. Medyczka Qa nie miała takiej możliwości, połową ciała była już w wodzie, szarpiąc się panicznie próbowała uwolnić się od trzymających ją potężnych, burozielonych szczęk.

- Czeka! – wrzasnął Clovis, nie zdążył jednak doskoczyć do Ylvy, która szybkim ruchem zrzuciła płaszcz i wbiegła na łamiący się lód grzęzawiska od przeciwnej strony. Czując, jak ustępuje miękko pod jej stopami, przeszła do ślizgu, w biegu wyszarpując rapier i nóż myśliwski. Stworzenie, które trzymało Tlilo, przypominało aligatora, Ylva wiedziała jednak, że większość mieszkających tu stworzeń, to zmodyfikowane celowo potwory. To zachowywało się przynajmniej jak aligator, więc okręcając się wokół własnej osi w bulgoczącej breji usiłowało oderwać ofiarę od podłoża, wciągnąć w wodę i utopić. Styryjka wbiła się w tę szamotaninę najpierw butem, odpychając Tlilo i pchając sztych rapiera tak, by nie zranić dziewczyny. Mierzyła w rozwarte szczęki gada. Ostrze przejechało jej po nodze, ale zamiast w trzewia gadziny wyszło bokiem, przebijając na wylot policzek stworzenia. To szarpnęło się mocniej, potężny ogon, który wcale nie przypominał ogona aligatora, uderzył Ylvę w bok głowy, spychając do wody. Nie puszczając rękojeści rapiera, spięła się, odepchnęła nogami i lewą ręką wbiła nóż w podgardle potwora. Ostrze miecza, na które tym samym napała, rozorało skórę policzka, zmuszając do wypuszczenia ofiary. Lodowata ciecz przedarła się przez warstwy ubrania, spinając organizm, Ylva wyrwała rapier i nóż, podkurczyła nogi, aby odbić się od cielska aligatora i wybić na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza, odbiła się.... i zamiast ruszyć w górę, wiznęła bezsilnie, zatrzymana ogonem, który okręcił się wokół jej szyi. Breja wypełniła jej nos i usta, przez chwilę zabrakło jej powietrza. Na oślep uderzyła płaskim cięciem, ale niezbyt mocnym, woda i jakieś rośliny hamowały klingę, szarpnęła się z całych sił, ostrze trafiło na coś, poczuła powietrze na twarzy i spróbowała nabrać oddechu, ale wypluła tylko wodę.

Przed oczami zamajaczyły jej czerwone plamy. A potem zrobiło się ciemno. I zimno.

Kiedy się umiera, jest zimno?

Nadchodzą. Uważaj.

Na drugim brzegu Ai unosi ręce, zza jej pleców skacze do wody olbrzymi jaguar. Ponad nią rozpościera się misterna siateczka minerałowych rozbłysków.

Coś ty zrobiła, chcesz zginąć?!

Vegliadengne maiestad Wergundiae... Będę ją nosił z dumą, uśmiecha się Clovis tym swoim zaczepnym uśmieszkiem, zapinkę, którą mi dałaś poprzednio, zgubiłem gdzieś.

Wstawaj, nadchodzą! Są na terenie Obręczy! Z pajęczyny minerałowych ornamentów wychodzą wojownicy uzbrojeni w obsydian i żelazo. Walcz!

Emilia skanduje zakłęcie, kolejna skała rozbryzguje się w drobiazgi, tworząc krwawą miazgę wraz z rozerwanymi na strzępy ciałami. Potężnej budowy wojownik z emblematami jaguara zaciska dłonie na skroniach Szrapnela, krzycząc "po co?", w jego duszy widać pożerającą go rozpacz. Dziewczyna imieniem Huoxeni płacze, przyciskając do piersi szmatkę, pozostałości ubrania, które podał jej Clovis. Czarnowłosa urodziwa kobieta ociera z czoła pot, dłonie w rękawiczkach ma umazane we krwi, trzyma w nich skalpel i malutkie szczypczyki. Jeszcze chwila, mówi. To sie musi udać.

Nadchodzą!

Walcz!

Gwałtowny spazm szarpnął nią, wypluła z rozmachem wodę, próbując oprzytomnieć. Czyjeś ręce szarpnęły ją ku górze i przytrzymały, oparła się więc na nich, nie mając siły, żeby się odwrócić.

- Coś ty zrobiła, chcesz zginąć!?- usłyszała nad sobą wściekły głos Clovisa – Czy to zawsze musisz być ty, zawsze musisz się narażać pierwsza? Kiedy właśnie ty musisz... – podniosła się lekko i spojrzała ze zdziwieniem na jego twarz – musisz przeżyć... – dokończył ciszej, pomagając jej usiąść – Trzeba to zdjąć z ciebie, bo zamarzniesz...

Wypluła resztkę wody i wycharczała z trudem:

- Nie teraz... Nadchodzą...

- Co?

Nie będąc w stanie odpowiedzieć, wskazała tylko ręką, którą wciąż zaciskała na myśliwskim nożu, kierunek. I sama spojrzała, wbrew temu, czego się spodziewała, nie zobaczyła tam Ai, dostrzegła za to siateczkę minerałowych rozbłysków. Clovis także je dostrzegł.

- Idą! – wrzasnął, podrywając się. Na drugim brzegu trzęsawiska Emilia zostawiła w rękach Octaviana trzęsącą się Tlilo i wyprostowała się, wyciągając ręce w kierunku nadbiegających przeciwników. Zagłuszając skandowaną inkantację, spod warstwy torfu i błota wyłonił się obscenicznie wysklepiony kawał bazaltowej skały, poderwany ku górze mocą magiczki pomknął w kierunku, z którego nadchodzili Qa. Z głuchym tąpnięciem uderzył w ziemię gdzieś za linią zarośli, po czym usłyszeli ogłuszający huk, a potem potępieńcze wrzaski ludzi, trafionych odłamkami pękającej skały.

Emilia strzepnęła nadgarstki.

- Więcej nic nie rzucę! – krzyknęła, podnosząc Tlilo – W nogi, może ich zgubimy we mgle!

- Możesz biec? – Clovis poderwał Ylvę na nogi, zgarniając przy okazji z ziemi jej płaszcz.

- Mam inne wyjście? – wyszczękała zębami, usiłując poruszyć zmarzniętymi palcami na rękojeści rapiera. Puścili się dzikim biegiem w kierunku pozostałych, nad ich głowami Nox i Octavian oddali jeszcze salwę z łuków, a Avain poprawiła kłębem gęstej mgły.

- Tędy! – wrzasnął Tirianus, wskazując coś, co wyglądało, jak ścieżka. Wyskandował jakieś zakłęcie i rzucił przed siebie coś, chyba jakąś plakietkę z symbolem, linia ułożona z czarnych, niewielkich bazaltowych kamieni nagle zaczęła być bardziej widoczna pośród błota i płataniny zarośli.

Biegli przed siebie, raz po raz ostrzeliwując się z łuków i magii, ale za każdym razem okazywało się, że są oskrzydłani z jednej lub drugiej strony. Mieli przeciw sobie przynajmniej kilka dziesiątek przeciwnika. A to, co szło za nimi, to była regularna obława. Na nich. Szanse na wyrwanie się z niej malały z każdą chwilą. Tlilo, poraniona przez aligatora, ledwie biegła, na wpół niesiona przez Octaviana i Verlanę, Emilia także biegła z trudem, nadmierny wydatek energii przy zakłęciach dawał się we znaki, a widoków na to, by miała możliwość pobrać manę, nie było.

- Rozdzielamy się! – rzucił Nox, gdy wpadli w miejsce, w którym ścieżka ewidentnie się rozdzielała. Tirianus przytaknął, odpychając towarzysza w kierunku majaczącej w zaroślach sporej skały.

- Bierz ludzi do skrytki i tam się brońcie, my odciągniemy pościg!

- Za mną! Już! – krzyknął elf, Ylva dała znak Emilii, a ta bez zastanawiania się zakomenderowała;

- Mój oddział, za mną!

Najwyższy czas, przemknęło Ylvie przez głowę, złożyć jej propozycję wstąpienia w szeregi SSW. Octavian, Avain i obie Qa bez zastanawiania pomknęły za Ofiryjką i zwiadowcą. Pozostali spojrzeli po sobie, Clovis wymownie wskazał na sakwę Ylvy.... po czym równie wymownie zaklął.

- Zamoknięte...

- Coś się poradzi – mruknął Verlan, wyciągając z sakwy regularny styryjski ładunek prochowy.

- Skąd to masz.... – stęknęła Ylva, wciąż z trudem mówiąc i plując błotem. Ten się tylko wyszczerzył w niewerbalnej odpowiedzi mówiącej "to już moja tajemnica". Oczekali, aż zza zarośli wyłoni się szereg równo idących Qa. Usłyszeli wyraźnie skrzypienie napinanych cięciw.

- Na ziemię! – wrzasnął Clovis, padając i ciągnąc za sobą Ylvę, której odruchowo osłonił głowę. Verlan padając na plecy, odpalił lont, odczekał, aż sykną nad nimi wystrzelone brzechwy, zerwał się i rzucił.

Huk zgodnie z przewidywaniem narobił zamieszania, wojownicy Qa ruszyli na nich. Cała czwórka poderwała się więc do biegu. Ylva kątem oka dostrzegła jeszcze zarys postaci Octaviana, znikającej za skałami.

- Psiakrew! – krzyknął Verlan, wskazując im kolejny oddział Qa, który wypadł z ich prawej strony, najwyraźniej skryty wcześniej w zaroślach. Odbili w lewo, przebiegając na wariata przez środek zamrożonego trzęsawiska. Za nimi pościg załamał cienką warstwę lodu, dając chwilę czasu, jednak nie była to wielka chwila, a szanse malały.

- Teeeeeer-cjooooos!

Nagły niski krzyk pomiędzy zarośli zelektryzował ich i w momencie, gdy zdali sobie sprawę, co mają przed sobą, prawie krzyknęli z radości. Wśród trzciny i młodych brzoźek załśniły lufy muszkietów, ustawionych w równą regularną linię, na obydwu bokach uzupełnioną przez lżejsze arkebuzki. Rude kapelusze nie odróżniały się za bardzo od zrudziałych liści, więc były znacznie mniej widoczne, za to wyraźnie dało się dostrzec jarzące się wśród bagiennej opary iskierki lontów przy zamkach broni. Tym razem nikt nie musiał wydawać komendy "na ziemię!", wszyscy czworo padli na płasko w momencie, kiedy echem poniósł się znajomy okrzyk:

- Pierwsza! Oooooogna!

Głos dowodzącego utonął w ogłuszającym huku, gdy linia arkebuzów pierwszego szeregu styryjskiej tercji oddała salwę. Spośród wojowników Qa, którzy biegli z pościgiem, na nogach zostało tylko dwóch, z których jednego zgarnął Tirianus zakłębieniem, a drugiego Clovis ostrzem rapiera. Zerwali się i rzucili pędem w kierunku szeregu, z którego słyszeli już kolejną komendę:

- Druuuuuuga!

Wpadli pomiędzy arkebuzów na narożu formacji niemal płaskim ślizgiem, poniżej nastawionych do odparcia szarży ostrzy pik, niemalże równo z salwą z łuków i magii, którą oddali w

kierunku Styryjczyków Qa. Ylva przetoczyła się po ziemi, zderzając z jednym z pierwszej, który oberwał mineralowym wyładowaniem. W locie niemalże przechwyciła muszkiet, chroniąc tłący się lont od upadku w śnieg. Dwa lata na froncie pod Styrgadem w szeregach Gwardii odżyły seria całkiem dobrych wspomnień. Ranny Styryjczyk, widząc, że ktoś przejął jego broń, podał jej jeszcze róg z prochem. Przyklęła, zębami odrywając zatyczkę.

- Ognia!

Druga linia wypaliła i przeszła sprawnie w tył, nie przerywając pierwszej ładowania. Ylva wymierzyła na oko porcję prochu taką, jakiej zwykle używała w swojej starej broni. Jej muszkiet... psiakrew, został w Terali. Dobiła przybitkę z jedwabnej chusty o ciasnym splocie i wcisnęła kulę, zawiniętą tą samą jedwabną otoczką, sprawdzając, czy wchodzi odpowiednio ciasno. Wiedziała, że jak przesadzi z osadzeniem kuli, to zbyt duże ciśnienie wysadzi jej zamek muszkietu, prawdopodobnie z połową twarzy. Odwróciła broń lufą poziomo i dosypała prochu na panewkę.

- Trzeecia!

Zatkała róg trzymaną wciąż w zębach zatyczką i stanęła w szeregu, czekając na komendę. Pomędzy strzelcami stanęli pikinierzy w niskim wykroku wspierając łokieć na kolanie, a dłoń prawej ręki na rękojeści rapiera.

- Ognia!

Przed nimi szereg szarżujących przeciwników wyłonił się z dymu w rozbłyskach błękitnych iskier, kilku strzelców padło na ziemię, powalonych płasko przy ziemi idącym mineralowym wyładowaniem. W ślad za tym w ziemię przed nimi uderzyła seria jakichś pocisków, których pochodzenia nie byli nawet w stanie zidentyfikować. Na flanki czworoboku uderzyli uzbrojeni w macahuitl wojownicy.

- Rapiery na flanki!

Za plecami muszkieterów i arkebuzerów zakotłowało się, część stojących w tylnych liniach pikinierów przeniosła górą ostrza drzewcówki na boki formacji, zaś pomiędzy nimi ustawili się mobilni i szybcy wojownicy, uzbrojeni w rapiery i lewaki. Kątem oka Ylva dostrzegła Clovisa, który dołączył do linii szermierzy, odetchnęła widząc, że jest bezpieczny i skupiła się tylko na broni.

Przyklęła na kolano wraz z linią, do której dołączyła, podparła pozycję, mocno dociskając kolbę do ramienia, przygotowała się na uderzenie odrzutu. Spokojnie wycelowała w wojownika, który był już o mniej niż dziesięć kroków od niej.

- Pieeerwsza!

Osiem.

Siedem.

Sześć.

- Ogniaaaa!

Nacisnęła spust, otwierając usta. Zaświszczało w uszach, znajomy zapach prochu zaświdrował w nosie. Lubiła zapach prochu, absolutnym paradoksem kojarzył się jej z bezpieczeństwem. Obok Styryjczyk wsparty na drzewcu piki wyłapał szarżującego prosto na nią jakiegoś Qa, tamten wrzasnął. Wszystko pokryło się gęstym dymem.

I pograżyło w ciszy.

Pierwsza wycofała się sprawnie poza linię pikinierów, ładując muszkiety, linia szermierzy wyszła przed front, sprawdzając teren. W opadającym dymie widać było ich postaci, w zwartym szeregu przekraczające trupy wojowników Qa, którymi zasłany był rozmoknięty od szarży grunt. Z kilku oddziałów rozpoznawczych dochodziły równocześnie identyczne meldunki:

- Czysto! Wszyscy! – skądś rozległo się – Tu jeszcze dwóch! – ale szybko przestało być aktualne.

- Teercjos! Spocznij! – potężny głos dowódcy rozległ się ponad mokradłami, agentka uśmiechnęła się, słysząc jego znajome brzmienie – Dobra, panie i panowie, broń do nogi, luźny szyk, zachować czujność! Ylva!

- Zajeździecie dobrze cię widzieć, Calid – roześmiała się, padając w objęcia starego przyjaciela – Masz wejście, skubańcu, to ci trzeba przyznać....

- Co ty robiłaś, wybrałaś się popływać? – roześmiał się, widząc jej mokre, a właściwie sztywne odzienie – Trzeba was zwinąć do Estel, bo bida straszna. Nie wiem, jakim cudem ci szmaciarze przeszli przez barierę i w ogóle weszli na ścieżki, musieli złamać...

- Szrapnel ... – pochyliła głowę, właściwie dopiero teraz z całą mocą uderzył ją żal z powodu tej zdrady – Kasztelan Stern zdradził. Podał Qa znaki i zakłęcia prowadzące na ścieżki. Wszystkie trzeba będzie pozmieniać, zmienić systemy i zabezpieczenia....

- Chyba żartujesz.... – gwardzista odstąpił o krok – Stern....?

- Mogę potwierdzić – Clovis wyłonił się za pleców Styryjczyków, wycierając starannie ostrze rapiera, drugą ręką podał Ylwie jej płaszcz, który jakimś cudem cały czas miał zarzucony przez ramię – Ten, którego nazywaliście Szrapnelem, spektakularnie wystawił was, właściwie ich – wskazał na Ylvę - w środku potyczki. Wymigali się od śmierci o bardzo malutki włos.

- Więc to jest twój nieśmiertelny Wergund – domyślił się Calid i wyciągnął do Clovisa dłoń – Słuchałem o tobie całą drogę z Laro do Caer – uśmiechnął się, ściskając wyciągniętą odwzajemnionym gestem prawicę Wergunda. Ten uśmiechnął się także półgębkiem, zerkając z wyrzutem na Ylvę.

- Współczuję zatem – skwitował – Reszta naszych jest.... – chciał wskazać na skałki, które Nox nazwał skrytką, ale od tamtej strony widać już było biegnących w ich stronę towarzyszy. Calid znieruchomiał patrząc w tamtym kierunku, Ylva uśmiechnęła się i powstrzymała gestem dalsze słowa Clovisa. Dowódca gwardzistów bez słowa ruszył w kierunku nadchodzących, co najmniej jakby za ich plecami czaiło się kolejne zagrożenie. Minął jednak bez słowa Noxa i Tlilo, wyhamował dopiero przy następnej postaci. Zdjął kapelusz, jasne włosy związane w bezładny kucyk, opadły mu kosmykami na czoło.

- Emi...

- Calid...

Zatrzymali się o krok od siebie, jakby z nagłą przedzieliła ich szklana ściana. On skłonił się pełnym szacunku ukłonem.

- Martwiłem się....

- O mnie? – uśmiechnęła się z dystansem Ofiryjka, on odwzajemnił uśmiech, ale znacznie cieplej.

- O ciebie? Skądże. Tylko o tych, którzy ci staną na drodze. Ech... – roześmiał się nagle – Na litość Bogini...! – szklana ściana pękła, gwardzista wypuścił z dłoni kapelusz, który pacnął na błoto. Jednym błyskawicznym ruchem doskoczył do kobiety, zanim zaprotestowała, objął ją w tali podnosząc lekko do góry wtulił twarz w jej włosy. Znad jego karku, który Emilia objęła ramionami, Ylva dostrzegła kilka iskier magicznego wyładowania, najwyraźniej załączka zakłęcia, które magiczka już szykowała by wpakować mu w którąś część ciała. Ale się rozmyśliła.

Trwali tak przez chwilę, uprzejmie ignorowani przez całą resztę obydwu oddziałów, wcale nie spiesząc się do powrotu z tego wydzielonego nagle ich własnego międzyświata, o którym wiedzieli, że ma stabilność mydlanej bańki, a jednocześnie że oboje nie mają niczego cenniejszego w całym ich życiu.

- Mamy rannych – mruknęła mu w końcu do ucha. Odsunął lekko jej twarz, jakby chciał sprawdzić, czy nie mówiła o sobie. Nie mówiła. Odgarnął jej znad czoła rudawe kosmyki palcami osmalonymi ładunkiem prochowym i klejącymi od krwi.

- Wiem – uśmiech wciąż nie schodził mu z twarzy – Idziemy do Estel.

Tlilo była zbyt oszołomiona, żeby reagować składnie na to, co się wokół niej działo. Grzęzawisko, w które wpadła, skostniałe, lodowato zimne ubranie, wysiłek mocno ponad jej siły, a potem dygotanie z zimna w ukryciu przed jej własnymi rodakami. Coraz trudniej przychodziło jej poukładanie tego w umyśle, znalezienie się i zrozumienie, co powinna zrobić.

- Nie miej wątpliwości – głos w jej umyśle miał kolor błękitu. Podniosła wzrok i spojrzała prosto w chłodne oczy Ai.

- To twoi wrogowie – powiedziała szamanka już normalnym głosem – Wiem, mogą budzić sympatię, ale zabijają twoich braci i będą to robić, zawsze to robili. Nigdy nie będzie pokoju pomiędzy ludem smoka a nami.

- Ale... – Tlilo przejechała wzrokiem po twarzach gwardzistów. Muszkietierowie, pikinierzy, zawiadacko zawinięte rondo kapeluszy, twarze osmalone prochem i zmęczeniem, oczy patrzące bez lęku... Absolutnie inni niż ci Styryjczycy, których widziała w Tecuitla. Tamci byli po długich miesiącach niewoli, zmęczeni, złamani, chociaż ich oczy patrzył tak samo, jak tych tutaj... Pamiętała oczy tamtego gwardzisty.... Pamiętała jego imię.

Evret.

Pamiętała, jak po nadgarstkach Aczi ściekała krew, którą wyrwane z piersi wojownika serce wciąż pompowało, jakby nieświadome, że to już koniec. Patrzyła na ludzi, którzy nie okazywali jej wrogości, choć patrzyli ze zdziwieniem na jej obecność w uratowanym oddziale.

- Tamto było konieczne – szept Ai dotarł do jej umysłu z ostrością świetlnego promienia – Musisz to zrozumieć! Krew ma wielką moc, a bogowie potrzebują naszej pomocy, potrzebują ofiary krwi! Aczi to wiedziała, a ty, Tlilxuchitl, musisz dopiero to zrozumieć! Idziemy pomiędzy wrogów nie bez powodu!

- Ai... – szepnęła – Mogłaś patrzeć dzisiaj, jak umiera ta Styryjka, która mnie uratowała... Po co wysłałaś za nią jaguara?

- Bo ona jest nam potrzebna żywa – padła szybka odpowiedź - Już wkrótce, nie martw się. Sidła już założone. To, czego nie dały rady elfy, my zrobimy bez mrugnięcia okiem. Ale ty... Skup się na zadaniu. Skup się na obowiązku. I na tym Wergundzie. Zanim się zacznie, on musi być twój.

- Ale...

- Bez ale – oczy szamanki zalśniły bielą, Tlilo odruchowo cofnęła się o krok – On jest kluczowy w tym wszystkim. Resztą zajmę się ja.

Drewniane, potrójne ostrokoły fortu Estel odcinały się wyraźnie na tle czarnej linii lasu. Na dziedzińcu płonęło kilka ognisk, przy których styryjscy gwardziści i elfi zwiadowcy dzielili się opowieściami ze stoczonych dzisiaj bitew. Rozjarzony ogniami fort wydał się Ylwie zbyt wystawiony na ostrzał i atak, dopiero dwukrotna wycieczka po terenie przekonała ją, że obrońcy Estel nie są tak naiwni, jak wydawać by się mogło po forticznym dziedzińcu. Wokół fortu, w niezliczonych bunkrach i zasiekach, które obrońcy zwali "skrytkami" rozłożone były patrole i niewielkie oddziały, dysponujące magią i żelazem. W razie mocniejszego szturm w każdej chwili gotowa była do wymarszu gwardia styryjska, a oddziały zwiadowców bezustannie krążyły po całej okolicy. Ylva upewniła się, że "kody" ścieżki, czyli zaklęcia i symbole, pozwalające wejść na ścieżki od strony zewnętrznej bariery, zostały zmienione. Do Caer zostały wysłane wezwania po magów i kapłanów, którzy mieli przestawić cały system ochrony w tym miejscu, zabezpieczyć i zneutralizować zagrożenie, które przyniosła zdrada kasztelana.

Dopiero po tym odważyła się zasnąć.

Ale sen nie przyniósł jej odpoczynku. Błądziła wciąż wśród majaków, szarpających emocje, powodujących krzyk albo płacz, albo zrywających na równe nogi z nożem w dłoni. Nic się nie zmieniło, pomyślała, kiedy na w półprzutomna po raz kolejny poderwała się z siennika, przekonana, że musi się bronić. Tym razem we śnie był to towarzysz z SSW, Ernest, którego spodziewała się spotkać jutro, więc skojarzenie jakie wykonał jej umysł, wcale jej nie dziwiło. Nie dziwiło jej już nic, co śniła. Była tylko zmęczona.

Natknęła się na niego niemal natychmiast, gdy wyszła z wartowni, w której spała. Prawie zderzyli się w wejściu. Uśmiechnęła się mimowolnie, znów.

- Herbaty? – wyciągnął w jej stronę kubek z parującym napojem – Zdobyłem normalną herbatę zamiast tego czegoś, co oni tu piją.

- Nie śpisz? – zagadnęła, dziękując za poczęstunek – Tyle się nasłuchiwałam o tym, że chcesz spać, że spodziewałam się nie dobudzić cię przez tydzień...

- A jakoś tak... – mruknął wymijająco, a jego wzrok powędrował w kierunku drzwi na zewnątrz – Ale ty powinnaś się wypaść – dorzucił, wychodząc z sieni na dziedziniec. Odruchowo ruszyła za nim, ale gdy wyszła na zewnątrz wartowniczej przybudówki, już go nie zauważyła, dopiero gdy poszukała wzrokiem wśród ognisk, dostrzegła postać Wergunda nieopodal podcieni palisady.

"Nigdy nie będziesz pewna, czy to, co widzisz, jest prawdą" rozbrzmiało w jej umyśle głosem Ai, przez całą szerokość dziedzińca dogoniło ją spojrzenie zimno-błękitnych oczu poparte ironicznym, pewnym siebie uśmiechem. "Szaleństwo cię dogania, Styryjko. Widzisz to, co twój umysł chciałby widzieć. Nie możesz zaufać sama sobie, dlaczego ktoś miałby ci ufać!"

Zimna mgła unosi się znad trzęsawiska, nieco cieplejsza niż powietrze woda, ukryta pod kożuchem roślinności paruje, roztrącana przez szamoczących się ludzi i sporej wielkości aligatora. "Ylva, nie!" krzyczy Clovis, usiłując powstrzymać biegnącą po lodzie postać. Płyta załamuje się pod nim, zmuszając do odwrotu z tafli. Uniesione czyjeś ręce emanują pajęczyną minerałowych wyładowań. Olbrzymi jaguar roztrąca zarośla, z chlupotem wbija się w wodę, jego potężne szczęki łapią gada i unieruchamiają, pozwalając wydostać się utrzymanym przez niego ludziom.

...

- Ylva! – głos Noxa przywołał ją do przytomności – Wszystko w porządku?

- Jasne – spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Przy sąsiednim ognisku Clovis głośno roześmiał się, wpatrzony jak w tęczę w opowiadającą coś Ai, wygiętą w teatralnie prowokującej pozie.

- Powiedziałaś jej, że ma piękne oczy i przestała cię bić? – usłyszała głos Verlana – Też kiedyś spróbuję.

Obejrzała się. Noxa nie było.

Oparła się o ścianę, kryjąc twarz w dłoniach. Może to po prostu zmęczenie. To na pewno cholerne zmęczenie! Niewyspanie powoduje te majaki, nic więcej.

- Tracisz czujność.... – znajomy głos zabrzmiał inaczej niż wszystkie przed chwilą, realniej, jakby tamte dobiegały zza ściany.

- Lothel...

- Dawno się nie widzieliśmy, Styryjko.

- Nie, to ja nie widziałam ciebie – uśmiechnęła się ironicznie – Nie wątpię, że musiałeś mnie widzieć, kiedy twój cesarz postanowił zorganizować polityczną licytację o swoje względy, popartą balem w domku myśliwskim.

- Nie musiałaś do niej stawać – postać elfa rysowała się tylko czarnym kształtem na tle jeszcze ciemniejszego lasu.

- Musiałaś – odpowiedziała – Ale to nieważne w tej chwili. Waszą wyśnioną neutralność chyba szlag trafił, co?

- Nic o tym nie wiesz.

- Coś tam wiem. Liczyliście na Laro, stąd te wygibasy z ambasadorką. Ale oni nie będą zbyt skorzy do pomocy, chyba, że El zrobił na ambasadorce większe wrażenie niż sądziłam. Póki co na moje szczęście wasi ludzie stanęli po właściwej stronie i trudno wam będzie teraz się wykręcić.

- Myślisz, że postawiłaś nas w sytuacji bez wyjścia...? Ylvo, jesteś jednym z najlepszych ludzi wywiadu, jakich znam, ale nie pchaj się do polityki, bo się na tym nie znasz – elf mocno starał się zamaskować irytację, ale miała okazję go nieco poznać, potrafiła rozpoznać odcienie jego głosu.

- Niech będzie zatem, że się nie znam – uśmiechnęła się pojednawczo – Wcale nie wykluczam, że zobaczę jeszcze idące od wschodu hufce huanu Takawai. Ale póki co... Widziałam dzisiaj kapłanów Silvy, naprawiających Obręcz, ciekawi mnie jakim cudem, a konkretniej jaką mocą. Sanktuarium?

- Wasi ludzie są w trakcie. Tak, przekonałaś go. Sanktuarium powstanie w ukryciu i będzie wspierać obronę Caer, ale oficjalnie musimy zachować neutralność.

- To pierwsza dobra wiadomość od wielu dni – uśmiechnęła się z ulgą – Posłuchaj.... Muszę z nim porozmawiać. Osobiście. Bez świadków. Sprowadziłam tego człowieka, sprowadziłam go do Caer, a to oznacza, że wielu będzie chciało się do niego dobrać. On stanowi broń... sam w sobie. Chcę, żebyście go ochronili. Przed lomin'yaró. Przed Qa. I przed SSW – pytające milczenie zwiadowcy było samo w sobie odpowiedzią – Nie chcę wiele, chcę gwarancji jego bezpieczeństwa. A co w zamian, to już ustalę z nim.

- Bezpieczeństwa.... dobre sobie – usłyszała w odpowiedzi – Bezpieczeństwa nie jesteśmy w stanie w tej chwili zapewnić nikomu, z samym cesarzem włącznie.

- Dobrze, bez taniej retoryki – fuknęła – Po prostu mnie z nim umów.

- Załatwione.

- I dobrze. Tej Qa zapewnijcie na razie opiekunów, im obydwu zresztą. Poproszą o dostęp do laboratorium, niech im zostanie udostępnione, ale cały czas niech ktoś im patrzy na ręce. Żadne zakłęcie, żaden rytuał, któremu go poddadzą, nie może być bez kontroli. Rozumiesz....? Potem, jak już dogadam się Elidisem, zorganizujemy to składowiej. Ale na razie na tych pierwszych kilka dni...

- Załatwione – powtórzył zwiadowca – I tak byśmy nie spuszczali ich z oczu.

- Naprawicie Obręcz?

- Już to robimy. Zdrada Sterna naprawdę dużo nas kosztowała. Te oddziały, które rozniosła Gwardia, to tylko część tego, co wtargnęło na teren Obręczy. Resztę wyłapujemy.

- Całe szczęście. Czekam na sygnał.

Lothel skinął głową i zrobił krok w jej stronę, pozwalając wreszcie dostrzec swoją twarz. Przybyło na niej kilka blizn, ale poza tym niewiele się zmienił.

- Dobrze cię widzieć, Ylva – uśmiechnął się ciepło, obejmując ją za ramiona udawał że nie widzi dłoni, blisko przyłożonej do ukrytego pod kaftanem jedno z wielu noży – Naprawdę, mimo wszystko niewielu ludzi jest tutaj milej widzianych niż ty.

Odwzajemniła uścisk z lekkim dystansem. Mimo wszystko. Z uwagą obserwowała, jak postać elfa oddala się pomiędzy zabudowaniami fortu. Bardzo zależało jej na stwierdzeniu, czy czasem jednak nie śni.

Nie śniła.

Laboratorium umiejscowiono pod ziemią. W terenie, na jakim leżało Leth Caer, nie było to ani łatwe, ani oczywiste, miękkie osadowe ily na każdym kroku wymagały szalowania. Każda piwnica w mieście była tak naprawdę drewnianą skrzynią osadzoną w błocie. Pleśń, grzyby, robactwo – bywały naprawdę uciążliwe dla mieszkańców, dlatego paradoksalnie fala niezwykłych mrozów, które nadeszły na przełomie roku 15 i 16, całkiem ucieszyła elfów i ludzi z Leth Caer.

Tlilo też właściwie cieszyła, zwłaszcza od kiedy skończyła się ich szaleńcza podróż, po której zostały jej głównie potężne blizny na kościach biodrowych, pamiątka po szczękach aligatora. Nawet jeden dzień pozwolił jej wypocząć i zacząć logicznie i spokojnie myśleć. I obserwować.

Wszystko w mieście było dla niej inne i nowe. Nigdy wcześniej nie widziała miast elfów ani ludzi północy. Żyło takim samym rytmem jak wszystkie większe skupiska ludzkie na świecie, ale wszystkie detale codziennego życia były dla niej fascynujące. Jednocześnie wiedziała, że Ai obserwuje ją bezustannie, więc starannie dobierała miejsca i ludzi z którymi rozmawiała. Nie miała w tym zresztą żadnej swobody, bo przydzielona im elficka eskorta nie odstępowała jej ani na chwilę, śledząc i kontrolując każdy jej ruch.

Tym razem przebiegła przez główny plac zatem nieco bokiem, spiesząc się na wezwanie swojej zwierzchniczki. Ktoś krzychał coś, stojąc na wysokim podwyższeniu, i uwagę medyczki zwróciło tylko imię "Nox" które kojarzyła. Tak miał na imię ich elficki przewodnik, który przeprowadził ich przez Obręcz.

- Za złamanie rozkazów i – słyszała może co piąte, szóste słowo - ... skazany zostanie na śmierć przez powieszenie....

Zapewne Nox jest tu popularnym imieniem, pomyślała, przechodząc w jedną z mniejszych uliczek. Przecież niemożliwe, żeby wyrok dotyczył tamtego elfa...

Zastała szamankę pochyloną nad księgami. Zejście do laboratorium było ufortyfikowane jak księżący skarbiec i Tlilo podejrzewała, że pomimo oblężenia jest to jedno z najlepiej obstawionych wojskiem miejsc w tym dziwnym, fascynującym mieście. Oprócz Ai w pomieszczeniu bezustannie asystował im ktoś, najczęściej byli to magowie światła z Caer, rzadziej styryjscy psionicy.

- Tlilxuchitl – odezwała się Ai znad sporej wielkości deski, służącej im za tymczasowy stół na dokumenty – Sprawdź proszę ile kryształów osadziło się na próbkach 8 i 9, nie miałam czasu sprawdzić. I... – zawiesiła lekko głos, Tlilo doskonale wyczuła tę modyfikację. Instynktownie wyczuwała, o co chodzi szamance – nasz bohater powinien już skończyć medytację, zechciej przerwać mu tę czynność i ...

- Jasne – rzuciła, nie czekając aż szamanka skończy. Zerknęła szybko na to co leżało na stole, rysunki, plany i mapy. Ai szukała starego laboratorium dawnych Qa, które miało być ukryte na bagnach. Podskoczyła do drugiego stołu, tym razem wykonanego z precyzyjnie szlifowanego kamienia, zdobionego na krawędziach misternymi elfimi wzorami, wykonanymi tak, by stół nadawał się do bezproblemowego czyszczenia.

- Kryształy z ósemki są matowe – powiedziała, wyjmując nitkę z osadzonymi na niej malutkimi drobkami Minerale – Dziewiątka też, Ai, ten skład się się nie nadaje....

- Skoryguj o kolejną dawkę i załóż nowe hodowle – mruknęła Ai znad mapy – I idź do...

- Tak, już – przerwała z lekką niechęcią. To nie to, że go nie lubiła. Jakas nitka sympatii związała się między nią a Wergundem już dawno, gdy poznali się w opowiadany dziesiątki razy przy ogniskach sposób. Ale czuła, że Ai dążąc do podporządkowania sobie psychiki wojownika będzie chciała użyć jej, użyć właśnie tej obecnej między nimi sympatii, a taka manipulacja budziła jej sprzeciw i niechęć. Ai tłumaczyła to koniecznością wyłączenia psychicznych mechanizmów obronnych Wergunda, bez czego żadne szkolenie psychiki nie mogło się udać. Rozumiała. Ale nadal jej się to nie podobało.

Clovis bynajmniej nie spał, tak jak się spodziewała. Jego czujny wzrok przywitał ją zaraz na progu pokoju, do którego Tlilo musiała wyjść na górę budynku. Uśmiechnęła się na powitanie i udała że nie widzi ostentacyjnie położonej na rękojeści rapiera dłoni. Ciekawe, pomyślała, czemu ma broń taką, jak Styryjczycy, skoro podobno nim nie jest.

- Zdobyłem ją.

- Co...?

- Tę broń.

- Słyszysz co myślę...?? – otworzyła szeroko oczy i usiadła tuż przy nim. Cofnął się lekko.

- Od jakiegoś czasu.

- Jakim cudem...?! – podeszła jeszcze bliżej, ignorując z czysto medyczną ciekawością względy prywatności i własne zakłopotanie – Nie masz żadnych innych objawów, do drugiej śmierci jeszcze daleko – podniosła jego twarz ku górze, przyglądając się dokładnie tęczęwce oka. Z jednego z dokumentów pamiętała, że przy zbliżającym się czasie przejścia pojawiały się ciemniejsze żyłki, ale w ciemnych oczach Wergunda trudno było jej cokolwiek dostrzec. Clovis odchrząknął zakłopotany.

- Coś nie tak z moimi oczyma...?

- Nie, nie, tylko myślałam... Słyszysz tylko moje myśli...?

- Tak – przyznał – Twoje i Ai. To pewnie ma coś wspólnego z tą medytacją...

Cholera, pomyślała, jesteś tak diabelnie bezbronny w jej rękach. Usłyszał.

- Sprecyzuj...

- Myślę – powiedziała całkiem szczerze – że Ai mogła to uruchomić w twoim umyśle, żeby ułatwić porozumiewanie się przy medytacji. Więc... – nie wytrzymała presji spojrzenia i postanowiła zmienić temat – ta broń, ten macahuitl, to styryjski? Walczyłeś więc z nimi?

- Mhm – uśmiechnął się, całkiem zadowolony z zainteresowania, jakie okazała mu medycza – Przed wojną z wami.

- Ale teraz... wyglądacie, jakbyście byli przyjaciółmi. Ty, Ylva, tamci co strzelali...

- Taaaa – zawahał się – Przyjaciółmi... Nie, raczej nie – świadomie zmniejszył rangę tej znajomości - Właściwie po prostu się znamy. Styryjczycy to dzielni ludzie. Uparci. Nigdy nie odpuszczają...

Tlilo usiadła. W miarę tego, jak Clovis mówił, przed jej oczami zaczęły przesuwać się obrazy. Równe szeregi pikinierów, tarczownicy, o których nie mogła wiedzieć, że są dakońską piechotą, huk wystrzałów, łomot tarcz. Gdzieś wśród tego chaosu ręka zacisnęła się na rękojeści rapiera, pięknego, z ozdobną koszową gardą.

- Widzę twoje myśli – szepnęła, podekscytowana zjawiskiem, prawie podświadomie chwytając go za rękę. Nie cofnął dłoni tym razem.

- Wiem – mruknął – Więc co chcesz wiedzieć? O Styrii?

Znów przed jej oczami przewinęła się cała seria obrazów ludzi i miast, wojowników, szeregów rozkwitających dymami wystrzałów. I twarz Ylvy. Dużo młodszą niż ta, jaką ją poznała, ale zmęczona i poraniona. Noc, kolumna więźniów.

- Była waszym więźniem...?

- Mhm. Wariatka, dostała się dobrowolnie do koloni karnej, dawne dzieje – myśli Wergunda popłynęły luźnym strumieniem, obracając się w szereg obrazów. Osada Krevaina, jaskinia, walki z ludźmi Szamanki, odejście towarzyszy, lata samotności, cel, walka. Tlilo przyglądała mu się z fascynacją. Aż wreszcie w umyśle zobaczyła Aczi.

Zerwała się niemal z krzykiem. Ale obrazy płynęły dalej. Styryjczycy prowadzeni na dziedziniec. Dumny wzrok, którego nie opuścili przed majestatem teupixqui. W oczach Clovisa, którymi Tlilo właśnie spoglądała, ukazywali się niemal jak najbliżsi przyjaciele, choć przecież ich nie znał, ale byli z północy, byli ... W obrazie, który podsuwała jej telepatyczna zdolność, widziała, jak szuka wśród nich znajomych twarzy, jak szuka ze strachem twarzy Ylvy.

- Zabiłeś moją przyjaciółkę... – szepnęła, czując, jak łzy zaciskają jej gardło. Puściła jego rękę, nie chciała patrzeć dalej, wiedziała, co tam będzie. Krwawe strzępy bijących serc, krew kapiąca do rytualnych mis, śmiertelny charkot rozrywanych gardła.

- Dość... – Clovis wstał i po chwili namysłu podszedł do niej i z wahaniem objął rozdygotane od płaczu ramiona dziewczyny – Nie będę cię przepraszał, bo nie żałuję tego, że ją zabiłem. Rozumiem twój gniew. Ale spróbuj zrozumieć mnie.

Wyrwała się spod jego ramienia, ocierając wierzchem dłoni oczy, pokręciła głową, jakby niedowierzała.

- Ja... nie mogę...ona... ech! – wybiegła z pokoju, próbując uspokoić nerwy i szarpiące nią łkanie. Nie rozumiała, a raczej nie mogła zaakceptować tego, co właśnie zaczynała rozumieć. Ich racji. Ich odczuć. Ich świata.

- Tlilxuchitl! - poważny głos szamanki zatrzymał ją na miejscu. Były same w przedsiionku domu – Co tam się stało?

- Ja.... – medyczka załkała trochę nieskoordynowanie, wzięła głęboki wdech – Wszystko w porządku...

- Tlilo.... – głos Ai złagodniał – To przez tę telepatię, tak?

- Zobaczyłam.... kogoś mi bliskiego... – powiedziała, próbując panować nad głosem – Ja nie wiem, czy potrafię...

- Posłuchaj mnie dziewczyno – powiedziała poważnie szamanka – Musisz dobrze zrozumieć, po co tu jesteśmy...

- Powinam, ale wciąż nie rozumiem! Szukasz tamtego laboratorium? Chcesz znaleźć dawną wiedzę, zapanować nad tym człowiekiem...? Chcesz zemsty...? Myślałam, że chciałaś trzymać się z daleka od tej wojny...

Niespodziewanie oczy szamanki zaciągnęły się błękitnym blaskiem, gdy poważnie spojrzała na towarzyszkę. Na błękitno rozjarzył się także misterny tatuaż i biżuteria z Minerálu.

- Nikt nie jest z daleka od tej wojny. Zdarzyła się wyjątkowa szansa aby wejść w środek ich twierdzy, pomiędzy nich, bezpiecznie, więc to podjęłam, ale jeśli trzeba będzie to ich zniszczę...

- Ai...! – szepnęła medyczka – Kim ty jesteś...?

Błękitne wyładowania przeskoczyły po palcach szamanki.

- Posłuchaj mnie, Tlilo. Są trzy priorytety tutaj, wszystkie prowadzące do jednego celu. Gdzieś pod tym miastem jest laboratorium, w którym pracowali nasi ludzie, zanim nasz lud Zapomniał. Tam musiała zostać olbrzymia wiedza po nich. Póki co wiedza o Istotach pozwoliła nam wypuścić na front Nieśmiertelnych, dzięki którym wygrywamy wojnę. Nie możemy dopuścić do tego by stracić kontrolę nad tą wiedzą. Ten człowiek- wskazała gestem ku pokojowi Clovisa – jest kluczem do kolejnego stopnia wiedzy. I musi być nasz. A ta kobieta jest trzecim składnikiem. Ylva. Jest zarażona i wkrótce ulegnie szaleństwu. Jej umysł już poddaje się, obciążony przez uczucie, nad którym ona nie panuje. A jej umysł jest unikalny... Ale to już załatwione.

- Skąd wiesz to o wojnie, Ai.... – oczy medyczki robiły się coraz większe w miarę słuchania. Szamanka przekrzywiła głowę jak patrzący na nią kot, zmrużyła oczy.

- Oj Tlilo... przepraszam, nie o wszystko pytam wprost, ale część rzeczy wyczytałam w twoich myślach.

- Faktycznie... – mruknęła cicho – Wybacz mi. To po prostu strasznie dużo dla mnie. Muszę to wszystko... poukładać. Ja... pójde odetchnąć na chwilę, a potem wrócę do kryształów.

Nie czekając na odpowiedź towarzyszki Tlilo przeszła w kierunku holu, minęła elfa, który niemal natychmiast ostentacyjnie ruszył za nią. Kątem oka złowiła cień drugiego, który nie chciał być widziany, zignorowała to. Wybiegając na plac minęła piękne, kamienne portale, o innej porze pewnie pokryte kwiatami wisterii, teraz smętnie zwisającymi w zasuszonych kiściach, urocze rzeźby i balustradki na mostku, który łączył dwa brzegi kanału. Zatrzymała się na tym mostku i dopiero po chwili zorientowała się, że stoi na czymś co jest elementem architektury obronnej miasta. Mostek był przygotowany do podniesienia tak, że utworzyłby przyczółek po dowolnej stronie kanału.

Tacy są, pomyślała, oni, ludzie północy, zdolni do dostrzegania piękna, zdolni do jego tworzenia, ale wciąż gotowi do walki. Nie są bestiami mordującymi bez powodu. Nie są barbarzyńskimi mordercami... Nie są...

Kim ty jesteś, Ai... pomyślała, chowając twarz w dłoniach. Czytasz w moich myślach...? Tylko, że ja nie miałam pojęcia o żadnych Nieśmiertelnych.

Przez dłuższą chwilę patrzyła w leniwy nurt wody pod mostkiem.

Podjęła decyzję.

W sakwie, w której zawsze miała podręczne medykamenty, znalazła dobrze zawiązany woreczek. Kulczyba wronie oko była krzewem wiecznie zielonym, dość rzadko występującym, była też jedną z najsilniej trujących roślin, jakie Tlilo знаła, choć w mniejszych dawkach także niezwykle przydatnym w lecznictwie. W małym woreczku mieściła się sproszkowana mieszanka wysuszonych owoców i kory, dosypana do napoju mogła zabić kilkadziesiąt osób. Medyczka zgarnęła dłonią kulkę śniegu i rozpuściła ją w palcach. Kilka kropel wody delikatnie opuściła na małą szczyptę pyłu z woreczka i ostrzem małego nożyka rozmieszała tworząc papkę. Dyskretnie obserwowała elfa.

Wyjęła z kołnierza kilka usztywniających szpilek i umazała je w preparacie, podobnie jak ostrze owego nożyka, które zawinęła w szmatkę i schowała pod klapę sakwy. Wciągnęła powietrze jak przed skokiem do wody. Wiedziała, co musi zrobić.

Zdecydowanym krokiem ruszyła przez mostek w upatrzony, zacieniony zaułek. Elf ruszył za nią.

Ylva lubiła Caer. Było zawsze azylem dla bliskich jej osób, miejscem, o którym myślała jak o oazie spokoju wśród burzliwego świata, miejscem, gdzie wychowali swoje dzieci Lylian i Keithen. Miejsce, dokąd w razie czego będzie mogła uciec.

Wojna dogoniła ją także tutaj.

A może to ty przyniosłaś tu wojnę?

Wypad z mojego umysłu, warknęła sama na siebie, a może na głos w swojej głowie. Czuła bardzo dojmująco, że ma mało czasu, jakby dotarcie do miasta było tylko etapem, a nie finałem kłopotów. Wiedziała też, że musi wyjść im na przeciw, zagrać jeszcze raz w tę grę, ustawić tor wydarzeń tak, żeby nie obawiać się o każdy swój krok.

I przede wszystkim o niego.

W pokoju, który przydzielono jej na kwatery przed sławnym dyplomatycznym balem, zostały jej rzeczy. Zawieszona na wieszaku czarno-srebrna suknia, na widok której uśmiechnęła się do miłego wspomnienia. Kilka małych nożyków, zapasowy płaszcz, gwardyjski kapelusz. Mała kaletka, w której zostawiła coś. Zawieszkę z medalionem, na którym widniała gwiazda czarnego tymenu i napis "Vegliadengne maiestad Wergundiae". Wieczysta chwała Wergundii. Nie wzięła jej ze sobą w teren, bała się stracić. Teraz delikatnie schowała ją do małej sakiewki na monety. Uzupełniła eliksiry i inne wyposażenie, zamontowane w ubraniu igły, strzałki, druty do garoty. I czekała.

Znaleźli ją na schodach willi.

- Ktoś na ciebie czeka – mruknął mijający ją człowiek, dwa krótkie spojrzenia wystarczyły jej, żeby rozpoznać agenta SSW, stosunkowo młodego, skoro nie umiał panować nad wyszkolonym odruchem trzymania dłoni na sztylcie i wzroku na stopach przeciwnika.

- Kocha to poczeka – odpowiedziała cicho, nieco z przekory. Agent zatrzymał się o stopień powyżej niej, nie zauważając, że stracił z oczu jej dłonie, ukryte pod płaszczem na wysokości swoich kolan.

- Nalegam, pani komandor Darren, to rozkaz – odpowiedział stanowczo zbyt obcesowo i popełnił błąd, wyciągnął rękę by chwycić ją za ramię. Błyskawicznie przykłęknęła, wiedząc, że nie może zrobić tego samego bez wywrócenia się na nią. Spodziewała się kopnięcia, ale na wąskim stopniu nie mógł się zamachnąć, więc bez trudu zblokowała, wystawiając łokieć na jego piszczel z satysfakcją słuchając, jak syknął z bólu. Drugą ręką wbiła mu drewnianą strzałkę prosto w mięsień czwórgłowy i odskoczyła, patrząc z lekkim rozbawieniem na jego przerażoną twarz.

- Rufus mnie wzywa? Czemu nie przyszedł sam? – zapytała słodkim głosem – No dalej, nie płacz, to tylko odrętwienie. Nie umrzesz od tego, ale może się czegoś nauczysz.

- Ja... Nie, Tegernako chyba jest ... Nie mogę powiedzieć.

Głupi gówniarz, pomyślała. Już powiedziałaś. Jasne, że nie poza obręczą, a skoro nie w mieście, to znaczy, że tam gdzie tworzycie Sanktuarium. Bo tylko o tym bałbyś się powiedzieć.

- Więc kto...?

- M – poniżej na półpiętrze ostentacyjnie trzasnęły drzwi, Ernest oparł się o framugę, z rozbawieniem obserwując sytuację – M cię wzywa.

- M jest w mieście?! – wiadomość zelektryzowała ją. Agent potwierdził skinieniem głowy.

- Przecież wiesz, że sprawa, którą negocjowaliście ty i Rufus, miała absolutnie najwyższy priorytet. Nie można było tego zostawić w czyichś rękach.

- Wiedziałaś?

- Mhm.

- To nie za duże ryzyko...? – powiedziała, zostawiając oszołomionego młodzieńca na schodach zeszła w dół na półpiętro – Miasto jest otoczone, jeśli coś pójdzie nie tak...

- Daj spokój, mamy sposoby wyjścia z Caer. Chodź. Szkoda czasu.

Zeszli do piwnicy i przeszli kilka długich korytarzy w oszalowanych drewnem ciągach, oświetlonych nikłym światłem świec. Ylva z podziwem obserwowała upór mieszkańców Caer w zmaganiu się z przyrodą, ale podziemne korytarze w mieście na bagnach naprawdę aż się prosiły o najwyższe uznanie. Wyszli poza zaułkami, uwadze Ylvy nie umknęło, że dwóch ludzi za ich plecami przejęło śledzących ich najwyraźniej elfich agentów. Zanim weszli do jednej z wielu skromnych chat na obrzeżach miasta, nie mieli już ogona.

Jego olbrzymią postać dostrzegła już od wejścia. Stał wsparty dłońmi o stół, na którym dostrzegła schematy magicznych rytów, symbole, z których część znała, część widziała po raz pierwszy.

Zatrzymała się za progiem, salutując.

- Hetmanie....

Ulundo wyprostował się, aż chrupnęły stawy. Zauważyła, że wyraźnie lepiej wyglądał, kamienna skóra nie pękała w bolesne rany, a twarz nie był już poszarzała i zniszczona. Przybyło mu tylko trochę blizn. Odczekał chwilę, zanim na nią spojrział.

- Dobrze cię widzieć, Ylva – powiedział ciepło, czym zbił ją nieco z tropu, Spodziewała się awantury o zmienione rozkazy, a to był ton niemal ojcowski - Dobrze że wróciłaś. Wykonaliście kawał znakomitej roboty. Sanktuarium, jak wiesz, już powstaje. Odzyskaliśmy nadzieję. Twój oddział...?

- Nie wszyscy przeżyli... – westchnęła – Morgan pozostał w górach. Chciałabym natomiast prosić o wciągnięcie w szeregi Służby i przeszkolenie panny da Tirelli. Jej wyjątkowa przydatność i umiejętności będą dla nas cenne.

- Właściwie się zgadzam – odpowiedział - O ile ona tego właśnie chce. Pozostałe informacje?

- Raport jest tutaj – wyciągnęła ku niemu kilka kart zapisanych jej drobnym, zamasztysem pismem – Sprawa....

- Wiem – przerwał z lekka bezceremonialnie – Szczegóły już mi powtórzono.

- Obawiam się, że nie wszystkie – odpowiedziała równie bezpośrednio, ale poczekała, do czego będzie zmierzał.

- Nie wykonałaś moich poleceń.

- Wykonałam. Sprowadziłam go. W tej chwili podróż do Laro jest niewykonalna. Ale warunki się zmieniły.

- Nie sądzę.

- Panie hetmanie – w kilku krokach znalazła się przy stole – Proszę zrozumieć. Ten człowiek jest kluczem do badania sprawy istot i nieśmiertelności, jest kluczem do uzyskania lekarstwa dla tych, którzy mają z tym kontakt. Ale na razie nie znalazłam sposobu, żeby uratować jego umysł, innego niż

kryształy pamięci, a te... Na razie mam tylko tę Qa, którą tu sprowadziłam. Ona pomoże z ustabilizowaniem go, a potem się ją usunie.

- Ylva – głos ulundo zaczynał nabierać nieprzyjemnego tonu – Nie ma w ogóle możliwości, żeby badania nad nim prowadzono w Caer. Nie mamy tu aż tak silnych wpływów.

- Jego przydatność jednak największa będzie tu, na Zapołudniu. Nikt nie zna tych terenów tak jak on, widziałam jego możliwości w walce...

- Wydałem ci jasne rozkazy – zgrzytnęło niebezpiecznie.

- Zrozumiałam. Jednak w toku operacji...

Khorzighira nagłym ruchem z szybkością, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał, doskoczył do agentki, chwytając ją za gardło jedną ręką. Jedna ręka wystarczyła, żeby bez trudu oderwał ją od ziemi jak młodego kociaka. Ylva charknęła i szarpnęła się bezsilnie.

- Nie wydaję rozkazów bez powodu! – warknął jej prosto w twarz z wściekłością, aż zazgrzytały zęby. Rozluźnił chwyt i agentka upadła bezwładnie na deski, łapiąc powietrze. Ulundo postawił ją na nogi bezceremonialnie i zmienił ton na znacznie bliższy temu łagodnemu, od którego zaczął - Sądysz, że wydaję rozkaz wbrew tobie z jakiejś pustej chęci władzy? Zrozum, że ta sprawa jest znacznie ważniejsza, niż ci się wydaje. Dla Styrii jest sprawą przetrwania, niemal tak ważną jak Bogini. Twój projekt oddziałów reagowania tutaj jest dobry, nawet świetny. Ale w porównaniu z tym o czym mówię, jest bez znaczenia. Jeśli będzie trzeba to pokroję na kawałki tego człowieka osobiście, bo tego wymaga przetrwanie Styrii. Jeszcze raz mi się postaw i to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobisz na służbie.... Ylva... – zmienił ton na całkowicie łagodny. Agentka oparta o ścianę oddychała ciężko, znał ją świetnie i widział w jej oczach tę iskrę, która mówiła "nacisnąłeś za mocno". Cofnął blef, zastąpił uczuciami – Nie mam nikogo równie cennego. Nikogo, komu ufam w równym stopniu jak tobie. Nie wiem tylko, jak to się stało, że ty przestałaś ufać mi.

- Ufam panu, hetmanie – powiedziała cicho – Wykonam rozkazy.

Akurat, pomyślał, patrząc jej w oczy, których nie opuściła. Wiem, że nie wykonasz Ale to może i nie najgorzej. Może nie wszystkie rozkazy powinny być wykonane.

Agentka wyglądała na zrezygnowaną, ale wiedział świetnie, że to gra, którą podjęła i maska, którą właśnie założyła. Sięgnęła do kaletki, wydobywając niewielkie zawiniątko mięciutkiej wełny, obwiązanie rzemieniem. W środku była fiołka.

- To jest coś w rodzaju lekarstwa, jedyna istniejąca porcja, medykament, który może odwrócić działanie wirusa. To działa na tych którzy mieli styczność z tym czymś. Tak jak ja. Tak jak Toruviel. Trzeba rozpracować skład tego, dlatego nie zaaplikowałam tego sobie... jeśli to rozpracujemy, będzie można zacząć badania nad istotami. To jest jedyna polisa bezpieczeństwa, którą mamy, inaczej badania, o jakich pan mówi, grożą straszliwymi skutkami, nad którymi nie będziemy w stanie zapanować.

Milczał przez chwilę, ważąc fiołkę w dłoniach. Jedyna istniejąca dawka. Klucz do ocalenia tych, których trzeba ocalić. Toruviel. Zmrużył oczy. Dobrze zagrane, pochwalił ją w myślach. Ale grajmy dalej.

- Masz czas do jutra – zakończył – Do jutra wieczór. Wergund ma się znaleźć tutaj, najlepiej związany, bo nie chcę się z nim gonić po okolicy ani musieć mu przetrząść czegoś. Ta Qa nie będzie konieczna ani nawet potrzebna, ale może się przydać w celach badawczych. Spróbuj... Spróbuj zrozumieć. Nie chodzi o nas. Nie chodzi o ciebie. Chodzi o kraj...

- Tak jest, panie hetmanie – odpowiedziała matowym, formalnym tonem – Jutro wieczór.

Opanowanie nerwów wymagało od niej dłuższej, poważnej chwili. Rzadko zdarzało się jej trafić na taki poziom irytacji zwierchnika, jednak nie był to pierwszy, ani najbardziej niebezpieczny raz. A jednak się udało. To, co zaplanowała, udało się jej w pełni. Pozostała druga część.

Spotkanie z Elidisem umówiono za godzinę, nie mogła w takim stanie zresztą tam pójść.

I co, skążesz go na styryjskie laboratorium, na męczarnie i tortury...? Naprawdę, po to go to sprowadziłaś?

Wynocha z mojej głowy, powtórzyła raz jeszcze siadając na brzegu zamarznętego kanału. Nasunęła na czoło kapelusz, przykryła usta dłonią. Gardło miała zacisnięte nie tylko w efekcie nacisku kamiennej pięści.

Chcesz wybrać między krajem a tym człowiekiem...?

A jeśli jednak nie chodzi o dobro kraju...? Jeśli... Musi być inne rozwiązanie. Coś, czego chcą od niego uzyskać, musi się dać uzyskać także tutaj. Będzie musiała dowiedzieć się tego, zanim jej własny czas się skończy,...

Tak, zanim ty sama stracisz zmysły. Zanim umrzesz i staniesz się kolejnym ogniskiem zarazy.

Szkoda ci? zapytał głos w głowie.

- Szkoda – szepnęła, bezwiednie zaciskając w dłoni wergundzki medalion. Szkoda. Odpięła małą sakiewkę, wsunęła do niej małą karteczkę. Powinna dać mu to osobiście. Chciała dać mu to osobiście. Ale w razie gdyby coś poszło nie tak...

Schody w pałacu cesarskim były z kamienia, jako jedne z nielicznych elementów architektonicznych w mieście. Sprowadzenie kamienia do Leth Caer nie było łatwą sprawą, za to budulec drewniany był kusząco łatwo dostępny, lżejszy, więc nie powodował zapadania się budynków w miękkim gruncie.

Weszła oficjalnie, anonsując się jako ambasador Styrii. Wciąż w końcu nosiła ów tytuł. Obszerny hol był sporo większy od tego w chatce myśliwskiej, w której bywali ostatnio. Misternie plecione portale drzwi i balustrady były już z drewna, ale wykonane z iście elfickim wyczuciem piękna. Ylva doskonale znała architekturę Cotaperi, w którym nieraz bywała, tu odnajdywała nie tylko jej dalekie echa, ale niejednokrotnie artystyczne zamysły, przewyższające oryginał. Przeszła kilka kroków, oficerskie buty z podkutym obcasem głucho zadudniły na posadzce. Szeroki taras, który otwierał się po przeciwnej stronie holu, miał zejście do ogrodu, w którym widać było zarys białej altanki.

"Dawaj" krzyczy piskliwie mała, może trzyletnia dziewczynka, siedząca Elidisowi na barkach. Obok chłopczyk w tym samym wieku wrywa kwiatki z rabaty przy altanie. " Sonja! Mirko" głos Lylian jest ciepły, gdyby miał kolor, byłby to kolor popołudniowego słońca. Trzecie z dzieci, roześmiana dziewięciolatka nakłada na włosy wianek z kwiatów. Patrzy stojąc na tle białej altany. Nemaria. Ciemne włosy układają cię w długie sploty. Spod wianka gęstymi kroplami ścieka krew prosto na dłoń Ylvy...

Wynocha z mojej głowy!

- Wszystko w porządku...? – znajomy głos Elidisa wyrwał Ylvę z nagłej wizji. Potwierdziła skinieniem głowy, ale wiedziała, że elf raczej nie uwierzy. Charakterystycznym dla siebie gestem założył dłonie za plecy i uniośł brwi.

- Chcesz więc rozmawiać o tym, co przywiozłaś z Tecuitla – zaczął wyczekującym tonem. Ylva rozejrzała się po obszernym holu i gestem wskazała drzwi do gabinetu.

- Nie będę o tym rozmawiać na środku korytarza – powiedziała, ale zmiana miejsca pozwoliła jej także uspokoić się i opanować – Zakładam, że Lothel przekazał ci wszystko, co mu powiedziałam? – zaczęła. Potwierdził.

- Słusznie zakładasz. Jak zauważyłaś, twoim trzem zdobyciom przydzieliłem kwatery według twojej instrukcji i czekam, co powiesz mi dalej.

- Moje zdobycze – uśmiechnęła się – to jest właśnie skomplikowana sprawa. Elidis, nie będę cię czarować – przeszła z nagłą do tonu bardzo poważnej szczerości – Dostajesz w ręce broń. Wiesz doskonale, nad czym pracowali Qa, masz te same raporty, umiesz wyciągać wnioski. Człowiek, którego przyprowadziłam, jest nieśmiertelny z racji działania wirusa, ale jego umysł poddaje się powoli działaniu tego paskudztwa. Kiedy przejdzie tak zwaną drugą śmierć, straci nad sobą kontrolę, ale nie wiemy co się stanie, bo istota, która zwykle by nim kierowała, nie żyje.

- Zabiliście ją...? – uśmiechnął się elf – Zabiliście to coś, co zsyłało wam te wspólne sny?

- Zatłukłam go – mruknęła – Z tym, że sny się nie skończyły... Jestem tym zatruta i nie wiem ile jeszcze mam czasu – spojrzała mu poważnie w oczy – Potrzebuję twojej pomocy.

- Pomocy... – powtórzył przeciągle – Styria znów czegoś potrzebuje...

- Nie Styria – zaprzeczyła – Ja. Nie proszę cię jako władcę. Tylko jako... dawnego znajomego. Koszyści dla ciebie będą tak czy owak państwowe.

- Czy ty właśnie zdradzasz swój kraj? – uniósł brwi w pytającym grymasie, zaplatając ręce na piersi. Westchnęła z lekką irytacją.

- Nie. Nie zdradzam. To, co robię, nie zaszkodzi Styrii, to raczej służbowa różnica zdań.

- Rozumiem. Więc?

Wbiła wzrok w podłogę i zaczęła mówić cicho i szybko.

- SSW chce Clovisa przenieść do Laro, do siedziby. Tam chcą go poddać badaniom, które w dużym skrócie będą polegać na rozmaitych wiwisekcjach, w skrócie torturach. Szlag trafi wszystkie zdolności, jakie on posiada i jeszcze pare innych rzeczy. Nie wiem, dlaczego tak się przy tym upierają, ale nie mają racji. Nie chcę im go oddać.

- i?

- Oddam go tobie. Pod warunkiem, że dasz mi gwarancję jego bezpieczeństwa.

- W zamian...?

- W zamian będziesz pierwszy miał wyniki badań nad kryształami pamięci.

- To trochę mało. I tak je będę miał.

- Toruviel...

- Co Toruviel...? – głos Elidisa zmienił się nieznacznie – Co niby z nią?

- Wesprzemy frakcję Toruviel w Aenthil, ale nie osadzimy tam Tirianusa, tak jak obiecałam, tylko ją. O ile zechce. A zechce.

- To niezła oferta – Elidis zorientował się, że powiedział to mocno za szybko. Ylva z niejakim zdziwieniem spojrzała na niego i zmrużyła oczy.

- Jesteś pewien...? Nie wydasz Clovisa SSW ani nikomu innemu, będzie tutaj, w Caer, bezpieczny dopóki nie przeprowadzimy operacji z kryształami pamięci, tak? Będę przy tym towarzyszyć, a twoi ludzie będą monitorować całą operację. Tak?

- Nie do wiary – uśmiechnął się i odwrócił temat, próbując zatrzeć złe wrażenie za szybkiej odpowiedzi – Tobie naprawdę na nim zależy.

- Tobie nigdy na nikim nie zależało, cesarzu? – odbiła piłkę – Na Convolv...? Na jej dzieciach? Na Nemarii, dla której byłeś prawie jak ojciec? Na twoim biurku wciąż stoi posąg Meriel. Tak, zależy mi na nim.

- I ile jesteś w stanie zrobić dla jego bezpieczeństwa...? – elf zachował kamienną twarz, choć oczywiście Ylva trafiła z nawiązaniem. Trochę się w końcu znali.

- Wiele. Nie, nie powiem, że wszystko – westchnęła – Ale wiele.

- Więc zrozumiesz... – odpowiedział cicho. Spojrzała na niego z nieukrywanym niepokojem.

- Co ty masz na myśli...?

- Posłuchaj... – teraz on mówił ze wzrokiem wbitym w podłogę cichym głosem, szybko układając słowa – Ochronię go, masz moje słowo. O Aenthil będziemy rozmawiać kiedy indziej. Ale nie wydam go Styrii ani Qa. Będzie tak, jak planowałaś, operacja z kryształami pamięci, a potem wyszkolenie oddziałów desantowych. Dopilnuję tego, nie dlatego, że muszę, ale dlatego, że jestem ci to winien.

- Dopilnujesz...? Sama się tym zajmę.... – dokończyła powoli, zaczynając rozumieć. Mówiąc cofała się już pod najbliższą ścianę i zanim otworzyły się drzwi, stała już tak, by mieć bezpieczne plecy – Coś ty zrobił...?!

- Uspokój się. Nie miałem wyjścia... – rzucił cicho na widok wchodzących. Było pięciu, znała tylko jednego. Ernesta.

- Wydajesz mnie SSW....? – zawahała się – Ernest, co tu się dzieje...?
 - Odlóż broń....
 - Nie, dopóki mi nie wyjaśnisz...! – wyszarpnęła zza paska alchemiczny granat hukowy, gotowa rzucić.
 - Stój! Zostaw to! – wrzasnął ten najbliższy Ernesta, podnosząc ku niej kuszę.
 - Nie strzelaj! – krzyknęli równocześnie Styryjczyk i Elidis – Ylva, rzuć broń!
 - Bez gwałtownych ruchów! – kolejna kusza uniosła się w kierunku agentki – Ylva, nie chcesz walczyć ze swoimi!
 - Miałam czas do jutra! – krzyknęła – Co to ma być?
 - Zmiana rozkazu.... Złóż broń!
 - Opuść kuszę!
 - Broń na ziemię! Już!....
 - Dobrze.... – sapnęła – Dobrze, odkładam! – dodała głośniejszym głosem, przekrzykując hałas. Odwróciła ramię na dłoń i ręką podał Ernestowi – Nie zamierzam bić do swoich i liczę że wy też nie.
 - Daj spokój – mruknął, odbierając broń, skinął towarzyszący aby ją przeszukali – To tylko chwilowy nakaz aresztowania. Nic poważnego.
 - Widzę właśnie – zaśmiała się nerwowo, gdy jeden z agentów zacisnął na jej nadgarstkach kajdanki. Drugi wyszarpnął z jej ubrania cztery noże. Kolejnych czterech nie znalazł. Wbiła spojrzenie w twarz Elidisa. Twarz elfa była śmiertelnie poważna, z trudem maskował wściekłość. – Trzymam cię za słowo, jednak wciąż zamierzam to sama doprowadzić do....
 - Nie mogła zauważyć potężnego uderzenia, które miało pozbawić ją przytomności, ale posłało tylko na ziemię. Zerwała się, przetaczając przez ramię, poczuła zawrót głowy i ciepłą strugę krwi na karku, brakło jej sekundy by wyjść z zasięgu ostrza, ale Ernest był szybszy. Ostrze, które wbiło się w jej ramię, pozbawiło ją przytomności na dłuższy czas.
 - Tak przynajmniej nie będzie się szarpać.... – mruknął- Dobra robota. Wszystkie obiecane elementy otrzymasz....
 - Do jutra – wysyczał Elidis, patrząc z bardzo bliska w oczy Styryjczyka – chcę widzieć, jak pakujecie namioty spod Obręczy i wio mi stąd. A teraz antidotum – wyciągnął rękę, Ernest podał mu małą fiolkę z doczepioną kartką. Elf rzucił okiem, odkręcił, sprawdził odrobinę na języku – Doskonale. A teraz won. Zejdź mi z oczu, cholerny zdrajco, bo mam alergię na takich jak ty.
 - Dobrze dobrze – zakpił z przekąsem Ernest – Dolicz też siebie, bo jak widzisz, ufała ci.
 - Wynoś się.
 - W tej chwili, wasza cesarska mość.
-
- Coś ty zrobił...? – Lothel tym razem nie krył w ogóle swojej obecności, wszedł otwierając drzwi gabinetu kolanem – El, co ty do cholery zrobiłeś!
 - Wydałem Ylvę ludziom od lomin'yaró – warknął władca, zaciskając pięści – Wycofają wojska. To był warunek. Inaczej ich stąd nie wypuszczę. Mają swoich ludzi wewnątrz Obręczy, dopóki nie naprawimy tego, co Szrapnel spieprzył, jesteśmy bezbronni.
 - I tyle...? Za wycofanie wojsk?
 - Nie.
 - Mów, do cholery! – zwiadowca z rozmachem uderzył otwartą dłoń w blat – I nie próbuj nawet teraz zgrywać groźnego władcy! Postawiłeś mnie na czele zwiadu, a teraz wpuszczasz tu obcych agentów, nawet nie uzgodniwszy tego ze mną. Dlaczego, bałeś się, że powiem nie?!
 - Uspokój się....
 - Nie zamierzam! – warknął Lothel – Co jeszcze ci dali?

- Życie Vex.

- Co?!

- Zaaplikowali jej truciznę, sprawdzałem, to prawda. Nie miała szans. Ceną było antidotum... Kurwa mać. Zrozum. Wyłapali wszystkie osoby, które coś znaczą. Vex. Nemarię. Toruviel. Onfis ma w rękę je wszystkie. To nie była wysoka cena.

- Doprawdy... – rzucił Lothel spokojniejszym tonem.

- Asekurują ją – mruknął Elidis.

- Co robią?'

- Ich ludzie asekurują Ylvę, mają jednego podwójnego, któremu tamci ufają. On ją wyciągnie. Na pewno ja wyciągnie... Zajmij się tym Wergundem. Dowiedziałeś się, dlaczego SSW tak się upiera przy zabraniu go do Laro? – zmienił temat na rzeczowy, licząc że przyjaciel uspokoi się nieco. Rzeczywiście, zwiadowca odpowiedział spokojniejszym tonem.

- Nie, znakomicie się z tym kryją. Sprawa ma coś wspólnego z najwyższymi postawionymi w Styrii osobami, na razie wszystko wskazuje na tego, którego nazywają Prorokiem. Kiedy się dowiem, będziesz pierwszy, który otrzyma tę informację. A na przyszłość, jeśli zechcesz wprowadzić obce służby na nasz teren, żądam, żebyś mnie o tym informował!

Gdyby Lothel był nieco mniej wzburzony, możliwe, że dostrzegłby Tlilo, obserwującą szeroko otwartymi oczami ścieżkę przy altance w ogrodzie. Chwilę wcześniej pięciu nieznanym jej ludzi wyniosło stamtąd bezwładne ciało.

Chciała ją dogonić. Chciała przekazać, że jest po jej stronie. Poinformować o tym, co dzieje się z Ai. Spóźniła się. Zimna, mokra panika dopadła ją, gdy zdała sobie sprawę, że wplątała się w sieć zależności, z których nic nie rozumie, a które całkowicie ją przerastają. Ale miała logiczny, analityczny umysł.

Gdy elf przeszedł, cicho chyłkiem wycofała się ku bramie ogrodu.

Rudej barwy aksamitna sakieweczka odcinała się wyraźnie od białego kamienia, na który spadła. Musiała wypaść z paska Ylvy, pomyślała medyczka, podnosząc. Zerknęła do środka. Medalion z nieznanym jej symbolem. Mała karteczka z imieniem "Clovis". Nic poza tym. Przetarła oczy dłonią. Nie było innego wyjścia.

Biegiem przecięła ulice miasta oglądając się za siebie na każdym kroku. Znaleźć Emilię. Znaleźć Octaviana. I zawiadomić Clovisa. I ten medalion. Tak, z pewnością powinien należeć do niego.

Epilog

Na wolność żywych i na wieczną chwałę zmarłych

Zapółudnie, zima 916 roku

postscriptum drugiej zimówki

Nie sądziła, że zobaczy, jak ono się rodzi. Zakłęcie. Nie sądziła, że wykwitnie z ziemi oślepiająco białą drobiną piasku... a przecież było to logiczne, pochodziło z magii ziemi i ognia, gdzie u licha miało się narodzić jak nie u jej stóp, na mokrej od topniejącego z nagła śniegu glebie.

Przez absurdalnie długi ułamek sekundy, na długo przed tym, zanim jej serce mocniej uderzyło, pompując krew w napięte mięśnie, przyglądała się z czymś w rodzaju ciekawości rosnącej kuli światła.

- Bogini, tak się boję... – szepnęła na głos... Ale nikt nie zwrócił uwagi. Na szczęście.

- Nemaria... – Ylva dyskretnie wyciągnęła kapłankę na początek kolumny, wyprzedzając pozostałych o kilka kroków. Upewniła się, że Emilia jest tuż za nimi i że słucha. I że nie słuchają pozostali, za wyjątkiem Clovisa.

- Trucizna musiała być w tym koszu – Nemaria wciąż rozważała dopiero co zakończoną potyczkę – Więc teraz pewnie...

- Mają ją ludzie tej całej kapłanki – dokończyła z tyłu cicho Emilia - Zwanej pieszczotliwie wredną suką.

- Czy coś – uśmiechnęła się agentka, przypominając sobie, jak chwilę temu nazwał ją upiorny nieumarły – Ale zdobycie tego gówna to jedno, a to, co się z tym stanie, to drugie. Emi... Wywiad nie może dostać tego do rąk dopóki nie upewnicie się, że zrobi z nich właściwy użytek.

Zamilkły obie, zaniepokojone tym co powiedziała. Nie sprawą trucizny. Ale tym, że powiedziała "wy".

- A właściwy, to jaki...?

- Arcyksiążę umrze, ale tylko jeśli nie będzie absolutnie innego wyjścia – odpowiedziała Clovisowi, który wtrącił się w rozmowę – Jeśli okaże się, że ta pogłoska, to, że chce wydać Sanktuarium w ręce Qa, jest prawdziwa. Jeśli nie da się go odsunąć od władzy, unieszkodliwić. Tylko wtedy. Wasze poczynania mogą zostać wzięte za zdradę, a nie wolno dopuścić do żadnego wewnętrznego starcia, ani w szeregach Styrii, ani Styrii z Wergundią. Nie wolno wam pozwolić się skłócić. I to będzie twoje zadanie – odwróciła się do Wergunda – Dla Emi i Nemarii zbyt ryzykowne. Ty jesteś zbyt cenny, by mieli coś ci zrobić. Ale nie wolno wam pozwolić się skłócić.

- Wam... – powtórzył z naciskiem – Nie sądzisz, że powinnaś poczekać...?Może w tym koszu jest coś, odtrutka, szczepionka...

Dochodzili właśnie do zewnętrznego ogrodzenia osady, pogrążone w półmroku i mroźnej mgłę domy wyglądały nieco upiornie, kontury dachów rzucały długie cienie od płonącej przed hallą maźnicy. Nie było widać i słyhać żadnego ruchu. Ylva zapatrzyła się na ten widok, początkowo próbując rozpoznać czy nie słyhać tam intruzów, ale po paru sekundach umysł znów odjechał w wizje.

Czerń źrenic zapada się, łamie.

Chłód.

Ogarniający ciało ze wszystkich stron.

Chłód.

Obcy, mokry lepki...
Igła wysuwa się z umęczonego ciała.
Krzyk odbijający się do ścian.
Głuchy śmiech.
Ciemna ciecz kapie wielkimi kroplami na spokojną taflę płynu.
Kap.
Tafla faluje i unosi się.
Kap.
Ciecz przybiera obraz, człowieka.
Kap, kropla spływa po twarzy do usta, które czernieją.
Ciało pęka by ukazać wewnętrzną zgniliznę.
I resztki przymierającego blasku.
Zgnilizna poszerza się, toczy ciało, toczy twoje ręce
Ból jest przyjemny, opadająca skóra przynosi ulgę.
Jak zrzućcie za ciasnego ubrania.
Powietrze.
Czyste powietrze na nowej skórze.
I śmiech, który ciśnie się na usta.
Wolność.
Tak bliska, słodka...
Wolność.

Już to widziała. Znała ten obraz na wylot. Nienawidziła go jak najgorszego koszmaru. Pojawił się jak błysk, jak przelotna myśl, zanim Clovis w ogóle zorientował się, że coś się z nią dzieje. Obraz przełamał żal, który zaczynał powoli zaciskać jej gardło, przełamał słowa przyjaciela, którym blisko było do wzbudzenia idiotycznej, płonnej nadziei.

- Nie będzie żadnej odtrutki – uśmiechnęła się wymuszenie – Wiesz, że nie będzie.

- Nie możesz tego wiedzieć – swoim zwyczajem uparcie trzymał się swojego – Nie poddawaj się...

- To nie jest kapitulacja, Wergundzie – szepnęła, zatrzymując go przy furtce, czekając aż pozostali przejdą – To jest decyzja. Jeśli jedyne co mogę wybrać, to rodzaj śmierci, to nie umrę, kurwa mać, na kolanach i nie pozwolę się przemienić w to coś. I zabiorę ich tyłu ze sobą ilu zdołam! – zorientowała się, że ostatnie słowa prawie wykrzyczała, zwracając uwagę Galahrida i Tlilo. Oparła się skronią o zimny słup ogrodzenia, próbując uspokoić nerwy. Splątane włosy zahaczyły się o wystający drut i ból pomógł jej zebrać coraz bardziej szalejące nerwy.

- Co chcesz zrobić...? – zapytała wreszcie rzeczowo ofirska magiczka, siląc się na chłodny profesjonalny spokój – Bo nie mamy ładunków prochowych, które mogłyby umożliwić ci to, o czym mówisz...

- Nie mamy – przyznała Ylva – Ale mamy waszą magię... Twoją i Galahrida.

- Co...?- zainteresował się Wergund usłyszawszy swoje imię. Agentka zaśmiała się.

- Zaklęcie. Wybuch. Potrzebuję, żebyście zaprojektowali mi różdżkę zaklęcia.

- Jasne – mruknął mag z lekkim przekąsem – W jakim promieniu ma zabijać...?

- Jakies .. – Ylva spojrzała na centralny budynek halli – Jakies 20 metrów...

Czego naprawdę się boisz, Ylva – zapytał głos w jej głowie, przebijając się przez oszałamiający ból rozerwanych tkanek. Śmierci? Przecież całe życie z nią igrałaś, bawiłaś się, kpiłaś, pchając się w najbardziej niebezpieczne misje. A teraz nagle się boisz...?

Czego się boisz.... jakąś odległą reminiscencją dawnych wspomnień odezwał się głos M., głos tego, który kiedyś prowadził jej szkolenie.

Unieruchomienia. Pająków. Gwałtownej burzy.... Bólu. Samotności. Upokorzenia. Zapomnienia.

A teraz...?

Teraz nie. Teraz jedyne czego się boję...

To że niczego nie będzie po tamtej stronie.

Wokół obojga Qa opalizowała delikatnie leciutko błękitna poświata magicznej osłony, pulsując w dokładnie tym samym rytmie, co minerałowe plakietki na czole medyczki. Tlilo w zamyśleniu patrzyła w podłogę.

Mówił jej towarzysz.

- Widzicie, rzecz w tym, że my nie bardzo mamy wyjście. Wcześniej sądziliśmy, że to jacyś szaleni naukowcy prowadzą badania, poświęcając naszych własnych ludzi, a teraz, kiedy wiemy już że nie, że to jednak nasi ... władcy... Rzecz w tym, że nie chcemy im w tym pomagać, ale musimy. Bo przecież wy nie możecie nam zapewnić ucieczki od nich...

Tlilo podniosła głowę. Ylva po raz kolejny pstryknęła krzesiwem tuż przy loncie prochowego ładunku, po raz kolejny powodując ekspresyjną reakcję siedzącej po drugiej stronie minerałowej sfery Emilii. Magiczka nie znosiła huku wybuchów.

- Oczywiście, że możemy – powiedziała agentka tonem oświadczenia, tak zdecydowanym, że tak stojący przy oknie obserwacyjnym Galahrid, jak i skupiona na cichej modlitwie Nemaria, odwrócili się ku niej gwałtownie – Powiedziałam wam kilka godzin temu, że nie zazdroścę wam tego wyboru... Pomiędzy ... hm, przyzwoitością, a wiernością własnemu państwu. Rozmawiając o tym, choćby tylko rozmawiając, wszyscy balansujemy na krawędzi zdrady, a wy, jeśli powiecie jeszcze słowo więcej, to tę granicę przekroczycie.

Zamilkła na chwilę dla efektu, pstrykając raz po raz krzesiwem, któremu niespodziewanie zawtórowało głuche plasknięcie. To Tlilo trzepnęła dłonią towarzysza po głowie.

- Widzisz... mówiłam ci.

- Jeśli powiecie to słowo więcej, to staniecie się dla nas sojusznikami i udzielimy wam każdej pomocy, jakiej zdołamy – dokończyła Ylva powoli, patrząc po twarzach słuchających jej towarzyszy – Tak – odpowiedziała unosząc brwi, na ich pytające spojrzenia – Dobrze widzicie, właśnie zawieram sojusz z naszymi śmiertelnymi wrogami.

- Jeśli staną po naszej stronie – mruknął Clovis, dość wymownie obracając w palcach strzałkę z trucizną, której przed chwilą nie zdążył zaaplikować Tzekelowi - To nie będą naszymi wrogami.

- Jeśli nam zapewnicie miejsce, do którego będziemy mogli uciec przed gniewem... tej arcykapłanki. I Neyestecae – Qa zmierzył Wergunda zimnym wzrokiem – Bo zapewniam, że nie odpuszczą.

- To się okaże – Ylva podniosła się lekko, powodując znów gwałtowną reakcję Emilii obserwującej ruch muszkietu – Zapewnimy wam azyl w Caer, bezpieczny tak długo, jak długo będzie stało miasto, a potem jeśli będzie trzeba przemycimy was do Laro. Ale pod jednym warunkiem – Styryjka spojrzała w turkusowe oczy Tlilo – że dotrzymasz słowa i skontaktujesz nas z frakcją pokojową w Qasyran.

- Zrobię to – odpowiedziała medyczka niemal bez namysłu – Ale to nie jest tak, że stajemy po waszej stronie...

- Nie jest, wiem. Jest tak, jak ci powiedziałam podczas drogi tutaj. Wiesz doskonale, że ta wojna jeszcze potrwa. Będzie trwała, dopóki na północy będzie choć jeden człowiek zdolny nosić

miecz. Zeby nas pokonać, musicie nas wyciąć do ostatniego. I nie mówię, że nie zdołacie. Ale zajmie wam to jeszcze długie lata, podczas których na zapołudnie będą wracać wasi żołnierze... w workach na zwłoki. A waszym trofeum będzie spalona, wyludniona ziemia.

Zapadła chwila ciężkiej ciszy. Wprawny obserwator zauważyłby zapewne efekt, jaki te słowa wywarły na medycze, pozostali jednak też zamilkli, wpatrzeni ponuro w podłogę.

Głuchy odgłos kroków maszerujących oddziałów...

Pył unoszący się znad poboju...

Wrzask ludzi ginących w błękitnych rozbłyskach. Co trzeba zrobić ludziom, by tak krzyčeli...

Veliadengne maiestad Wergundiae...

Trwać będzie wiecznie chwała...

Ylva otrząsnęła się gwałtownie. Świat wrócił do normalnej ilości kolorów, a kontury do normalnej ostrości. Coraz trudniej było nad tym panować, nad gwałtownie pojawiającymi się obrazami i głosami. Umysł coraz mniej chciał słuchać woli.

Ale posłuchał.

- Dlatego ... – siłąc się na zdecydowanie, dokończyła kwestię – Dlatego to nie na naszą stronę przechodziecie, a na stronę swoich własnych ludzi, których czyjaś chora wizja pcha do bezsensownej walki o panowanie nad stertą popiołów. Czy zatem – postarała się zabrzmieć doniośle i uroczyście – czy zatem możemy uznać, że po raz pierwszy Północ i Zapłudnie w czymś się porozumiały...?

Błękitna poświata błysnęła mocniej, gdy Tlilo wykonała gwałtowny ruch dłonią. Tylko Tzekel zrozumiał, że wyszeptana formuła oznaczała zdjęcie osłony, i mimowolnie szarpnął za rękojeść miecza. Podobnie zareagował Clovis, błyskawicznym ruchem unosząc rapier do szychu.

- Dość! – medyczka zdecydowanie przerwała te nerwowe ruchy – Tak, tak możemy uznać. Skontaktuję was z moją frakcją, nie dla waszego dobra, a dla dobra Zapłudnia i żeby skończyć tę cholerną wojnę. A teraz nas stąd...

- Idą! – przerwał jej Galahrid, zrywając się ze swojego posterunku – Idą od bramy osady!

Ziemia była mokra. W mgnieniu oka przemokły spodnie na kolanach, którymi uderzyła w błoto. To, że przy okazji ostre drobinki żwiru wbiły się w skórę, nawet nie zostało zauważone przez umysł, który pracował na szalonych obrotach. Serce łomotało jak szalone, grożąc nagłą utratą świadomości.

Nie, zaprotestowała w myślach, próbując się uspokoić. Przecież chciałaś coś jeszcze wykrzyčać. "Chwała Wiecznej Styrii" czy coś równie wielkiego. Albo chociaż "na pohybel skurwysynom". Ale nic nie przechodzi przez zaciśnięte ze strachu gardło.

Dłonie, przyciśnięte do rozerwanych mięśni brzucha, ślizgają się na uciekającej między palcami krwi.

Została tylko jedna ważna rzecz. Naprawdę ważna, najważniejsza. Absolutnie najważniejsza.

Wstać.

Uciekli przez okno. Po nisko osadzonym zadaszeniu nad podcieniami domu. Wtedy dopiero zorientowali się, że przeciwnik doskonale o nich wie. Wszystko. Także to, którą zamierzali ewakuować się w kierunku Caer.

Zanim jeszcze cała siódemka z rozmachem zeskoczyła na pokryty śniegiem stok, zdążyli dostrzec biegnących z dołu ludzi, uzbrojonych w łuki i wielkie obsydianowe miecze. Nim z kolei

zrobili kilka kroków ku obranej drodze ucieczki, okrzyk biegnącego z przodu Galahrida zatrzymał ich w miejscu.

Od góry także biegł oddział.

Zwijając w ustach brzydkie przekleństwo, Ylva zatrzymała się, odwracając niemal w biegu, postawiła z rozmachem na ziemi kolbę muszkietu. Wprawnym ruchem wepchnęła do lufy pocisk, owinięty jedwabiem. Błysnęło krzesiwo, Styryjka podniosła broń do ramienia i przycisnęła mocno do barku.

Huknęło tak, że zadrżały okiennice w chatce, która przez ostatnią dobę służyła im za schronienie. Zdobny w barwny pióropusz dostojnik Qa nie zdążył nawet wrzasnąć, w połowie inkantacji runął w tył, odepchnięty siłą pocisku. Nim jego towarzysze zorientowali się, co się dzieje, runął na nich grad drobnych kamieni i raniących iskier.

Wergundzki mag i ofiryjska magiczka w styryjskiej służbie, istna metafora ruchu oporu północy, pomyślała Ylva z lekką dumą zdmuchując dymek z rozgrzanej strzałem lufy. Sięgnęła po pocisk... Dłoń trafiła na jeden, ostatni już ładunek.

Arcykapłanka myliła się co chwila w wypowiedzianych słowach. Wywrzaskiwanych właściwie. Irytacja, która ją ogarnęła, emanowała od niej w każdym geście, w nerwowych ruchach ostrza, kiedy postanowiła spektakularnie zmusić do krzyku ofirską magiczkę i jej się to nie udało, w nietrafionym kopnięciu, którym próbowała połamać żebra swojemu rannemu rodakowi, utrzymanemu nisko przy ziemi przez jej trzech żołnierzy.

Emilia, kiedy tamta rozharatała jej obsydianem twarz, podniosła tylko głowę, a w jej wzroku igrało coś na kształt wesołości, choć jedno oko miała przysłonięte lejącą się na gwardyjski mundur czarną krwią. Ylva widziała jej rozszarpane tętnice, wiedziała, że Ofiryjka ma jeszcze jakieś 20 sekund życia. I wiedziała, czemu magiczka się uśmiecha.

Tzekel szarpnął się, niemal przewracając jednego z trzymających tak, że trzewik arcykapłanki trafił go w biodro, a nie w połamane żebra i poharatane wnętrzności. W odpowiedzi ktoś zdzielił go trzonkiem macahuitla w potylicę tak, że krew poszła mu z ust i runął twarzą na śnieg.

Styryjka patrzyła w ciemność. Śledziła uważnie kontury postaci, które właśnie mijają wartownię pod bramą, niestrzeżoną, bo większość wojowników arcykapłanki zajęta była jeńcami. Zaciśnięte gardło nie pozwoliło wykrzyknąć przez łyż słów pożegnania. Zresztą... nie były potrzebne. W cieniu bramy dostrzegła postać, która zamykała oddział, błysnął czarny naramiennik i ostrze styryjskiego rapiera.

Przez chwilę uchwyciła jego wzrok.

To było pożegnanie.

Przez bramę osady na obszerny plac wsypywali się zwiadowcy, luźno opancerzeni, zbrojni w łuki i lekkie miecze.

- Musimy wrócić do halli! – rzucił Tzekel chrapliwym głosem, wskazując barkiem na nadchodzący oddział – Została tam reszta fiolek z naszych badań.... – odpowiedział na pytające spojrzenia towarzyszy. Ylva zmeła w ustach przekleństwo, kolejne. A jeszcze kilka dorzuciła na głos.

- Więc biegiem! – warknęła, zarzucając na ramię muszkiet, skoczyła pierwsza ścieżką w kierunku sporych drewnianych wrót budynku. Zwiadowcy wciąż jeszcze ich nie dostrzegli.

Pomieszczenie tonęło w półmroku, gdy wbiegli, mimowolnie dudniąc ciężkimi butami na deskach.

- Szybciej, brać co trzeba i w nogi – rzucił Clovis, odruchowo zabezpieczający tylne wejście. Dobę wcześniej sami się nim sprawnie dostali do środka, osaczając wartującą aguarę. Teraz wciąż leżała tam wywalona przez Ylvę ława.

- Nie, poczekaj... – Styryjka zatrzymała przygotowujące się już do ewakuacji towarzystwo. Złapała za rękaw Emilię – Nie uciekniemy teraz ani przez plac ani przez ogrodzenie, bo przeszukują wszystko na obrzeżach – powiedziała z naciskiem, a odgłosy z zewnątrz potwierdziły jej słowa.

- Nie możemy dać się tu otoczyć – sapnął Tzekel – Przecież nas rozwałą, po to tu przyszli. Cholerni eksterminatorzy, ta suka Nenepilli fatygowała się tu osobiście, bo ktoś jej musiał zaraportować, że tajne badania przestały być tajne... To sadystyczna fanatyczka...

- Tak, słyszałam, że się nie lubicie – Ylva z półuśmiechem spojrzała na Tlilo, która na pierwszą wzmiankę o arcykapłance zareagowała rano klasyczną "kurwą" – Zabiję ją.

Słowa wywarły zamierzony efekt, obecni wlepili pytający wzrok w Styryjkę, tylko Clovis zrozumiał natychmiast.

- Pewna....?

Skinęła poważnie głową.

- Nie mam innego wyboru. Emi... Rytuał. Zróbcie różdżkę zaklęcia... Najlepiej tak, żeby mi jej nie wydarto – magiczka i Galahrid spojrzeli po sobie porozumiewawczo, jakby mieli już ustaloną treść rytuału. Emilia uśmiechnęła się, wzdychając głośno, tak jakby podjęła jakąś decyzję, coś, co uspokoiło jej myśli.

- Rytuał jest gotowy. Potrzebuję dziesięć minut spokoju....

- Jeśli nas tu nie wykryją, to mamy tyle. Działaj. To i tak najlepsze co możemy zrobić.

Tlilo z zaciekawieniem przyglądała się całej scenie. Znała sprawę wirusa i wiele wiedziała o Ylvie, nie znała jednak na tyle ludzi Północy, żeby rozumieć jej motywacje. Co zrobiłaby w tej sytuacji? Pewnie próbowała do samego końca. Tydzień życia? To mnóstwo. W tym terenie przecież skrywanych jest tak wiele tajemnic, sama była świadkiem tak wielu niespodziewanych zwrotów akcji... Nie rozumiała, dlaczego Styryjka się poddaje. Słyszała urywki ich rozmów, słyszała o ryzyku "wyklucia się" istoty, jak nazywali obiekty alfa, na terenie Caer, ale była naukowcem, rozumiała, że na każdą truciznę jest odtrutka, na każdą chorobę lek – tak stworzono ten świat, tak działał.

Ylva wyczuła chyba jej myśli, bo podeszła, pozwalając Emilii i Galahridowi rozrysować w pośpiechu linie symboli i zebrać energię.

- Zatem – zaczęła – Obie paktujemy z wrogiem, wbrew swoim, aby swoich ratować? – powiedziała – Czy mamy ów pakt?

- Mamy – poważnie odpowiedziała Tlilo – Masz moje słowo i... i mój szacunek.

Ylva wyciągnęła ku niej dłoń, wyjętą ze zbrojonej rękawicy.

- Jesteś pierwszą i możliwe że jedyną ze swojego ludu, której podaję rękę. Szacunek jest obopólny. Tlilo... Naprawdę masz tak na imię? – zagadnęła, jakby to miało być jakkolwiek ważne w tej chwili. Medyczka uśmiechnęła się.

- Tlilxuchitl – powiedziała – To nazwa takiej rośliny. Kwitnie na czarno-fioletowo i pnie się po innych roślinach. Nie wiem, jak nazywają ją u was...

Ylva uśmiechnęła się, przetarła dłonią twarz, jakby ścierając nagłe wzruszenie.

- Ja wiem – szepnęła - Powój....

Qa zeszytywniała zdziwiona, gdy Styryjka nagłym ruchem objęła ją za ramiona, jeszcze bardziej zdziwiła się, gdy ta wyszeptała wyraźnie:

- Niech cię Bogini strzeże i prowadzi... – ignorując absurdalność tej modlitwy wobec kogoś, nad kim pieczę mają Opiekunowie. Ale nie odpowiedziała, Ylva skinęła jeszcze tylko głową, odchodząc ku gotowym już symbolom rytualnym. Spojrzała po drodze na Nemarię. Błyszczące diamenty łez sprawiały, że czarne oczy kapłanki wydawały się jeszcze większe niż zwykle. Może to tylko zimne powietrze. Ylvie przemknęło przez myśl, że może teraz właśnie powinna poprosić o

wybaczenie za tamten błąd z Visnohory, za kilka tygodni cierpienia, jakie zafundowała dziewczynie. Ale nie zdobyła się na to. Ani na "pozdrowię ją od ciebie" jakie cisnęło się jej na usta. Skinęła tylko głową z poważnym uśmiechem, zupełnie, jakby była pewna tego, co robi.

Uklękała we wskazanym przez Emilię miejscu. Zamknęła oczy. Nie słyszała słów wypowiedzianych zaklęć. Nie czuła dotyku znaku, jaki magiczka malowała jej na ustach, nie czuła ciepła płomieni, które wergundzki mag zamykał w symbolach, ani drgań ziemi pod nogami.

Była w stanie myśleć tylko o jednym.

O tym, jak cholernie się boi.

- Zapłacie, niewierni! – wrzasnęła arcykapłanka, nie wiadomo czy pod adresem powalonych na ziemię jeńców, czy tych cieni, które powoli rozplywały się w mroku nocy na ścieżce prowadzącej do bezpiecznego Caer – Patrzcie! Styryjczycy, mordercy, pomiot parszywego smoka! Patrzcie, jak zdychają wasi towarzysze! Na kolanach!

Odwróciła się, spodziewając się jeńca pochylonego tak jak chwilę wcześniej na ziemi, przyciskającego kurczowo pokrzwawione dłonie do rozszarpanych wnętrzności.

Ylva nadal przyciskała ręce do brzucha.

Ale stała.

Arcykapłanka sapnęła ze złością w kierunku swoich żołnierzy, zdecydowanym ruchem wskazała cel.

- Połamać jej nogi...

Drżały jej ręce. To było naprawdę drażniące uczucie. Strach ją irytował. Przeszkadzał.

Rytuał był skończony i dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie ma już odwrotu. Krąg się domknał. Na Zapołudniu, miejscu jej największych zwycięstw, największych klęsk i najważniejszych uczuć, gdzie zaczynała jako wergundzki więzień, zginie od wergundzkiego zaklęcia... z imieniem wergundzkich książąt, krążącym w myślach.

Cholerna ironia, pomyślała.

Przyłożyła dłonie do lodowato zimnej lufy muszkietu i mrozący dotyk trochę ją oprzytomnił.

- Clovis... – wydobyła w końcu z siebie głos. Wergund podniósł wzrok, poważny, skupiony, niemal wrogi. Podała mu broń jednym wymownym ruchem – Zadbaj o to, został jeden pocisk...

Skinął głową, zaciskając ręce na rzeźbionej kolbie broni.

Kolejna ironia, pomyślała, styryjska broń chyba jest ci pisana.

- Słucham...? – zapytał, jakby usłyszał jej myśli.

Nigdy już nie będziesz pewna, co jest prawdą, a co złudzeniem. Nigdy nie będziesz niczego pewna.

Jestem pewna jego, uśmiechnęła się w duchu. Uśmiechnęła się też naprawdę, do niego.

- Dziękuję – powiedziała – To była długa droga, przyjacielu... Dziękuję za wszystko.

Przez chwilę otoczył ją półmrok, zniknęły drewniane ściany budynku, ławy, towarzysze z oddziału. Przez moment patrzyła na niego i miała nadzieję, że odpowie.

Nie umiała znaleźć słów pożegnania. Przed oczami skupione w skondensowany kalejdoskop wspomnień wirowały jej obrazy, chwile, odczucia. Słowa.

Noc przed osadą Krevaina.

Jaskinia.

Droga z Ahi Tere.

Walka. Wspólna, ramię w ramię, tyle razy.

Roześmiała się gorzko. Spojrzała na swoje ubłocone, masywne buty, pokrwawione palce, odgarnęła z twarzy przymarzniete poklejone kosmyki włosów. Co ty sobie myślałaś.

Że...

Nic.

Chciałam się tylko pożegnać...

Podniosła wzrok. Clovis nadal patrzył na nią pytająco, zaciskając rękę na muszkiecie, który ona wciąż trzymała i zdała sobie sprawę, że przez ostatnich kilka sekund nie wypowiedziała żadnego słowa, nie zrobiła żadnego gestu.

To naprawdę było złudzenie.

Na placu coś huknęło.

Stojący przy drzwiach Tzekel- Kan z namaszczeniem dobył broni ze zdobionego złotem czarnego pokrowca.

- No – powiedział niemal wesoło – To koniec naszego wesołego kącika. Idą tu.

- Co to jest...? – Clovis uciszył ich gestem ręki, nasłuchując brzęczącego odgłosu, który towarzyszył rozjaśniającej się w drzwiach minerałowej poświacie. Wrota puściły z trzaskiem. Galahrid zamierzał rodakowi wyjaśnić, bo widział przecież ten poblask niejednokrotnie, na polach bitewnych Północy, podczas gdy Clovis walcząc na zapołudniu niemal na pewno się z tym nigdy nie zetknął. Zamierzał opowiedzieć o tym, czym są Nieśmiertelni i dlaczego niniejszym mają tak dramatycznie przegwizdane. Jednak zdobył się tylko na klasyczne, wergundzko-wojskowe:

- O kurwa.

Clovis zrozumiał w lot.

- Tylne wyjście! – rzucił, odpychając w tamtym kierunku lekko oszołomioną Nemarię. Ylva stanęła obok niego z rapierem ustawionym w obronnej gardzie, gotowa zastawić przejście, zwabiać Nieśmiertelnego i umykać mu, była lekko opancerzona, nieporównanie szybsza niż minerałowy wojownik.

Zignorowała obraz wspomnienia, który nakładał jej się na rzeczywistość. Zalany słońcem plac, pył cisnący się do ust i nosa. Ten sam towarzysz broni. Ten sam przeciwnik. Dość! Walcz!

Zza pleców Nieśmiertelnego wybiegło kilku lżej uzbrojonych wojowników, skoczyli ku nim oboje, wsparci zza pleców magią Emilii i Galahrida. Po chwili dołączył do nich jeszcze trzeci walczący. I tak się stało, że w jednym szeregu z Wergundem i Styryjką stanął wojownik Qa...

Ylva prawie roześmiała się z tej ironii, ale położenie, w jakim się znaleźli, nie nastrojało do żartów. Kolejni wojownicy tłoczyli się przy drzwiach wejściowych i stawało się jasne, że nie utrzymają ich.

Cofali się krok za krokiem, próbując odpierać ataki ciężkich zapołudniowych mieczy, które w swojej budowie bardziej przypominały formę maczugi niż finezyjną broń do szermierki, jaką znała Północ.

- Bierz ich do tylnego wyjścia! – adrenalina wreszcie zaczęła działać jak należy, przytłumiając nieco paraliżujący strach, który jej towarzyszył od rytuału – Odciągnę Nieśmiertelnego. Z resztą sobie poradzicie! – skinęła mu głową, w przelocie łapiąc spojrzenie, za krótkie, ale zawierające wszystkie "dziękuję" i "bywaj, przyjacielu", jakie chcieli sobie powiedzieć. Odpowiedział podobnie, natychmiast jednak jego uwagę skupiła walka z kilkoma zwiadowcami, którzy się ku niemu rzucili. Usłyszała jeszcze stłumione przekleństwo poprzedzone mlasknięciem rozcinanych tkanek po tym, jak któryś z obsydianowych mieczy go dosięgnął, a jego właściciel zapewne umarł zdziwiony, że trafiony przez niego Wergund nie zginął. Skupiła się na swojej walce. wybiła się z miejsca długim skokiem w

kierunku Nieśmiertelnego, z rozmachem uderzając rapierem w płyty pancerza, aż poszło echo. Była przygotowana na uderzenie, jakie pancerz odda, wykorzystwała je, przekoziółkowała bezładnie nieco przez ławę, wykorzystując ją jak tarczę, na której w sekundę później z trzaskiem wylądował sporej wielkości trzonek topora. Korzystając z tego, że opancerzony nie mógł przedostać się do niej zerwała się, przeskoczyła ku wejściu, niemal wpadając w tą, która w tym momencie wchodziła przez wrota.

Arcykapłanka spodziewała się czystej drogi, meldowano jej, że przeciwnik został zepchnięty w przeciwny koniec pomieszczenia, weszła więc bez ochrony i w ostatniej chwili pchnięciem energii odbiła lecącą ku niej styryjską klingę. Ylva łomotnęła na deski, przetaczając się znów po ziemi, czystym przypadkiem obaliła kolejnego wchodzącego wojownika. Zaklęła tym razem całkiem głośno i unikając spóźnionych cięć zdezorientowanych Qa wyskoczyła na dziedziniec. Za plecami słyszała wysoki krzyk kapłanki:

- Niewierni! Żywcem ich! To jest ofiara dla Opiekunów! Żywych!

Niedoczekanie, pomyślała, przesyłając w myślach pod adresem kapłanki epitety, jakimi nazwał ją parę godzin wcześniej jeden z Qa. Odwróciła się.

Nieśmiertelny, roztrzając towarzyszy, podążał jej śladem. Uśmiechnęła się i otrząsnęła, uderzenie minerałowej zbroi nieco ją oszołomiło, poczuła też ból w nodze, trzaśniętej trzonkiem czegoś, czego w chaosie walki nawet nie zauważyła. Wojownik szedł ku niej, a ona cofała się przez pusty plac ku bramie.

- Nie pójdziesz za mną przez zarośla – szepnęła pod nosem, patrząc na wążutką wizurę hełmu – Nie ma bata. Opuścisz. Ale najpierw łap to....

Doszedłszy do bramy poczekała na niego, ustawivszy się tak, by mieć podpórkę dla nóg i łatwo ruszyć ciężkie skrzydło. Wybiła się mocno i pchnęła, usłyszała stuk drewna o metal, jakiś chrobot i łomot. Nie przyglądała się. Puściła się biegiem wzdłuż palisady, do miejsca, gdzie widziała przejście, dobiegła, przeskoczyła tamtędy, wracając pomiędzy pogrążonymi w mroku chatami ku halli.

Zobaczyła postaci, kryjące się w cieniu skarpy i rozpoznała swoich towarzyszy.

Wataha zwiadowców już biegła od placu i tylko parę metrów dzieliło ich od miejsca kryjówek.

Jeszcze dziesięć minut wcześniej pewnie zastanawiałyby się nad tą decyzją. Ale teraz już nie. Teraz przyszło jej to łatwo, bez namysłu, bez wahania. Wszystko zaczynało być jasne. Klarowne. Proste jak nigdy wcześniej.

Rzuciła się ku nadbiegającym, zaskakując ich tak swoim atakiem, że najpierw wzięli ją za kogoś ze swoich, a potem odskoczyli na boki, skacząc za nią w pościg. Wyminęła ich bez trudu, wbiegła na schody i wpadła do halli.

Pierwsze co dostrzegła, to była wielka kałuża krwi, dopiero po chwili Ylva rozpoznała Emilię, która z trudem próbowała się podnieść.

Zaraz obok leżał nieprzytomny Tzekel –Kan.

Za to środkiem dostrzegła arcykapłankę. Drobnej budowy kobietę, odzianą w upiorne nieco, ale tylko nałożone na głowę ozdoby, przypominające demoniczne rogi. Uśmiechnęła się złowieszczo, wiedząc, że nikt nie obroni tej kobiety przed jej ostrzem. Ruszyła ku niej, rozpędzając się z każdym krokiem, na wszelki wypadek prowadząc ostrze zgrabną fintą, która miała wyminąć obronę arcykapłanki.

Klinga zawyła w powietrzu i zamarła, natrafiwszy na niewidzialny opór.

Ylva też znieruchomiała. Stała tak blisko kapłanki, że widziała kpiący uśmiech na jej ustach. Dopiero po paru sekundach dotarła do niej fala bólu, obezwładniająca i pozbawiająca oddechu. Qa poruszyła dłonią i Styryjka zrozumiała, że to nie ostrze znalazło się pomiędzy jej żebrami, tylko ręka kapłanki, która właśnie rozszarpywała jej wnętrzności. Poczowała żelazisty smak w ustach i nagłe osłabienie uderzyło w nią tak, że gdy kapłanka cofnęła zakrwawioną aż po łokieć rękę, Styryjka upadła bezładnie na twarz.

*I zwyciężymy, gdy zwycięstwo dasz nam, Pani
Przyjmijemy klęskę, jeśli taka Twoja wola.
Tylko daj w godzinie próby nam wytrwanie.
Gdy upadniemy, zawsze pozwól powstać z kolan.*

Emilia uśmiechnęła się na wpół przytomnym, słabym uśmiechem. Ylva widziała w jej oczach odbicie czyichś innych oczu. Próbowała zrozumieć słowa, które szeptała Ofiryjka, sądząc że to może imię. Dopiero po chwili się jej to udało.

- Sople... Lód... popatrz jakie piękne – powiedziała cichutko magiczka i skinęła głową. Ylva zignorowała szarpnięcie i lecącą ku niej ciężką głownię macahuilta. Odpowiedziała uśmiechem i skinieniem.

Już czas.

Bogini, tak bardzo się boję...

Nad twoją głową wieniec z gwiazd dwunastu.... Zostań z nami...

Zostań ze mną, aż do końca...

Proszę.

Szpieg nie ma godności. Nie postawią mu pomników i nie ułożą pieśni. Ale, do cholery, odejdę na własnych warunkach, wolna. Zawsze i mimo wszystko.

Wolność jest w końcu niczym innym jak możliwością wyboru.

Nawet jeśli to tylko wybór formy umierania.

Wyszeptała słowo.

I rozpląkała się pełnym żalu i poczucia straty płaczem.

Małeńka drobinka światła zrodziła się u jej stóp z rozjarzonych nagle ziaren piasku. Wchłaniała kolejne i kolejne, rozszerzając się i rozjarzając jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe. Po długich jak wieczność nanosekundach światło zalało wszystko, absolutnie wszystko. Wchłonęło obraz, dźwięk, kształty, odczucia. Zszokowane i pełne przerażenia twarze Qa, ich upiornie histeryczne wrzaski, ból łamanych kości, które dosięgnął obsydianowy miecz, chłód lodowato zimnej powierzchni dziedzińca. Wszystko utonęło w jasności. I ciszy.

Clovis osłaniał odwrót, zamykał ten dziwny oddział, łączący Wergundów, Styryjczyków i Qa w drodze do elfiego miasta, które było nadzieją i ostoją na wrogiej ziemi. Nikt z nich tak jak on nie był świadom, jak blisko porażki byli, jak mało brakowało, by cała ich wyprawa, całe ryzyko, a nade wszystko poświęcenie towarzyszy szlag trafił.

Chwilę wcześniej sam absurdalnie zaryzykował, wracając pod strzałem po zostawiony w halli muszkiet. Ale nie mógł go zostawić. Powierzono mu go.

Zaciskając w dłoni zimną kolbę odwrócił się jeszcze raz.

Złapał jej spojrzenie, choć był pewien, że ona nie mogła widzieć jego. Paradoksalnie, doskonale widział, co ona czuje. Przeżył własną śmierć. A jednak poczucie bezpowrotnej straty dawało znać o sobie.

Mozna było zrobić jedno.

Nie zmarnować ich śmierci.

- Dalej! – syknął w kierunku Galahrida, który wciąż krył się w ciemności bramy – Do furty!

- Czekaj, ta różdżka...

W tym momencie wydarzenia przyspieszyły do zawrotnego tempa. Clovis dostrzegł wyraźnie, jak Ylva wstając naprzeciw arcykapłanki, wypowiedziała zaklęcie. W tej samej sekundzie zza załomu palisady wypadł ku nim Nieśmiertelny. Obaj Wergundowie rzucili się w tył, wyprzedzając tylko odrobinę potężną falę uderzeniową, która wypromieniowała od centrum wybuchu, niszcząc po drodze palisadę, wartownię, drzewa. W mgnieniu oka wszystko załało się światłem, powodując, że złote plamy migotały im przed oczami, kiedy już udało im się podnieść głowy spod belek i pyłu, który ich przysypał.

- No kurwa nieźle – skwitował Galahrid, wyjmując z godnym pieśni spokojem zardzewiały gwóźdź, który wbił mu się w ramię.

Cały plac zmienił się w wielki krater, w którym dopalały się resztki tkanin i drewna, szczątki ciał i broni leżały rozrzucone w drobnych kawałkach w promieniu znacznie większym niż sam wybuch, parując i dymiąc. Tylko minerałowe odłamki promieniowały w tym diabolicznym miejscu zniszczenia spokojnym, chłodnym światłem.

- Clovis! Galahrid! – Nemaria z twarzą osmaloną ogniem podbiegła ku nim, rozmazując na twarzy lejące się ciurkiem łzy. Za nią nadbiegała Tlilo, gotowa łątać poharatanych wybuchem. Ale obaj paradoksalnie byli cali.

Tam, gdzie kiedyś była wartownia, coś się poruszyło. Usłyszeli brzdęknięcie stali, a spod czarnej mazi pogorzeliśka błysnął błękitnie poblask zbroi.

Clovis zerwał się z trudem, ignorując rany.

- Nieśmiertelny przeżył – warknął – W nogi!

*Przysięgaliśmy, o Pani, na Twój znak
I na kolory, flagi naszej wieczne barwy
Na dumną czerń i na złocisty słońca blask
Na wolność żywych i na wieczną chwałę zmarłych*

Dym unosił się nad pobojuwiskiem jeszcze długie godziny.

Wydstawał się uparcie ze szczelin w ziemi, nawet po tym, jak Qa przysypali teren świeżo przywiezionym piaskiem. Unosił się z każdego miejsca, gdzie postawiła obszyty klejnotami trzewik. Tam, gdzie przyklękała. Tam, gdzie położyła dłoń na ziemi, słuchając przekleństw, które Wielojedność kierowała pod jej adresem.

- Uciekli – powiedziała Primula, stwierdzając rzecz oczywistą – Jedni w granice Caer, inni w śmierć.

Nikt przede mną nie ucieka.

Podniosła się z przyklęku, jej twarz, coraz bardziej przypominająca woskową maskę, promieniowała bladym światłem. Nawet przyjaciółka zadrzała na ten widok.

- Neye, nie możesz ścigać ludzi poza granice śmierci.

Mogę. Możemy. Mgły są nasze. I wszystko we Mgłach. Albo złoży pokłon, albo czeka ją nicość.

- Obawiam się – powiedziała hobbitka ironicznie – że ona jednak wybierze nicość.

Więc nicością się stanie.

- Była pierwszym człowiekiem północy, który się z tobą porozumiał – przypomniała Imperialistka – Może jednak jest warta pamięci...?

Nie jest warta by splunąć na jej wspomnienie. Wymażę jej pamięć z powierzchni ziemi! Wszystko, co kochała, wszystko, czemu służyła! ..

Przeczekwała wybuch gniewu przyjaciółki, którą coraz mniej rozpoznawała w istocie, którą widziała przed oczami. Jakby było w niej coraz mniej Neyestecae, a coraz więcej... Awatara Opiekunów. Zwłaszcza w takich chwilach, gdy ta część świadomości przejmowała nad nią kontrolę i Neye z ciepłej, troskliwej władczyni zmieniała się w uosobienie gniewu i pogardy. Gdy obie odchodziły z cuchnącego spalenizną pobojuwiska, odwróciła się jeszcze.

- Salut, Ylvo. Salut Emilio – mruknęła pod nosem – Godnych przeciwników się szanuje. Ja was nie zapomnę.

A potem zapadła ciemność.

Świadomość z trudem zbierała się w całość, oddzielona od obrazów, pamięci, tożsamości. Jedyne, co dawało się nazwać do było zimno. Przejmujące, przenikające wszystko zimno.

W ciemności nie było góry ani dołu, ale podjęła wysiłek, by wstać. Wysiłek woli.

Nie istniał czas ani przestrzeń, ale zmysły, przyzwyczajone do ludzkich ograniczeń, nie uwolniły się jeszcze. Dostrzegła więc w oddali światło. Było daleko i blisko jednocześnie, była tam i nie było jej.

Czworo, spojonych piątym w jedność, jasność promieniejąca ciepłem, dobrem i nadzieją. Bliskie. zapraszające i dostępne. Teraz. Wystarczy, że podeszdziesz.

I uklęknie.

Wciąż jeszcze ludzkie zmysły zawyły, nagięte do działania woła, która nie pozwalała się oszukiwać. Do zimna doszło odczucie żalu, utraty ponad wyobrażenie, a gdy odwróciła się od jaśniejącego widziadła, ogarnęło ją poczucie samotności.

Nie było granic, krawędzi, na których mógł zaczepić się ludzki wzrok. Nie było ludzkiego głosu, którym można by było wyrzeszczyć przerażenie duszące krtań, której też zresztą nie było. Nicość rozwarła się wielkimi promieniejącymi zimnem szczękami, czekając.

...

Zostałam z wami.

Zostanę.

Do końca.

I poprowadzę we mgle, jeśli będzie trzeba. Nikt nie powinien być sam we mgle.

Siedziba Styryjskiej Służby Wywiadowczej w Caer mieściła się w niepozornym domku na obrzeżach, w jego długich porośniętych korzeniami mangrowców piwnicach. Aby tam wejść, trzeba było podać właściwe hasła na przynajmniej pięciu punktach, a potem przejść przez labirynt korytarzyków i trafić do właściwego wejścia, a nie na szósty punkt kontrolny, gdzie czekało kilku smutnych panów, którym należało wytłumaczyć, dlaczego u licha nie znasz drogi.

Clovis nie był tu nigdy wcześniej, nikt nigdy nie podawał mu haseł. Nie miał pojęcia skąd je zna, ani dlaczego świetnie się orientuje w labiryncie tuneli. Podejrzewał. Ale nie wiedział.

Oczywiście wejście Wergunda na ten teren nie mogło pozostać niezauważone i nim dotarł do gabinetu M, ten czekał już na niego uprzedzony i przygotowany.

- Wina? – zaproponował niedbałym ruchem ręki wskazując żołnierzowi prosty drewniany fotel. Sam siedział na podobnym, Clovis natychmiast zauważył większość ostrzy i różnego rodzaju broni, która była rozłożona w zasięgu kamiennego ulundo przy fotelu, biurku i ścianie. Większość, bo był świadom, że na pewno nie widzi wszystkich zabezpieczeń.

Usiadł swobodnie i uniósł kieliszek z podanym mu winem, starając się zachować możliwie swobodną pozę obserwował pokój. Obracał w palcach medalion z gwiazdą czarnego tymenu, czuł się jak w paszczy vogherna.

- Więc – ulundo uśmiechnął się oszczędnie – Wreszcie się widzimy, panie nieśmiertelny. Dużo o tobie słyszałem.

- Nie będziemy rozmawiać o mnie – uciął Wergund nieco za ostro. M uniósł brwi.

- Ależ będziemy, ale masz rację. Zdarzyły się rzeczy ważniejsze. Więc... Jak zginęła?

Nie spodziewając się bezpośredniego pytania Clovis dał się nieco zbic z tropu.

Ogłuszający huk wybuchu, od którego wciąż jeszcze wyło mu w uszach.

Wszystko, czego nie powiedział, bo nie chciał, bo nie zdążył, dług, spleciony, zaciągnięty, niespłaczalny....

Jak zginęła...

- Tak jak żyła – powiedział w końcu z namysłem – Na własnych warunkach. Dla innych. Dlatego, że uznaliście polityczny układ z Toruviel za ważniejszy od życia waszej agentki – dokończył, świdrując ulundo wzrokiem. Ku jego zdziwieniu ten opuścił oczy – Straciłeś najlepszego człowieka jakiego miałeś od czasów Lylian z Terali – dokończył – Jesteś jej coś winien.

- Jestem winien jej wiele – odpowiedział M. Już się nie uśmiechał – Ale to wszystko pozostaje poza zakresem twojego rozumienia, Wergundzie. Czy to wszystko?

- Nie. Widzisz, ja też jestem jej coś winien, dałem jej słowo i zamierzam go dotrzymać.

- A co ja mam z tym wspólnego?

Clovis westchnął spektakularnie, tak jakby warunki, jakie za chwilę miał przedstawić, sprawiały mu jakąś trudność, choć było wręcz przeciwnie. To raczej była lekka satysfakcja.

- Więc jest tak, ulundo – obrócił w palcach medalion – Dotychczas byłem tutaj na waszych warunkach i praktycznie pod kluczem. Podobnie było z Tlilo. Z moimi rodakami z wergundzkiego wywiadu nie współpracowaliście prawie wcale – zignorował kpiące uniesienie jednej brwi przy słowach "wergundzki wywiad" – Zaś wasi własni agenci... cóż, nie wahaliście się wydać Ylvy bez jej wiedzy na tortury i niewolę.

- Wyjaśniliśmy to sobie – warknął M zirytowany, uwadze wergundzkiego żołnierza nie umknęły drobinki skały, które posypały się na biurko spod jego zaciśniętej pięści.

- Przed tym czy po tym, jak jej zaleczyliście wszystko to, co jej zrobili w przesłuchaniu? Taaa, na pewno zrozumiała – zakpił bezlitośnie, igrając niebezpiecznie z poczuciem winy szefa wywiadu, które wyraźnie wyczuwał. Przygotował się do uskoczenia, zastanawiając się, czy to będzie kamień, topór, a może masywny kiścień, którego końcówka wystawała zza podłokietnika fotela.

Ale nic takiego nie ustąpiło. M znieruchomiał na chwilę z zaciśniętymi szczękami, świdrując wzrokiem Wergunda, ale po chwili opuścił wzrok, jakby uznał, że zasłużył na tę ironię.

- Po tym. Nie skończyłeś.

- Nawet nie zacząłem – Clovis chciał dodać "kamienny dupku", ale w porę ugryzł się w język. Dał się ponieść własnej irytacji, a to robiło się niebezpieczne – Zatem warunki się zmieniły. Będzie tak. Dasz mi ludzi, których w przeciągu kilku lat zmienię w oddział desantowo-sabotażowy, działający na Zapołudniu. Sprawę, że ten oddział będzie w stanie przebić się choćby do Qasyran i usunąć Neyestecae jeśli zajdzie potrzeba – wiedział, że lekko przeszarżowuje, ale wiedział też, że rozmówca wie dlaczego – W zamian SSW przestanie deptać mi po piętach i będzie trzymać cesarza na sznurku, żeby nie próbował bawić się w zamykanie mnie gdziekolwiek. Gwarancje bezpieczeństwa ma też dostać Tlilo. I Nemaria.

- Nemaria jest kapłanką Bogini, nikogo nie chronimy bardziej....

- Jasne – przerwał, odkrywając ostatnią kartę – Zwłaszcza, że rozważacie pozbycie się tej ostatniej.

Tym razem był absolutnie pewien, że M nie zaatakuje, choć w momencie, gdy ważąca dobre 30 kg kula kiścienia z trzaskiem wbiła się w blat biurka tuż przed jego nosem, znacząco stracił na pewności.

- Masz dziesięć sekund na wyjaśnienie – chrapliwie wyszeptał ulundo, pochylając się nad nim. Wergund z trudem opanował nerwy i odczekał jakieś pięć obrzydliwie długich sekund, po czym wstał. Efekt nie spełnił jego oczekiwań, bo M wciąż przewyższał go o jakieś półtora głowy i wciąż patrzył na niego z góry.

- Ufałeś Ylvie? To zaufaj jej po raz ostatni, bo to jest jej rozkaz – powiedział cicho i głosem tak pewnym, na jaki było go stać – Coś się mocno pochrzaniło na styryjskich szczytach władzy. I to wszystko wyszło podczas waszej akcji. Walczymy za Północ. Ona walczyła za Północ. Za Wergundię i Styrię też. Jeśli padnie Sanktuarium, padnie Caer, a wraz z nim nasza szansa na zwycięstwo w tej pieprzonej wojnie. Jeśli ktoś wpadł na taki pomysł, to był niespełna rozumu.

- Gdzie... jest... trucizna... – syknął M zgrzytając zębami.

- Bezpieczna. Takie było polecenie Ylvy. Dopóki nie zostanie wyjaśnione, kto rozważał wydanie Bogini wrogowi. Nikt nie dostanie trucizny ani do rąk, ani do krwi, o ile nie będzie to absolutnie konieczne. To także nasza gwarancja bezpieczeństwa – spojrzał w oczy szpiega – że SSW nie zechce posłużyć się nami tak, jak posłużyło się nią.

W gabinecie zapadła chwila ciężkiej ciszy. Clovis udawał, że się nie denerwuje, a jego uwaga nie jest maksymalnie skupiona na reakcjach rozmówcy. M udawał, że wcale nie ma ochoty rozsmarować Wergunda na kamiennej podłodze.

Udawanie trwało jakieś pół minuty. Po tym czasie szef SSW ruchem niemal niedbałym wyszarpnął kolczastą kulę z deski i odłożył na miejsce, siadając z powrotem za stołem, który obecnie bardziej przypominał stół ciesielski.

Clovis rozumiejąc, że przeszli ów punkt kulminacyjny, w którym zamierzali się pozabijać, usiadł na powrót i podniósł kieliszek z winem. Po czym go opróżnił jednym łykiem.

- Zatem? – przerwał milczenie. Ulundo w zamyśleniu wpatrywał się w podłogę.

- Kim ona była dla ciebie, Wergundzie? – powiedział w końcu – Już cię nie usłyszy, możesz być szczery.

Zaskoczony pytaniem Clovis odruchowo zerknął na medalion, potem na rękojeść swojego styryjskiego rapiera.

- Przyjaciółką – powiedział niemal bez namysłu – Jakie to ma znaczenie?

- Widzisz... Wiele lat temu to ja ją wciągnąłem do tej służby, ambitną dziewczynę, chcącą służyć wielkiej Sprawie. Nauczyłem ją wszystkiego, czego mogłem, reszty nauczyła się sama. A potem z misji na misję patrzyłem, jak ryzykuje życie i więcej niż życie dla Sprawy, dla Styrii, czekając, aż przyjdzie ta misja, z której już nie powróci – Clovis po raz kolejny ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć "przestań się użalać!", rzut oka na dziurę w desce biurka pomógł mu z tym ugryzieniem się zdążyć - Jestem jej coś winien. Odzyskała dla nas proch. Uratowała armię pod Styrgradem. Utrzymała Teralę tak długo, jak się dało. Ale największym dziełem jej służby był sojusz wergundzko-styryjski.

Tym razem Wergund zaczął słuchać z uwagą, ulundo kontynuował.

- To ona właściwie doprowadziła do Trójprzymierza i układu vekowarskiego. Zaufała Wergundom i to była najlepsza decyzja, jaką cała Styria mogła podjąć. Możliwe, że miało z tym coś wspólnego to, że jakiś Wergund kiedyś uratował jej życie, oddając swoje.

- Bardziej to, że połowa jej duszy była wergundzka – uśmiechnął się Clovis ponuro, ze zdziwieniem widząc, że ulundo też się uśmiechnął.

- Możliwe. W każdym razie, ten sojusz zostanie utrzymany. Tak długo, jak długo stoję na czele tej służby, nie zrobię nic przeciwko wam, przeciwko Wergundii, a wręcz przeciwnie. Stajemy się jednym frontem, chwilowo zjednoczoną północą.

- Dobra, darujmy sobie wielkie słowa – mruknął Clovis zakłopotany tym patosem – Mamy robotę.

- Mamy – skinął głową styryjski szpieg – Dostaniesz tych ludzi i gwarancje bezpieczeństwa. Wieczyste. Przez wzgląd na nią.

- Wiesz o tym, że z tych, których mi dasz na szkolenie, przeżyje połowa, a gotowy do akcji będzie jeden na dwudziestu? – upewnił się jeszcze Wergund. Ulundo ponownie skinął głową.

- Optymistycznie rzecz biorąc. Tak, zdaję sobie sprawę o czym mówimy. Więc – wstał i wyciągnął wielką, kamienną dłoń w kierunku żołnierza – niech to przymierze trwa, Wergundzie.

I stało się tak, że wergundzki żołnierz i styryjski wywiadowca uścisnęli sobie dłonie ponad pogruchotanymi w drzazgi resztkami biurka, w myślach obiecując sobie nawzajem, że "będę na ciebie uważał, skurwysynu". Było w tym coś symbolicznego... nie wiadomo co, ale coś na pewno.

Wychodząc, Clovis odwrócił się jeszcze i rzucił przez ramię:

- Myślę, że ona doczeka się godnych zastępców – odczekał na pytające uniesienie brwi i dokończył – Sądzę, że Nemaria szybko dorówna swoim wielkim poprzednikom.

- Tak...? Gdzie ona właściwie jest? – zainteresował się M.

- Cóż... Chyba poszła odwiedzić cesarza – uśmiechnął się Wergund – Wiesz, Ylva nie kryła tego, co zamierza mu zrobić, jeśli go spotka osobiście. I wydaje mi się, że Nemaria potraktowała to jak testament i w tej chwili to właśnie wykonuje.

- Czekaj... – zaniepokoił się szpieg – Chyba nie... Co chciała mu zrobić?!

- Nic – Clovis wyszczerzył się kpiąco – Złożyć należny cesarzowi ukłon... A wcześniej strzelić w papę tak, żeby się nakrył trzewiczkami.

Idąc korytarzem żołnierz uśmiechnął się, słysząc echo głuchego śmiechu pana M. Wydawało mu się, że gdzieś w ciemności zamajaczył rudy kapelusz, a spod niego czyjś kpiący uśmiech. Ale to tylko wzrok płatał figle w półmroku.

Pan M powszechnie był szanowany. Jego aparycja zresztą wykluczała brak szacunku. Cały zestaw przydomków, będących mało wyszukaną grą słów, jak "Kamienne Serce", czy żartów w rodzaju "M ma ciężką rękę", oddawało idealnie tak jego wygląd jak i usposobienie. M nie był sentymentalny. Rozumiał zadanie, jakiego podjął się u początku dziejów styryjskiego państwa. Rozumiał, że by je wykonać, musi schować do kieszeni przyzwoitość, uczciwość, człowieczeństwo.

Jednak choć schowane w kieszeń wciąż istniały w nim owe cechy i czasem, kiedy mogły, ujawniały się.

To miejsce było jego osobistym pomysłem i wykonaniem. Gdy padł Styrgrad, wszystko złożono w skrzynie i wywieziono. W enklawie nawet nie nakazał rozpakowania, będąc świadom, że Kalidorea Yembatan padnie prędzej czy później. Dopiero tutaj, w Caer się na to zdecydował. Znalazł odpowiednie miejsce, głęboko pod ziemią, przygotował je prawie sam i nakazał sprowadzenie przez tereny Laro tamtych skrzyń.

Zawierały tysiące niewielkich, kamiennych tabliczek.

Każda z nich znalazła swoje miejsce na wielkich ścianach, wyrównanych magią i dłutem kamieniarzy, delikatnie oświetlonych podziemnymi porostami. M spacerował wśród nich, wśród kolejnych ścian, pokrytych tymi tabliczkami, wyłaniających się z półmroku w świetle trzymanej przez niego pochodni.

Wreszcie ukląkł, zamontował pewnie pochodnię.

Wziął kolejną czystą tabliczkę, ujął w ręce dłuto i młotek.

Po chwili jego samotnej pracy ozdobiony napisem plaster kamienia powędrował ku górze, stając się jednym z tysięcy podobnych sobie, cząstką z całości.

Stał przez chwilę w milczeniu, przygnieciony poczuciem samotności i chłodem. Ale potem dostrzegł to, czego oczekiwał, na co liczył, z czym wiązał nadzieję.

Poza ciepłym światłem pochodni i chłodnym – pochodzącym od porostów, dostrzegł krążące wśród pokrytych tabliczkami obelisków opary szkarłatnej mgły.

- Dzięki ci...! – wyszeptał.

Gdy wyszedł pomieszczenie ponownie zatoneło w półmroku, zatarły się linie nazwisk, wypisanych na tabliczkach. Imion żołnierzy, gwardzistów, ulundo... i wywiadowców Styrii. A wśród nich to, które dopiero wyrzył w kamieniu.

Ylva Darren.

879-916

Poległa w służbie Styrii.